

Kurt Vonnegut

WaMPETERY, FOMa i GRaNFaLONY

Przełożyła Danuta Dowjat

1997

*Dla Jill,
Która mnie zakronicyła*

*Wiele podróżowałem Concordem
Henry Dawid Thoreau*

Wstęp

Drogi Czytelniku

Na tytuł tej książki złożyły się trzy słowa z mojej powieści *Kocia kołyska*. Wampeter to przedmiot, wokół którego może się koncentrować życie wielu ludzi, poza tym nie związanych ze sobą. Święty Graal stanowi dobry przykład takiej rzeczy. Foma to nieszkodliwe łgarstwa służące do pocieszania prostaczków. Przykład: „Dobrobyt jest tuż za rogiem.” Granfalon to dumny i pozbawiony sensu związek ludzi. Te słowa razem stanowią równie dobry parasol, jak każdy inny, dla tego zbioru recenzji i esejów oraz kilku wygłoszonych przemówień. Większość wystąpień publicznych nigdy nie została spisana.

Kiedyś ciągle wygłaszałem prelekcje. Potrzebowałem aplauzu. Potrzebowałem łatwego zarobku. I kiedy na scenie Biblioteki Kongresu jak zwykle odstawiałem cyrk mieszając z błotem tępaków, w moim mózgu przepalił się bezpiecznik. Nie miałem już nic do powiedzenia. Tak skończyła się moja kariera mówcy. Wystąpiłem jeszcze parę razy, ale nigdy więcej nie byłem wymownym filozofem dla ubogich, a to kiedyś przychodziło mi z taką łatwością.

Awarię mojego mózgu w Waszyngtonie najprawdopodobniej wywołało pytanie z sali. Pytający, mężczyzna w średnim wieku, wyglądał mi na świeżo przybyłego uchodźcę z Europy Wschodniej. „Jest pan idolem amerykańskiej młodzieży. Jakim prawem uczy ją pan cynizmu i pesymizmu?”

Nie byłem idolem amerykańskiej młodzieży. Byłem pisarzem, który powinien siedzieć w domu i pisać, a nie szukać łatwego zarobku i aplauzu.

Mogę wymienić wielu dobrych amerykańskich pisarzy, którzy stali się wspaniałymi mówcami, a teraz z trudem potrafią się skoncentrować na samym tylko pisaniu. Brak im aplauzu.

Mimo to uważam jednak, że publiczne wystąpienia to niemal jedyny sposób, w jaki poeta, pisarz czy dramaturg, znajdując się u szczytu możliwości twórczych, może wywierać nacisk polityczny. Jeżeli będzie się starał wpleść politykę w fikcję literacką, to nie do poznania wykoślawi swoje dzieło.

Pośród wielu dziwacznych aspektów amerykańskiej ekonomii pojawia się także następujące zjawisko: pisarz może więcej zarobić za pokraczne wystąpienie w bankrutującym college'u, niż za opowiadanie-arcydzieło. A na dodatek może na okrągło sprzedawać to samo przemówienie i nikt nie będzie miał do niego cienia pretensji.

Ludzie tak rzadko narzekają na złe wystąpienia, nawet takie, za które zapłacono tysiąc dolarów czy więcej, że się zastanawiam, czy ktokolwiek ich słucha. Tuż przed wygłoszeniem w Amerykańskiej Akademii Literatury i Sztuki oraz Narodowym Instytucie Sztuk i Literatury przemówienia (znajdującego się w tej książce) usłyszałem ciekawą opinię o tym, jak ludzie przyjmują takie wystąpienia.

Przed wykładem aż mnie mdliło z tremy. Siedziałem między starym, sławnym architektem i prezesem Akademii. Trzej chudzielcy o twarzach

bez wyrazu, oko w oko z audytorium. Rozmawialiśmy ze sobą jak więźniowie na filmach, snujący plany ucieczki pod baczny spojrzeniem strażników.

Powiedziałem architektowi, jak strasznie się boję. Spodziewałem się słów otuchy. Tymczasem odparł bez cienia współczucia i tak głośno, że słyszał go prezes: ów prezes przeczytał tekst mojego wystąpienia i uznał je za niestrawne.

Spytałem prezesa, czy to prawda.

- Tak - odparł. - Ale nie ma się czym martwić.

Przypomniałem mu, że przecież mam wygłosić tę obmierzłą mowę.

- Nikt nie będzie pana słuchał - zapewnił mnie. - Ludzi rzadko obchodzi treść wystąpienia. Po prostu na podstawie pańskiego głosu, gestów i mimiki chcą się dowiedzieć, czy jest pan uczciwym człowiekiem.

- Dziękuję - odparłem.

- Zaraz poproszę o ciszę - dodał. Po czym to zrobił. A ja wygłosiłem prelekcję.

W cudownej erze przeszczepiania narządów oraz innych form leczniczej wiwisekcji, nie powinienem protestować, gdy jeszcze za życia dokonują sekcji moich zwłok. Zrobiło mi to właśnie dwóch sympatycznych, młodych profesorów, Jerome Klinkowitz z Uniwersytetu Północnej Iowa i John Somer z Wyższej Stanowej Szkoły Pedagogicznej w Kansas. Wydali coś na kształt pośmiertnego tomu - zbiór esejów na mój temat pod tytułem „The Vonnegut Statement” („Oświadczenie Vonneguta”). Planują następny: zbiór wszystkich rzeczy napisanych przeze mnie, a nie wydanych jeszcze w formie książkowej.

Przedstawili mojemu wydawcy zastraszająco szczegółową bibliografię. Nie odnotowuję publikacji swoich artykułów i o wielu z przyjemnością zapomniałem. Zabójcza lista Klinkowitza i Somera odświeżyła moją pamięć. Zrobili to z dobroci serca. Uważali się za archeologów, którzy wydobywają na światło dzienne prymitywne dzieła sztuki mogące pomóc w wyjaśnieniu mojego rozwoju. Ale niektóre najpaskudniejsze prace powstały zupełnie niedawno. Kiedy przeglądałem to śmietnisko, niewątpliwie dzieło moich rąk, wcale nie czułem się jak duch Tutenchamona. Czułem się jak ohydnie żywy człowiek, który zupełnie słusznie został oskarżony o drobne przestępstwa.

Z tego całego śmietnika poskładałem tę książkę. Bez pomocy Klinkowitza i Somera by mi się to nie udało, bo wiedzieli, gdzie została ukryta większość ciał. Są jeszcze trzy lub cztery moje artykuły, do których nie dotarli. Nawet poddany *veglia*, która jest podobno najbardziej bolesną torturą wymyśloną przez Ziemię, nie zdradzę, gdzie i kiedy zostały opublikowane te teksty.

To jednak nie jest książka zawierająca spisy brudnej bielizny oddawanej do pralni. Z przyjemnością ocalam te rzeczy. Wiele esejów nigdy nie zostało opublikowanych w formie książkowej, i bardzo dobrze; poza jednym, zatytułowanym „Hart ducha”, scenariuszem krótkiego, nie nakręconego filmu science fiction. To jedyny reprezentant fikcji literackiej w tej książce.

W pozostałych staram się wypowiedzieć na różne tematy naga prawdę, bez osłony fikcji. I tak znaleźliśmy się w centrum dyskusji o „nowym dziennikarstwie”, które we współczesnej literaturze stoi w

opozycji do beletrystyki.

Tukidydes był pierwszym, znanym mi, Nowym Dziennikarzem. Jako znana osobistość całym sercem stawał po stronie prawdy, którą chciał wypowiedzieć; czarował i bawił, kiedy uznawał to za stosowne i potrzebne. Był dobrym nauczycielem. Nie chciał uśpić swych uczniów prawdą i starał się wyrazić ją tak dobitnie, żeby ją zapamiętali.

Należy go podziwiać za użyteczność i ducha obywatelskiego, tak też trzeba traktować każdego, kto teraz pisze czy uczy w ten sposób. Na przykład z tego powodu uwielbiam Huntera Thompsona i dałem temu wyraz w recenzji zamieszczonej w tej książce.

Czy jestem Nowym Dziennikarzem? Chyba tak. Znalazło się tu parę przykładów na to: reportaże o Biafrze i konwencji republikańskiej w 1972 roku. To są luźne, osobiste notatki.

Ale już mnie nie kusi pisanie takich rzeczy. Trochę tego w życiu nabazgrałem, ale teraz znów dochodzę do wniosku, że świadome pisanie beletrystyki jest znacznie prawdziwszą metodą wypowiedzenia prawdy niż Nowe Dziennikarstwo. Albo innymi słowy, najświetniejsze Nowe Dziennikarstwo jest beletrystyczne. W obu tych formach sztuki jesteśmy szczególnie wrażliwymi reporterami. Nowemu Dziennikarzowi brak takiej wolności, jaką ma powieściopisarz, który dużo mówi wprost i dobitnie pokazuje różne rzeczy. Nie może zabrać swego czytelnika do wielu miejsc, gdy tymczasem pisarz może go zaprowadzić wszędzie, nawet i na Jupitera, jeśli znajduje się tam coś ciekawego do obejrzenia.

W obu wypadkach najważniejszą rzeczą jest - jak się tego nauczyłem w Amerykańskiej Akademii Literatury i Sztuki - czy osoba starająca się

powiedzieć prawdę sprawia wrażenie uczciwego człowieka.

Kiedy myślę o relacjach dziennikarskich i beletrystyce, przypomina mi się, jak poznałem różnicę między hałasem i melodią. Usłyszałem to i zobaczyłem bardzo dawno temu, w trakcie kursu podstawowego fizyki na uniwersytecie Cornell. (Fizyka dla początkujących jest bez wątpienia najlepszym kursem prowadzonym na wszystkich amerykańskich uniwersytetach.) Profesor rzucił listewką długości mniej więcej bagnetu w zbudowaną z pustaków ścianę.

- To jest hałas - powiedział.

Po czym wziął siedem listewek i rzucił nimi w ścianę szybko jedna za drugą, jakby ciskał nożami w cyrku. Listewki zdawały się grać pierwsze takty kołysanki „Mary miała baranka”. Byłem zachwycony.

- To jest melodia - powiedział.

I beletrystyka jest melodią, a dziennikarstwo - nowe czy stare - hałasem.

Profesor zrobił także wykład o równowadze. Stał za ustawionym z przodu sali wykładowej rzędem szafek długości dwudziestu stóp, sięgających mu do pasa. Przywiązał sobie sznurek do palca. I gdy opowiadał o równowadze, wyglądało, jakby się bawił jo-jo, którego nie widzieliśmy, bo było schowane za szafkami.

Robił to przez blisko godzinę. Wreszcie uniósł rękę, tak że zobaczyliśmy, co było na drugim końcu sznurka. Była to drewniana listwa długości dwudziestu stóp przewiązana sznurkiem w połowie długości.

- To jest równowaga - powiedział.

Nieustannie tracę i odzyskuję równowagę, na tym właśnie opiera się podstawowy wątek fabularny całej literatury popularnej. I sam jestem dziełem fikcji. Pamiętam, jak kiedyś spotkałem się z Hilly'em Elkinem. Właśnie kupił prawa do ekranizacji „Kociej kołyski”, więc starałem się zachowywać w cywilizowany sposób. Zrobiłem jakieś cywilizowane uwagi, a Hilly pokręcił przecząco głową i powiedział:

- Nie, nie. Pozuj się na Willego Rogersa, a nie na Cary'ego Granta.

Właśnie odzyskałem równowagę. Dziś rano dostałem list od dwunastolatka. Przeczytał moją ostatnią powieść „Śniadanie mistrzów” i tak napisał: „Drogi panie Vonnegut! Proszę nie popełniać samobójstwa.” Bóg go kocha. Odpisałem mu, że dobrze się czuję.

Ta książka jest dedykowana osobie, która pomogła mi odzyskać równowagę. Powiedziałem, że mnie zakroniczyła. To kolejne wymyślone słowo. Przyszła do mnie z gorącym pragnieniem, żeby kronikować moje wspaniałe życie dzień po dniu na błonie fotograficznej. Skończyło się na czymś znacznie głębszym niż samo kronikowanie.

Wywiad dla „Playboya”, zamieszczony w tej książce, jest niemal tak fikcyjny, jak moje przelotne naśladowanie Gary'ego Granta. Znalazło się tam, co powinienem powiedzieć, a nie co rzeczywiście powiedziałem. „Playboy” pokazał mi zapis nagrania magnetofonowego i wyraźnie zobaczyłem, że przynajmniej jedno łączy mnie z Joshepem Conradem: angielski jest moim drugim językiem. W odróżnieniu od Conrada nie mam języka ojczystego, więc z długopisem, ołówkiem, nożyczkami i gumką zabrałem się do pracy nad zapisem, aby stworzyć wrażenie, że mówię

moim językiem ojczystym i z łatwością przychodzi mi myślenie o ważnych sprawach.

To właśnie najbardziej mnie pociąga w zawodzie pisarza: daje okazję, by cierpliwi i pracowici przeciętniacy poddali korekcie własną głupotę i wycięli zbędne rzeczy, budując pozór inteligencji. Pozwala także szaleńcom wyglądać na normalniej-szych od ludzi normalnych.

Oto moja opinia na temat wszechświata i dotychczasowego miejsca ludzkości.

Pozorne zakrzywienie wszechświata to złudzenie. Wszechświat jest prosty jak drut, ma tylko pętle na obu końcach. Pętle są mikroskopijne.

Jeden koniec drutu znika w nieskończoność. Kończąca go pętla w nieskończoność ucieka przed zagładą. Drugi koniec rośnie w nieskończoność. Ta pętla w nieskończoność ugania się za Genesis.

Na początku i na końcu była Nicość. Nicość sugeruje możliwość Czegoś. Nie można zrobić czegoś z niczego. Dlatego Nicość może tylko sugerować Coś. Tą implikacją jest wszechświat - prosty jak drut, o czym już wspomniałem, z pętlami na obu końcach.

Jesteśmy okruchem tej implikacji.

Wszechświat nie roi się od życia. Tylko w jednym punkcie mieszkają na nim stworzenia, które potrafią to zanalizować i skomentować. Ten punkt to planeta Ziemia, która w nieskończoność znajduje się dokładnie w centrum tej implikacji, w środku między końcami.

Całe to migotanie i lśnienie na niebie w nocy może być równie dobrze iskrami z ogniska kowbojów, bo zawiera dokładnie tyle samo życia i mądrości.

Co zaś się stało z ludźmi wymienionymi w tej książce? Do końca wojny mniej Biafrańczyków zostało zarżniętych przez Nigeryjczyków, niż sądziłem. Nigeryjczycy byli miłosierni. Mózgi wielu biafrańskich dzieci zapewne zostały na trwałe uszkodzone przez głód spowodowany blokadą nigeryjską.

Te upośledzone dzieci są w dokładnym centrum wszechświata i przynajmniej będą miały więcej honoru od Richarda M. Nixona i będą bardziej czujne od Boga.

Pan Nixon to w tej książce postać drugoplanowa. Jest pierwszym prezydentem, który nienawidzi Amerykanów i wszystkich uznawanych przez nich wartości. Chociaż popełnił ohydne przestępstwa, wierzy w swoją własną czystość z takim przekonaniem, że skłoniło mnie to do wyciągnięcia następującego wniosku: w bardzo wczesnej młodości ktoś mu powiedział, że wszystkie poważne wykroczenia mają naturę seksualną, więc człowiek staje się kryminalistą wyłącznie masturbując się lub cudzołóżąc.

Jednak się przydał, bo nam wytknął błąd zawarty w Konstytucji, zakładającej po dziecinnemu, że nigdy nie wybierzemy prezydenta, który nie będzie nas lubił. Dlatego musimy wnieść poprawkę do Konstytucji, żeby łatwiej nam przyszło usunąć takiego człowieka z urzędu, a nawet wtrącić go do więzienia. W tej chwili to mój główny, utopijny plan. Bardziej dalekosiężny projekt obejmuje zapewnienie każdemu Amerykaninowi sztucznej, dalszej rodziny liczącej tysiąc i więcej członków. Dopiero wtedy, gdy pokonamy samotność, będziemy mogli bardziej sprawiedliwie dzielić się bogactwem i pracą. Głęboko wierzę, że

wkrótce będziemy mieli takie rodziny, i z czasem staną się międzynarodowe.

Miałem ochotę umieścić w tym tomie nieco poezji, ale odkryłem, że przez te wszystkie lata napisałem tylko jeden wiersz, który zasługuje na istnienie jeszcze przez minutę. Oto on.

Robimy

Głupi krok, głupi krok, głupi krok,

Co musimy,

Mętny mus, mętny mus, mętny mus,

Mętny krok,

Mętny krok, mętny krok, mętny krok,

Aż trzaśniemy,

Ciała trzask, ciała trzask, ciała trzask.

Jeden z moich zagubionych tekstów, a mam nadzieję, że panowie profesorowie Klinkowitz i Somer nigdy go nie znajdą, dotyczy długu wdzięczności wobec czarnej kucharki pracującej w domu, w którym spędziłem dzieciństwo. Nazywała się Ida Young i z nikim nie spędziłem tyle czasu, co z nią - oczywiście do chwili ślubu. Znała na pamięć Biblię i znalazła w niej źródło pociechy oraz mądrości. Wiedziała również wiele o historii Ameryki - znała fakty, które nadal budzą zachwyt oraz są pamiętane i komentowane przez nią samą i innych Murzynów w Indiana, Illinois i Ohio, także Kentucky i Tennessee. Czytała mi również ze zbioru poezji sentymentalne wiersze o miłości, która nigdy nie umiera, o

wiernych psach i skromnych chatach, gdzie mieszka szczęście, o starzejących się ludziach, odwiedzinach na cmentarzach i maleństwach, które umarły. Pamiętam tytuł tej książki i szkoda, że nie mam egzemplarza, bo tak wiele jej zawdzięczam.

Książka nosiła tytuł „More Heart Throbs” („Drgnienia serca”) i od niej z łatwością przeskoczyłem do „The Spoon River Anthology” („Rzeka Spoon. Antologia”) Edgara Lee Mastersa, potem do „Main Street” („Główna ulica”) Sinclaira Lewisa i „USA” Johna Dos Passosa, a dalej do mojego obecnego sposobu myślenia. We wszystkim, co piszę, kryje się wręcz nieznośny sentymentalizm. Narzekają na to brytyjscy krytycy. A Robert Scholer, amerykański krytyk, powiedział kiedyś, że chowam słodkie pigułki pod gorzką osłonką.

Za późno już na zmianę. Ale przynajmniej wiem, skąd się wywodzę: z wielkiego, ceglanego domu zupełnie jak ze snu, zbudowanego wedle projektu mojego ojca, architekta, gdzie przez długi czas byłem tylko ja i Ida Young.

W tej książce znajduje się tekst o Tonym Costa, mieszkańcu przylądka Cod, znajomym mojej córki Edith. Został oskarżony o dokonanie serii morderstw. Uznano go za niepoczytalnego umysłowo, a zatem nie podlegającego zwykłej karze. Napisał do mnie. Nie mógł uwierzyć, że porządny, rozsądny człowiek jak on, mógł popełnić zbrodnie, o które oskarżyła go policja.

Kiedy zbliżał się termin jego procesu, był najślawniejszym Amerykaninem oskarżonym o serię morderstw. Znani reporterzy sądowi napisali o nim przynajmniej dwie książki.

A wtedy, na przeciwległym wybrzeżu kontynentu, Charles Manson i

kilku członków jego „rodziny” zostali aresztowani za zamordowanie kilku znanych osób. Costa utracił status sławnej osobistości - w jednej chwili stał się tym, kim był od początku, zaledwie okruczem implikacji.

Ja też nim jestem. Jak i moi rodzice. Okruczy implikacji się mnożą. Sam zostałem ojcem trzech okruców i adoptowałem kolejne trzy. To jest takie dziwaczne. A na dodatek głęboko wierzę, że podróżuję w czasie. Jutro znów będę miał trzy lata. A pojutrze będę sześćdziesięcioletkiem.

Może ta książka w jakiś sposób ustabilizuje moją percepcję. Przecież w końcu ma to być coś na kształt mapy miejsc, w których podobno byłem, i rzeczy, które podobno zrobiłem w ciągu około dwudziestu lat. Ułożyłem te wskazówki w podobno chronologicznym porządku. Jeżeli, jak sądzi większość ludzi, czas jest prostym sznurkiem identycznych koralików, i jeśli starzeję się z godnością, to druga połowa tej książki powinna być lepsza od pierwszej.

Ale tak nie jest. W tekstach niebeletrystycznych znajduję niewiele dowodów na to, że w ogóle dojrzałem. Nim doszedłem do siódmej klasy, już z entuzjazmem podkradłem i przywłaszczyłem sobie wszystkie użyte w nich idee.

Wycieczki w świat fikcji literackiej okazały się zaś znacznie bardziej zaskakujące i interesujące, przynajmniej dla mnie. Może rzeczywiście tutaj trochę dorosłem. Miło by było, gdyby to była prawda. Mogłoby to dowodzić, że dzieła wyobraźni same w sobie mają siłę stwórczą.

Jeśli człowiek o zupełnie przeciętnym umyśle, jak ja, poświęci się wydawaniu na świat dzieł wyobraźni, te dzieła w z kolei będą kusić i pociągać zwykły umysł ku mądrości. Mój przyjaciel, malarz, James Brooks, powiedział mi ubiegłego lata: „Maluję pierwszą kreskę na kanwie.

Potem to już do kanwy należy odwalenie przynajmniej połowy roboty”. To samo można stwierdzić o papierze do pisania, glinie, taśmie filmowej i wibrujących cząsteczkach powietrza oraz tych wszystkich pozbawionych życia substancjach, które ludziom udało się przemienić w nauczycieli i towarzyszy zabaw.

Mówię głównie o Amerykanach. Niewiele wiem o innych narodach. Przez jakiś czas sądziłem, że Amerykanie rzeczywiście mądrzeją dzięki eksperymentowaniu z substancjami chemicznymi wprowadzanymi do organizmu albo metodom medytacji przejętym z Azji. Ale teraz muszę przyznać, że wszyscy ci podróżnicy wrócili do amerykańskiego banału bez żadnych dzieł sztuki i z opowieściami o wyprawach, które stymulują tylko ich samych.

Dlatego teraz wierzę, że Amerykanie jedynie poprzez entuzjastyczny i bliski kontakt z dziełami własnej wyobraźni mogą wznieść się ponad swą przeciętność i dojrzeć na tyle, by ocalić siebie i pomóc ocalić planetę. Nie jestem szczególnie zadowolony z owoców własnej wyobraźni, z mojej beletrystyki. Po prostu fascynują mnie te nieoczekiwane przebliski, którymi jestem hojnie obdarzany, gdy moim zadaniem jest wyobrażanie sobie, a które tak kontrastują z drewnianymi, wytartymi pomysłami, które zawalają mi biurko, gdy za zadanie mam mówienie prawdy.

Z poważaniem Kurt Vonnegut

Wiele lat temu pracowałem w Schenectady dla firmy General Electric, gdzie ze wszystkich stron otaczały mnie maszyny oraz projekty nowych urządzeń, dlatego napisałem powieść o maszynach i ludziach, w której, jak to bywa, często wygrywały maszyny. (Nazywała się „Pianola” i niedawno znów została wydana w twardej oprawie oraz wersji kieszonkowej.) Zaś z recenzji dowiedziałem się, że jestem pisarzem science fiction.

Nic o tym nie wiedziałem. Uważałem, że piszę powieść o życiu, o rzeczach, które musiałem widzieć i słyszeć w Schenectady, bardzo realnym mieście, które wbrew sobie trafiło do rzeszoty literatury. Od tego czasu jestem niechętnym lokatorem szuflady oznaczonej nalepką „science fiction”, chciałbym się z niej wyrwać, zwłaszcza że tak wielu poważnych krytyków stale myli ją z urynałem.

Najwidoczniej, by dostać się to tej szuflady, pisarz winien zainteresować się techniką. Panuje powszechne przekonanie, że nie można być szanowanym pisarzem, jeśli się pojmuje zasadę działania lodówki, podobnie jak dżentelmen nie nosi brązowego garnituru w mieście. Chyba winne są temu college'e. Wiem, że studentów angielskiego zachęca się do znienawidzenia chemii i fizyki oraz poczucia dumy z tego, że nie są nudni, obleśni, wyprani z poczucia humoru i żądni wojny, jak przyszli inżynierowie uczący się w sąsiednim budynku. A nasi najbardziej znani

krytycy byli takimi studentami literatury i po dziś dzień obawiają się techniki. Dlatego to naturalne, że gardzą powieściami science fiction.

Ale są także ludzie, którzy cieszą się z całej duszy, bo zostali zaklasyfikowani do kategorii „pisarze science fiction”, i obawiają się, że być może pewnego dnia będą znani tylko jako zwykli autorzy opowiadań, którzy poza innymi rzeczami wspominali o owocach trudu naukowców i wynalazców. Cieszą się z tego status quo, ponieważ ich koledzy kochają ich tak, jak kiedyś podobno kochali się członkowie dużych, tradycyjnych rodzin. Pisarze science fiction często się spotykają, by dodawać sobie otuchy i chwalić, wymieniają listy na dwadzieścia i więcej stron gęstego druku, razem piją w serdecznej atmosferze i na milion sposobów doskonale się ze sobą bawią.

Znam ich wielu, to porządni i fajni ludzie, ale teraz muszę publicznie ogłosić prawdę, która ich bardzo rozzłości: kochają zrzeszanie się. Są klubem. Ponieważ tak bardzo kochają własną paczkę, dlatego powstał rodzaj literacki science fiction. Uwielbiają spędzać noce na dyskusji: „Co to jest science fiction?” Równie dobrze można by się zapytać: „Kim są członkowie Zakonu Opieki i Wspierania Łosia?” Albo: „Co to jest Zakon Wschodniej Gwiazdy?”

No cóż, świat wolny od bezsensownych stowarzyszeń byłby ponury. Byłoby znacznie mniej uśmiechów i wychodziłaby tylko garstka książek. Jedno trzeba przyznać publikacjom science fiction: jeśli ktoś umie choć trochę pisać, to go pewnie wydrukują. W Złotym Wieku czasopism, który trwał jeszcze niedawno, potrzebowano tak wiele niewyobrażalnego zgoła śmiecia, że doprowadziło to do wynalezienia elektrycznej maszyny do pisania, a także przypadkowo sfinansowano moją ucieczkę z Schenectady.

Piękne czasy! Teraz wychodzi tylko jeden typ czasopism, do którego może zgłosić się bełkocący bez sensu student drugiego roku literatury i natychmiast zostać uznany za pisarza. Zgadnij, jaki to typ.

Co oczywiście nie oznacza, że wydawcy pism, antologii i powieści tego typu są pozbawieni gustu. Wręcz przeciwnie, i czasami mam z nimi do czynienia. Około 75 procent pisarzy i 95 procent czytelników science fiction słusznie można oskarżyć o brak gustu, choć raczej jest to niedojrzałość. Większość ciemniaków nie łapie się za książki o dojrzałych związkach, nawet z maszynami. Wszystko, co trzeba wiedzieć o nauce, zostało w pełni opisane w „Popular Mechanics” w 1933 roku. Wszystko, co trzeba wiedzieć o polityce, ekonomii oraz historii, można *znaleźć* w „Information Please Almanac” za 1941 rok. Wszystko, co trzeba wiedzieć o związku mężczyzny i kobiety pochodzi głównie z wersji przyzwoitej oraz pornograficznej „Maggie and Jiggs”.

Przez jakiś czas uczyłem w cokolwiek niezwykłej szkole średniej dla cokolwiek niezwykłej młodzieży, i chłopcy zaczytywali się we wszystkim, choć głównie w najnowszych powieściach science fiction. Nie rozróżniali poszczególnych tekstów, chociaż były porządnie napisane. Moim zdaniem, przede wszystkim pociągała ich nowość, jaką stanowiły dla nich komiksy bez obrazków, ale także klarowna obietnica przyszłości, z którą mogli sobie poradzić tacy, jakimi wtedy właśnie byli. W takich przyszłościach pełnili funkcję co najmniej wysokiej rangi oficerów-ochotników, tacy właśnie, jakimi właśnie byli: prawiczkami z trądzikiem i całą resztą.

Co dziwniejsze, nie podniecał ich amerykański program kosmiczny. Nie dlatego, że program był dla nich zbyt dojrzały. Wręcz przeciwnie, z

pogodą ducha zdawali sobie sprawę, że pracują w nim i finansują go podobni do nich młodzieńcy, którym też słoń nadepnął na ucho. Po prostu byli realistami: wątpili w to, że kiedykolwiek zdobędą dyplom ukończenia szkoły średniej i wiedzieli, że byle głupek, który chce pracować w tym programie, musi mieć przynajmniej magisterium, a naprawdę dobre posady trafiają się głupkom z doktoratem.

Nawiasem mówiąc, większość ich jednak dostała dyplom ukończenia szkoły średniej. I wielu czyta z przyjemnością o przyszłości, terażniejszości, a nawet przeszłości, z którą nikt nie może sobie poradzić: „1984”, „Niewidzialny Człowiek”, „Madame Bovary”. Przepadają za Kafką. Wielbiciele science fiction mogą na to zawołać: „Ha! Orwell, Ellison, Flaubert i Kafka to też pisarze science fiction!” Często mówią takie rzeczy. Trafiają się wariaci, którzy próbują złowić Tolstoja. Równie dobrze mógłbym twierdzić, że każdy ważny człowiek należy do Delta Ypsilon, mojej własnej loży, bez względu czy o tym wie, czy też nie. Kafka byłoby straszliwie nieszczęśliwym członkiem D.Y.

Posłuchaj, teraz będzie o redaktorach naczelnych, autorach antologii i wybawcach, którzy podtrzymują przy życiu oddzielną gałąź literatury: science fiction. W większości są to świetni, wrażliwi i dobrze poinformowani ludzie. Należą do tego wąskiego grona wyjątkowych Amerykanów, w których umysłach słodko połączyły się dwie kultury, zgodnie z teorią C.P. Snowa. Wydają tak dużo śmiecia, bo trudno znaleźć dobre teksty, a sądzą przy tym, że ich obowiązkiem jest zachęcanie każdego pisarza, nawet i najgorszego, jeśli tylko starcza mu odwagi, by włączyć technikę do człowieczego równania. Powodzenia. Chcą mieć bujne obrazy nowej rzeczywistości.

I od czasu do czasu takie im się trafiają. Obok najgorszych tekstów w historii amerykańskiego piśmiennictwa (pomijając pisma dla nauczycieli) wydrukowali też i najlepsze. Mimo skromnych środków finansowych i niedojrzałych czytelników, udało im się zdobyć parę naprawdę doskonałych opowiadań, bo dla kilku rzeczywiście dobrych pisarzy sztuczna kategoria, ta szuflada oznaczona „science fiction” zawsze będzie domem. Ci pisarze starzeją się szybko i zasługują na określenie wielcy. Nie brak im oznak szacunku. Loża niezmiennie obdarza ich uznaniem. I miłością.

Loża zniknie. Wszystkie loże wcześniej czy później znikają. i coraz więcej pisarzy „głównego nurtu” - ludzie z klubu science fiction tak określają świat na zewnątrz ich szuflady - będzie do swych tekstów włączało technikę i w narracji przydzielili jej wreszcie należne miejsce, takie jakie choćby przypadają złej macosze. A tymczasem, jeśli piszesz opowiadania, które mają kulawe dialogi, papierowe motywacje, kiepskie opisy i są wyprane ze zdrowego rozsądku, dorzuć tylko trochę chemii, fizyki czy nawet czarów, a potem wyślij je do czasopisma science fiction.

*PRZELOTNE SPOTKANIA NA ŚRÓDLĄDOWEJ DRODZE
WODNEJ*

Motorowy pięćdziesięciostopowy jacht „Marlin”, był klasyczną jednostką zbudowaną w 1930 roku dla Edsel Ford. Wspaniała, zwarta konstrukcja z mahoniem i szkła, wysunięty kokpit z oddzielną szybą od Stutza Bearcata i kadłubem wymarżonym dla przemytnika alkoholu aż się prosiły, by wizytę na pokładzie złożył Jimmy Walker i Texan Guinana. Ale przez ostatnich dziewięć lat był słoneczną, lekką, wysoce praktyczną łodzią codziennego użytku dla Josepha P. Kennedy’ego i jego licznego potomstwa. I chociaż od czasu do czasu odbywały się na nim polityczne konferencje wielkiej wagi, to w trakcie lata, gdy cumował w porcie Hyannis, głównie gościły na nim dzieci.

Od 1930 roku ten jacht numer 132 miał blisko dziewięciu właścicieli. Zaprojektowany został w firmie Eldredge-McInnis, Inc., a zbudowany przez F. D. Lawley, Inc., obie z Quincy w Massachusetts. Napędzają go dwa duże silniki firmy Chrysler Imperial - w sumie 225 koni mechanicznych. W kabinach leżą stosy nart wodnych, wędek i pozostawionych tu płetw w każdym rozmiarze. Pod poduszką na jednej z ław jest flaga rodziny: biały proporzec z dwoma dużymi, różowymi gwiazdami na środku i dziewięcioma mniejszymi na górze.

Kapitan „Marlina”, Frank Wirtanen z West Barnstable na przyładku Cod, tak mówi o swych obecnych obowiązkach:

- Nie sędę, żeby bezdzietny facet, który nie rozumie dobrze dzieci, potrafił długo to robić i nie oszaleć ze szczętem.

Kapitan Wirtanen jest absolwentem Akademii Morskiej w Massachusetts. Dowodził tankowcami i w czasie wojny, i w czasie pokoju. Wyposażył jacht Kennedych w gumowe maty i luki odpływowe, dzięki czemu może w miarę szybko zmyć węzłem resztki ciastek czekoladowych i kanapek z masłem fistaszkowym i galaretką.

Niedawno kapitan Wirtanen poprosił, żebym stał się członkiem jego jednoosobowej załogi, kiedy zabierze swój sławny jacht na doroczny, jesienny spływ z portu Hyannis do West Palm Beach przez śródlądową drogę wodną. Jednostki pływające milionerów pokonują ten trasę co roku, a właściciel bardzo rzadko gości na pokładzie.

- Tak - odpowiedziałem mu. - Zgoda.

Mów na mnie Molly Bloom. Mów na mnie Ishmael.

Jestem głupcem, gdy idzie o pieniądze. Zgodziłem się pracować za bardzo skromne wynagrodzenie oraz ile tylko zdołam ugotować i zjeść, a to okazało się mnóstwem. Myślę, że jadłem tak dużo, bo ciągle głowiłem się, która jest lewa burta, a która sterburta. Frank uparcie używał terminów żeglarskich.

Frank spał w kajucie na rufie, która dzięki żaluzjom z zewnątrz wyglądała na najbardziej luksusową. W rzeczywistości mieściła się tam maszynownia i Frank spał na hamaku wiszącym nad dwoma błękitnymi chryslerami.

Spałem na wąskiej koi w głównej kabinie. Znajdowała się tam dwupalnikowa kuchenka gazowa, staromodna lodówka, kredens z przeszklonymi drzwiczkami, które się wypaczyły, i zlew wielkości

melonika.

- Z całym szacunkiem dla Kennedych - powiedziałem - ale to by była świetna dekoracja do sztuki Clifforda Odetsa na temat lat wielkiego kryzysu. „Kurtyna się podnosi i widzimy kuchnię w mieszkaniu przy linii kolejowej na Lower East Side.”

Na mostku były przeciągi, a w oknach wisiały płócienne zasłony. Bardziej nowoczesne jednostki mają w salonie pulpit sterowniczy połączony ze stereofonicznym telewizorem, a kompas jest schowany pod pokrywą z plastikowego palisandru.

Jedyniej rozrywki dostarczało nam radio. Odbierało podstawowe stacje, ale one nie interesowały Franka. Jego zdaniem, zabawa polegała na słuchaniu pasma wzywania pomocy. Przez cały boży dzień dobiegały z niego trzaski i szumy. Od czasu do czasu ktoś wzywał Straż Nadbrzeżną, pytając, czy go słyszą. I na tym koniec.

- Nie chcesz posłuchać wiadomości politycznych? - spytałem. Jako kapitan „Marlina” Frank poznał wielu znanych polityków: Johnsona, oczywiście całą rodzinę Kennedych i Bóg wie jeszcze kogo. - Nie ciekawi cię, jak sobie radzą wszyscy twoi sławni znajomi?

- Co?

- Nic takiego.

Śródlądowa droga wodna w takiej czy innej formie prowadzi oczywiście przez cały kraj. Odcinek, z którego korzystaliśmy, był systemem zatok, jezior, rzek i ich odnóg u wybrzeży Atlantyku, pogłębiony do dwunastu stóp i połączony kanałami, oznaczony czytelnie,

niczym alejki zadbanego supermarketu. „Powoli - duży ruch” albo „Przystań Billa i Thelmy Sunoco. 8 mil. Przyjmujemy wszystkie karty kredytowe” - głośiły znaki po drodze.

Przy tych wszystkich mostach zwodzonych, ostrych zakrętach, ograniczeniach prędkości i dużym ruchu podróżowaliśmy wolno - cała wyprawa zajęła nam czternaście dni - ale podróż była ciekawa, często urocza i na dodatek bardzo bezpieczna.

Nie ma tam jednej drogi, lecz wiele odgałęzień i skrótów, czyli mnóstwo możliwości. Całość nie podlega jednej firmie rządowej, za poszczególne odcinki odpowiadają agencje federalne i stanowe, a często te położone dalej od głównych szlaków pozostają w rękach prywatnych przedsiębiorstw.

Niektórzy romantycy twierdzą, że droga wodna ciągnie się aż do samego Maine. Nie zgadzam się z tym, bo Frank i ja niemal straciliśmy „Marlina” na październikowych burzliwych wodach zatoki Buzzards i Long Island Sound mimo uwijania się za dziesięciu. Przemknęliśmy przez Nowy York na nieregularnej fali między kawałkami skórki pomarańczowej, musieliśmy opłynąć Sandy Hook, bo nie było innej drogi, i pokonawszy wzburzone wody, zobaczyliśmy gładką tafłę, cumując w Manas-quam, New Jersey.

W tym cichym miejscu rzeczywiście zaczyna się droga wodna.

W Manasquan rozpoznano „Marlina”. Pojawiał się wiele razy w wiadomościach i miał łobuzerski wdzięk Kennedych. Rzuczał się w oczy.

Nabierałem paliwa, gdy po nabrzeżu przykuśtykał stary mężczyzna, żując nie zapaloną fajkę. Przypatrywał się dłuższą chwilę, zanim się

odezwał.

- Łódź Kennedych? - spytał wreszcie.
- Tak.
- Prowadzicie ją do Washington D.C.?
- West Palm.
- Wychodzi na to samo - pokiwał głową z ponurą mądrością.

Następnego ranka, ponieważ było ładnie, wypuściliśmy się z Frankiem bliżej oceanu. Droga śródlądowa dawała okazję zerknięcia na otwarte wody. Gdy tylko pogoda dobrze się zapowiada, najlepiej płynąć tak właśnie, chyba że się jest w podróży poślubnej. W ten sposób rzeczywiście szybko się posuwa naprzód.

Dlatego nie zdołałem zobaczyć wiele z odcinka śródlądowego w Jersey. Frank twierdził, że miałbym ubaw po pachy, pyrkocząc przez ogrody różnych ludzi.

Przecieliśmy kanał do przylądka May i skierowali na zatokę Delaware. U początku kanału Delaware i Chesapeake zatrzymała nas łódź patrolowa wojsk inżynieryjnych. Podporucznik chciał wiedzieć, jak długo płyniemy, jakie mamy zanurzenie i tym podobne historie. Powiedzieliśmy mu, że mamy zanurzenie trochę poniżej trzech stóp.

- Właściciel? - spytał.

Odpowiedź była nieco skomplikowana, bo jacht właściwie należy do wspólnika w interesach pana Kennedy'ego. Frank podał jego nazwisko.

- Adres?
- Korespondencję przesyła się na ręce Josepha P. Kennedy'ego, port

Hyannis, Massachusetts - oparł Frank.

Podporuczniczyna nawet nie mrugnął okiem, jakby nic nie skojarzył.

- Ulica i numer domu?

- Nie ma. To mała miejscina. Wszyscy się tam znają - wyjaśnił Frank.

Spędziliśmy noc w przystani nad kanałem i znów nabrali paliwa, tym razem 160 galonów. Frank dokonał obliczeń.

- Palimy niecały galon na milę.

- To dobrze, Frank?

- Fantastycznie.

Kiedy dotarliśmy do West Palm, podliczyłem całość kupionego paliwa - w sumie 1522 galony.

Przystanie są rozsiane dogodnie na całej trasie. Zawsze jest blisko po paliwo albo do mechanika, chociaż często okazują się kiepscy.

- W przeciętnym gospodarstwie mają więcej narzędzi, niż on trzyma w torbie - słyszałem, jak Frank mówił o jednym z nich. - Nawet przy zakręcaniu butelki Four Roses, nakrętka weszłaby mu krzywo na gwint.

Przystanie zarabiają najwięcej na przejezdnych dzięki stacji benzynowej, bo czerpią dochody ze sprzedaży paliwa. Przeciętna opłata za całonocny postój wynosi około siedmiu centów za stopę długości pokładu - śmiesznie mało, biorąc pod uwagę, że zwykle za darmo można korzystać z elektryczności, wody, prysznic i pokojów telewizyjnych.

Podobnie jak zwykle stacje benzynowe, przystanie bywają najróżniejsze, od lśniących czystością do niesłychanie brudnych. Na najnowszych mapach morskich zaznaczają ich położenie i wymieniają oferowane usługi. Zasada podstawowa: im dalej na południe, tym

przystanie bardziej luksusowe. Oczywiście.

I nie trzeba spędzać każdej nocy w przystani. Jest coś takiego jak kotwica.

Na kanale Chesapeake i Delaware napotkaliśmy z Frankiem flotyllę jachtów milionerów płynącą na południe. W przystani zacumowało ich przynajmniej ze dwadzieścia, a parę mogłoby zabrać „Marlina” jako łódź ratunkową.

Na naszym pulpicie sterowniczym znajdowała się plakietka z wygrawerowanym napisem „O Boże! Twe morze jest tak potężne, a moja łódź tak mała!” Kiedy pierwszy raz to przeczytałem, pomyślałem sobie: „Mimo wszystko pięćdziesiąt jeden stóp to całkiem niezły rozmiar”. Naprawdę to jest nic.

Na pokładzie nie było ani jednego milionera, ale ich kapitanowie, kucharze i członkowie załogi raczyli się „U Schaefera”, słynnej restauracji specjalizującej się w potrawach z ryb. W sali pełnej ludzi morza panuje niepokojąca atmosfera. Nikt nie patrzy na sąsiada, wszyscy obserwują horyzont.

Usiedliśmy razem ze starym znajomym Franka, Bertem, pochodzącym z Nowej Szkocji. Miał sześćdziesiąt lat, jasno-błękitne oczy i cerę w kolorze zniszczonej skrzynki żeglarskiej. Był panem „Charity Annę Browning”, sześćdziesięcioośmios-topowej jolki. Spotkał Franka piętnaście lat temu. Frank nie znał jego nazwiska, tylko imię, ale i tak był o oczko wyżej od Berta. Bert nie pamiętał żadnych imion czy nazwisk. Do wszystkich zwracał się per „kapitanie”. Nawet do mnie. Kiedy

stwierdziłem, że nie jestem kapitanem, wyłączył mnie z rozmowy. Nie wiedziałem, że na śródlądowej drodze wodnej każdy jest „kapitanem”. Zaprzecz, a znikniesz.

Bert zaprosił nas i głęboko nieszczęśliwego Szweda, nazywającego się Gunther, na pokład „Charity Annę Browning” na drinka. Gunther był kapitanem „Golden Hind VI”, małego liniowca oceanicznego, który górował nad „Marlinem” niczym Miasto Boże.

„Charity Annę Browning” wyglądała z zewnątrz jak bardzo porządna jednostka handlowa, może używana do przewozu kopry. Pod pokładem przypominała apartament nowożeńców w najnowszym motelu w Reno - grube dywany, trzy łazienki wykładane kafelkami, długaśna sofa pokryta skórą pantery i straszliwy upał. W kajucie właściciela na wielkim łóżku odsunięto narzutę. Bielizna pościelowa była wyhaftowana w niezapominajki.

Nigdy nie podnoszono żagli. Jolka miała wielki, mocny silnik spalinowy, na którym mogłaby odlecieć. Frank później powiedział: „Tak jej potrzebne żagle, jak atomowej łodzi podwodnej”.

Bert utrzymał wnętrze w nieskazitelnej czystości w bardzo prosty sposób: nikomu nie pozwalał czegokolwiek używać. Nie dał nam się zbliżyć do sofy. Popęlniłem błąd sięgając po popielniczkę, zabrał mi ją natychmiast, umył i z pietyzmem schował do szafki.

Później widziałem jak wieczorem Bert i jego dwuosobowa załoga mimo zimna idą po nabrzeżu, żeby skorzystać z toalety na przystani i nie zabrudzić własnej.

Kiedy zobaczyłem posłane łóżko, spytałem Berta, czy spodziewa się przybycia właściciela. Odparł, że nie sądzi, by się z nim spotkał wcześniej niż za trzy miesiące.

- Właściciel? - spytał Gunther, który był w bardzo dobrym nastroju. - A cóż to takiego, u licha, jest? Jak takie coś wygląda?

- Nigdy nie widziałeś właściciela? - spytałem.

- O, tak, ciągle go widuję... Dwie godziny w zeszłym roku, piętnaście minut dwa lata temu. W ostatnim liście napisałem: „A może tak bym dostał aktualne zdjęcie?” To jest zupełnie zwariowany kraj. Co roku buduje się tysiące jachtów dla ludzi, którzy nie chcą wejść na pokład. To po co im one? Może, żeby się mogli pochwalić damie: „Mam łódź z kapitanem i całą resztą”.

- Czy twój właściciel odpowiada na listy?

- O, tak. Pisze: „Popłyn do Bar Harbor”. Albo „Popłyn do Miami”. „Przeprowadź ją przez Cieśninę Magellana i pomaluj na niebiesko”. - Szwed przewrócił oczami. - Płaci dobrze. Nawet dostaję podwyżki. Ale co jakiś czas budzę się w środku nocy i szepczę do siebie: „Hej, Gunther, co ty, u licha, robisz?”

W ciągu dnia luksusowa flotylla nie trzymała się razem. Pomknęliśmy w dół zatoki Chesapeake. Nikt się nie umawiał na następne spotkanie. Część stosowała nawigację dla leniwych, jacht podążał w ślad za inną jednostką i kapitan nie zwracał sobie głowy mapami, czytaniem kompasu i temu podobnymi drobiazgami.

Frank przestrzegł mnie przed siadaniem komuś na ogon.

- Najbardziej niebezpieczna wiara w tych stronach, to przekonanie,

że facet przed tobą wie, co robi - powiedział. Wyjaśnił, że na większości jachtów płynących na Florydę żeglują szalone dzieciaki, często są to krewni właściciela i szukają guza.

Później, z powodu pęknięcia w rurze wydechowej kolektora, zmniejszyliśmy prędkość do dziesięciu węzłów (normalnie płynęliśmy z prędkością piętnastu węzłów). Minał nas wytworny jacht turystyczny robiący trzydzieści. Kapitan wołał do nas na paśmie wzywania pomocy, do którego oczywiście byliśmy dostrojeni. Aleja przyzwyczailem się do hałasów i nie słyszałem go, a Frank był pod pokładem.

- Hej, „Marlin”! Obudź się! No, „Marlin”, odpowiedz!

- Jacht „Marlin” - odpowiedział Frank, który wreszcie go usłyszał.

- Słuchaj, na jachcie „Marlin”. Masz jakieś mapy?

- Tak.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, gdzie z grubsza jestem?

Dowiedział się, czego chciał, ale cztery dni później znów zobaczyliśmy ten jacht, stał zacumowany w Elizabeth City w Północnej Karolinie. Nie miał śrub i steru.

Na północ od Norfolk na śródlądowej drodze wodnej panuje ostry klimat konkrety. Ruch jest duży i harmonijny. Na brzegach kwitnie, dymi i huczy przemysł. Na południe od Norfolk, zwłaszcza wzdłuż wolniejszej trasy starego odcinka wiodącego przez kanał Dismal Swamp, szlak się zwęża, zwisają nad nim gałęzie drzew, a klimat jest łagodniejszy i słodko-malaryczny. Po raz pierwszy można sobie wyobrazić, że jest się Huckiem Finnem.

Zdjęliśmy z Frankiem kurtki, podwinęliśmy rękawy i podciągnęli

płócienne zasłony na mostku. Od dozorca śluz kupiliśmy słoiki miodu. Gdy śluz wypełniała się wodą, rozeszła się wieść, że przepływa jacht Kennedych.

- Nie macie Bobby'ego na pokładzie? - zawołał ktoś szyderczo z brzegu.

- Nie - odparł Frank. - Jesteśmy na Południu - wyjaśnił mi.

Aż do Florydy ciągnęły się bujne, niezamieszkane trzęsawiska

Południa. Trzeba było wymijać melodramatyczne karpy i łachy błota.

Woda przypomniała kawę, a jakie ptaki widzieliśmy! Powiedziałem Frankowi, że z przyjemnością stwierdzam, jak dzika jest nadal duża część wschodniego wybrzeża. Przez większość wyprawy nudziłem się okropnie.

Walczyliśmy z monotonią podróży, jedząc jak świnie i strasząc dźwiękiem rogu przeciwmgielnego kormorany siedzące na znakach wzdłuż kanału.

- Zmiataj z mojego znaku! - wrzeszczał Frank i włączał róg i obaj jedliśmy wątrobiankę albo kanapki z miodem, albo inne obrzydlistwa, które miały pomóc Frankowi dojść do siebie po operacji wrzodu.

Któregoś dnia minęliśmy kecz pod żaglami. Mężczyzna przy rumplu tonął w zwałach tłuszczu. Był groteskowo gruby, ale przy tym ogorzały i o męznym wyrazie twarzy, jakby czekało na niego mnóstwo ciężkiej, niebezpiecznej roboty.

- Żeglowanie - odezwał się Frank z pełnymi ustami - nie jest wcale zajęciem wymagającym krzepy, za które bywa uważane.

Najlepszą część wyprawy stanowiło spacerowanie wieczorem po nieznanym miastach, miasteczkach i wioskach: Elizabeth City, Morehead

City, Myrtle Beach, Charleston, Isle of Hope, Jacksonville, Cocoa i wreszcie West Palm.

Nigdy nie zapomnę urywka rozmowy, który podsłuchałem w Charleston w Południowej Karolinie:

- To jest kobieta, która na ulicy nawet na mnie nie spojrzy. Ale mogę do niej zadzwonić i będzie ze mną rozmawiała godzinami.

Przed wyruszeniem na wyprawę, wiele razy buńczucznie rozmawialiśmy, jak to kobiety będą latały za mną i Frankiem, gdy zacumujemy jacht Kennedych w przystani. Ale w pobliżu przystani rzadko trafiała się kobieta.

- One tylko udają, że lubią łodzie, po to, by złowić właściciela - wyjaśnił mi jeden kapitan. - Dla przeciętnej kobiety łódź jest jeszcze jednym cholernym domem na głowie, tylko że mniej wygodnym, na dodatek mężczyzna rządzi się nią jak kapitan Bligh, ona za grosz nie ufa silnikowi czy kanalizacji, ma daleko po zakupy i do pralni.

Na przystani tylko raz udało nam się z Frankiem dłużej porozmawiać z kobietą. Nie poleciała na nas jęcząc z zachwytu. Przynajmniej przede wszystkim była wielbicielek Goldwata. A poza tym sama żeglowała na łodzi większej od naszej i płynęła nią z Ithaki w stanie Nowy Jork do Key West.

Pogratulowaliśmy jej odwagi, umiejętności i żółtego sztor-miaka.

- W domu nazywają mnie Pąklą - powiedziała.

Zapytałem ją, dlaczego uwielbia Goldwata.

- Każdy mężczyzna, który potrafi latać swoim samolotem, nawigować jachtem, zreperować radio i wywołać film, jest u mnie pierwszy na liście.

Kiedy kapitan przystani rozpoznawał „Marlina”, zwykle dzwonił do lokalnej gazety i pojawiało się w niej zdjęcie jego, Franka, jachtu i mnie. Ale najmilej powitał nas Murzyn, który wiązał nasze cumy w Jacksonville.

- Dobry Boże - powiedział. - Czy to łódź Prezydenta? Pana Kennedy’ego?

Żeby nie komplikować spraw, potwierdziliśmy. Poklepał czule burtę i pokiwał głową.

- Muszę o tym powiedzieć żonie. To najlepsza rzecz, jaka mi się w życiu przydarzyła. zasłony są nadal zaciągnięte. Przez co najmniej dwa miesiące nikogo tu nie będzie. A kiedy wreszcie dotrą na miejsce, nikt nie zwariuje na tyle, żeby się wpakować na pokład. Frank zauważył, że Kennedy często korzystają z „Marlina”.

- Oszaleli - stwierdził Gunther. - I jak ci się podobała nasza wspaniała śródlądowa droga wodna? - spytał mnie.

- Hmm... Następnym razem wolałbym płynąć wolniej. Chciałbym zwiedzać okolice, łowić ryby, zarzucać kotwicę w odnogach i rano budzić się wśród ptaków. Każdy, kto ma czas, może wieść wspaniałe życie na drodze wodnej.

- Najpierw kup sobie jacht - rzucił Gunther.

Kiedy dotarliśmy do West Palm, czekał na nas Gunther, nieszczęśliwy Szwed. Jego mały liniowiec oceaniczny pobił „Marlina” o trzy godziny.

- Oto jesteśmy - powiedział Frank.

- I co z tego? - odparł ponuro Gunther. - Popatrz! Wszystkie

HALO, GWIAZDA VEGA

Ta współpraca między Carlem Saganem z Harvardu i Josefem Szmuelowiczem Szkłowskim z Instytutu Astronomicznego Sternberga w Rosji stanowi komedię najprzyjemniejszego rodzaju. Na początku nic nie zapowiadało współpracy, ale wszystko się inaczej potoczyło: dr Sagan z takim entuzjazmem zaopatrzył w przypisy amerykańskie wydanie książki Szkłowskiego „Wselennaja, Żizn, Razum” (Wszechświat, Życie, Rozum), że stał się współautorem. To odpowiadało Szkłowskiemu, który jeszcze pogrubiał tom, dodając przypisy do przypisów Sagana. W rezultacie powstało zdumiewająco miarodajne dzieło o wszechświecie, adresowane do zwykłych ludzi.

Oto przykładowe zdania: „Dlaczego słońce świeci?” Albo: „Wyobraź sobie wszechświat jako nie upieczone ciasto z rodzynekami”. Sagan dodaje: „Robiono już gorsze porównania”.

Współautorzy nigdy się nie spotkali. Rosjanin napisał do Amerykanina: „Prawdopodobieństwo naszego spotkania jest zapewne mniejsze, niż prawdopodobieństwo wizyty kosmonauty z innej planety na Ziemi”. Niemożliwość spotkania nie miała nic wspólnego z polityką. Po prostu obaj astronomowie nie podróżują. A tak na marginesie, to prawdopodobieństwo, że pewnego dnia odwiedzi nas ktoś z innego układu, albo być może już do nas zawitał, jest znacznie większe niż zero. Autorzy książki wyliczyli, że we wszechświecie może być tyle dostatecznie rozwiniętych cywilizacji, by ktoś zaglądał na Ziemię mniej więcej co tysiąc lat.

Spieszę jednak dodać: są pewni, że nikt teraz u nas nie przebywa. Sagan spędził ostatni rok w Komitecie analizującym raporty amerykańskich sił powietrznych dotyczące UFO i stwierdził:

„Mit latających spodków stanowi zgrabny kompromis między i potrzebą wierzenia w tradycyjnego, paternalistycznego Boga I i presją współczesności, by przyjąć twierdzenia nauki... Powtarzające się przypadki widzenia UFO i uparte zaprzeczenia amerykańskich sił powietrznych oraz odpowiedzialnych członków społeczności naukowców sprawiły, że niektórzy założyli i istnienie konspiracji mającej na celu ukrycie przez społeczeństwem rzeczywistej natury UFO. Ale właśnie dlatego, że ludzie tak bardzo pragną uznania nie zidentyfikowanych obiektów latających za pochodzące od inteligentnych, pozaziemskich istot, uczciwość nakazuje, byśmy przyjęli wyłącznie najbardziej logiczne i przekonujące dowody.”

W tym duchu Szklowski i Sagan zaprzeczają, że, poza matematycznym prawdopodobieństwem, istnieją stanowcze dowody, jakoby kiedykolwiek złożono nam taką wizytę.

Prawdziwe sensacje kryją się w przyszłości. Autorzy, ostrożnie wypowiadający się na wiele tematów, właściwie obiecują, że Ziemianie będą pewnego dnia badali całą Drogę Mleczną poruszając się z prędkością bliską prędkości światła. Mówią o międzygwiazdnych silnikach odrzutowych napędzanych atomami rozrzuconymi w przestrzeni, o antymaterii jako paliwie, oczywiście zamkniętej w magnetycznych butlach. Cierpliwie wyjaśniają mi znów to, czego jako głupiec nigdy nie

zrozumiem: dlaczego serca i zegary w sposób naturalny zwalniają, gdy rakietę osiąga niemal prędkość światła, dlaczego czas w rakiecie kosmicznej jest czymś zupełnie innym, niż czas pokazywany przez mój zegar na kominku.

Wierzę w to i wiele innych rzeczy, ponieważ wydaje mi się, że to mój obowiązek. Ale płacę cenę za moją dzieciinną łatwowierność, opisałbym ją jako coś w rodzaju intelektualnej choroby morskiej.

Astronom amerykański jest bardziej ludzkim pisarzem niż jego kolega, bo w serdecznych, ironicznych dygresjach przyznaje, że czytelnik może być, zupełnie słusznie, przerażony i o krok od mdłości. Dr Sagan uznał za stosowne dołączenie, poza zdumiewającymi zdjęciami galaktyk i gwiazd podwójnych, jako ilustracji rysunków Charlesa Schulza i Charlesa Addamsa, które pokornie łączą istoty ludzkie (oraz Fistaszki) ze wszechświatem. Natomiast dr Szklowski jest niedbałym Tomem Swiftem z trylionami rubli do wydania.

A tak przy okazji, to ludzki rozum już wywołał radykalne zmiany w Układzie Słonecznym. Ziemia nagle stała się potężnym źródłem energii pola elektromagnetycznego. Powiada humanista Sagan: „Tak oto typowe oznaki życia na Ziemi, które mogą być wyłapane w przestrzeniach międzygwiazdnych, zawierają nieszczęsne, amerykańskie programy telewizyjne”. Jakaż to ponura myśl, że Gomer Pyle i „Beverly Hillbillies” być może znaleźli się pośród naszych głównych, międzygwiazdnych emisariuszy.

NIEWYKONALNE ZADANIE

Nie można nauczyć ludzi dobrze pisać. Dobre pisanie to coś, co Bóg albo pozwala ci robić, albo nie. Większość mądrych ludzi o tym wie, ale konferencje pisarzy ciągle się mnożą w trakcie pocziwego, amerykańskiego lata. W ostatnim, kwietniowym, numerze „The Writer” wymieniono ich sześćdziesiąt osiem. W przyszłym roku będzie więcej. To nieszkodliwe pogaduszki. Widziałem, jak rodziła się jedna z nich - Konferencja Pisarzy z przylądka Cod, Craigville, w Massachusetts. Została właściwie wymodlona do życia przez żony trzech kaznodziei. Panie w średnim wieku. Pewnego zimowego wieczoru zaprosiły paru pisarzy z Cod oraz nauczycieli angielskiego i ich rzeczniczka tak powiedziała:

- Pomyślałyśmy, że byłoby miło, gdyby latem przyszłego roku odbyła się konferencja pisarzy z przylądka Cod.

Pamiętam, że dodała.

- Pomyślałyśmy, że uznani pisarze z radością pomogliby takim jak my debiutantom wejść na rynek.

I tak się stało. Tegoroczną gwiazdą jest Isaac Asimov. Przeszłe gwiazdy to Richard Kim i Jacques Barzun. W pierwszym roku zgłosiło się dwudziestu sześciu studentów, potem czterdziestu trzech, następnie sześćdziesięciu trzech, w kolejnym roku osiemdziesięciu dwóch, a w sierpniu spodziewają się blisko setki. Większość to kobiety. Liczna grupa to żony kaznodziejów w średnim wieku.

I tak to idzie.

Ostatnio, gdy gratulowałem jednej z założycielek, tak mi odpowiedziała:

- No cóż, wszyscy świetnie się bawimy. Jak pan wie, pisarze wiedzą bardzo samotne życie, więc rzeczywiście sprawia im przyjemność spotkanie raz do roku i rozmowa o tym, co ich łączy.

Oczywiście najprzyjemniejsza część zabawy to udawanie, że wszyscy przybywający na konferencję są pisarzami. Natychmiast przychodzą na myśl kolejne formy niewinnej, letniej rozrywki: konferencje lekarzy, gdzie każdy udaje, że jest lekarzem; konferencje prawników, gdzie każdy udaje, że jest prawnikiem i tak dalej; może nawet konferencje Kennedych, gdzie każdy udaje, że jest w jakiś sposób powiązany z Kennedymi.

Możesz zapytać: „Kto przyjeżdża na konferencje pisarzy?” W przypadkowej grupie dwudziestu studentów zwykle znajduje się sześć osób świeżo po rozwodzie, trzy żony w średnim wieku, pięciu nauczycieli różnego wieku i płci, dwie rzeźkie babcie, jeden słodki wdowiec z autentyczną historią budowy kolei w Idaho, jeden prawdziwy pisarz, jeden nawet nie młody-gniewny, ale całkowicie rozwścieczony młodzieniec, jeden fizyk pękający w szwach od gromadzonych przez czterdzieści lat tajnych informacji, które chce sprzedać wytwórni filmowej za okrągły milion.

Możesz zapytać: „Czy w trakcie konferencji pisarzy jest dużo seksu?” Wykładowcy w żadnym razie nie przyjeżdżają w tym celu. Nienawidzą konferencji. Przyjechali po pieniądze. Są półprzytomni. Chcą pobrać czek i wrócić do domu. Zdarzają się wyjątki, które potwierdzają regułę.

Widziałem, jak rodziła się następna konferencja pisarzy, było to niedawno: 18 czerwca tego roku. Wybrałem tę datę, bo w tym dniu zorganizowano spotkanie zapoznawcze studentów i wykładowców na początku konferencji pisarzy West-Central, finansowanej przez Uniwersytet Zachodniego Illinois, który mieści się w Macomb, Illinois. Spotkanie odbywało się w motelu w Mocomb, mieszczącym się między pralnią publiczną i sklepem „A&W Rootberr”, ponieważ była gorzała. A prawo zabrania podawania gorzały w miasteczku uniwersyteckim.

Organizatorem i dyrektorem nie była żona kaznodziei. Okazał się nim pochłaniający cygara młody nauczyciel angielskiego, nazwiskiem E.W. Johnson. W informatorze o konferencji podał, że był sprzedawcą używanej odzieży, robotnikiem na budowie i zawodowym hazardzistą. Jest także pisarzem i autorem podręczników oraz jedynym wykładowcą w Uniwersytecie Zachodniego Illinois, który wydał książkę. Johnson siedział ponury w czasie imprezy, bo wysłał tysiące folderów, zamieścił drogie reklamy w „Writer’s Digest” oraz „Saturday Review”, a zgłosiło się zaledwie dziewiętnastu studentów. Siedzieli w pokoju wodząc rozmarzonymi spojrzeniami i czekali na nawiązanie nowych znajomości.

- Nie rozumiem tego - powiedział przekrzykując dźwięki muzyki i hałas dobiegający z Drogi nr 136, gdzie odbywały się zawody, kto szybciej ruszy samochodem. - Mamy wykładowców nie gorszych, niż na każdej innej konferencji w kraju.

Wykładowcy rzeczywiście należeli do kategorii przynajmniej niezłych, jeśli nie całkiem dobrych. Byłem ja, opisany w folderze jako „czołowy przedstawiciel czarnego humoru w beletrystyce amerykańskiej”;

Richard Yates „niewykluczone, że największy, żyjący autor opowiadań w Ameryce”, także Joth Clellon Holmes „oficjalny biograf pokolenia beatowców”, który właśnie skończył powieść zatytułowaną: „Doskonali głupcy”, napisaną z punktu widzenia „białego humoru” oraz Frederic Will, jeden z najbardziej wszechstronnych pisarzy w Ameryce, opublikował bowiem osiemnaście książek: poezję, literaturę faktu i przekłady”.

- W pewnym momencie wyglądało, że zjawi się tylko pięciu studentów - przyznał Johnson. - A w ogóle to nigdy wcześniej nie byłem na konferencji pisarzy.

Spytałem go, dlaczego ją zorganizował, odparł, że nie dla pieniędzy. Jako dyrektor otrzymuje normalne pobory wykładowcy. Naprawdę chciał pomóc pisarzom.

Impreza zamarła koło północy. Wszyscy się rozeszli, został tylko Johnson, paru wykładowców i dziewczyna, która niedawno się rozwiodła - z Arabem, jak twierdziła. Siedzieliśmy nad basenem, wdychając chlor i tlenek węgla.

- Wiesz, dlaczego tak mało ludzi przyjechało? - spytała dziewczyna.

- Nie - odparł Johnson.

- Bo „Macomb, Illinois” wygląda na dziurę, a nazwa Uniwersytet Zachodniego Illinois kojarzy się z beznadziejną szkółką - wyjaśniła.

Miała absolutną rację. Najbardziej atrakcyjna konferencja pisarzy powinna się odbywać w Acapulco pod wspólnymi auspicjami Harvardu i Oksfordu, a po tygodniu z kawałkiem każdy powinien dostać dyplom pisarza.

Jednak najbardziej porządna ze znanych mi letnich konferencji

odbywa się w dziurze bardzo podobnej do Macomb - w Bloomington, Indiana. Organizuje ją doskonały uniwersytet, który tam się mieści: Uniwersytet Indiany. W Bloomington szczególnie podziwiam uparte powtarzanie, że żaden potencjalny pisarz nie może się wiele nauczyć czy jakoś szczególnie rozwinąć w trakcie jednego, głupiego tygodnia, więc każdy, kto poważnie myśli nad wejściem do tego fachu, lepiej zrobi przyjeżdżając co roku po kolejną ocenę, a tymczasem powinienem pisać jak szalony.

Cztery gwiazdy fiaska w Macomb były obecnymi lub dawnymi nauczycielami z Warsztatów Pisarskich na Uniwersytecie Iowa, gdzie studentów trzyma się latami, a nie parę dni. E.W Johnson dostał tam dyplom na wydziale sztuk pięknych. Oszczedłem po dwóch latach: nie ze złości, ale z przesytu. Przez ten czas moja własne pisanie leżało odłogiem. Studenci, doborowe towarzystwo z całego kraju, są tak utalentowani, produktywni i odpowiedzialni, że praca z nimi wypełnia dnie i noce aż po brzegi. I niech to szlag trafi.

- Jak im pomogłeś? - możesz zapytać.

No cóż, same Warsztaty sprawiają, że studenci zaczynają uważać pisanie za poważne i użyteczne zajęcie, powstaje bowiem wspólnota pisarzy, której nawet twórcy mieszkający w Nowym Jorku nie znaleźli u siebie. Za wykładowców mają zawodowych autorów, którzy odnieśli sukces, a teraz za cel przyjęli zachęcanie do pracy i ostrzeganie przez błędami wywodzącymi się z głupoty i uporu.

Jeśli chodzi o mnie, to próbowałem pomóc świetnym studentom, by stali się tymi, na kogo się urodzili i unikałem onieśmiania ich arcydziełami wielkich, znacznie od nich starszych, pisarzy. Uciekając się

do raczej przerażającej metafory, przyznam, że próbowałem sięgnąć im do ust, unikając ugryzienia albo zaczepienia o migdałki. Chciałem złapać koniec szpuli taśmy telegraficznej tkwiącej w głębi gardła każdego ze studentów. Miałem zamiar wyciągnąć ją po calu, żebym i ja, i student mógł przeczytać jej treść. Było na niej zapisane jego literackie przeznaczenia, które nie ma nic wspólnego ze mną czy Uniwersytetem Iowa.

W Macomb, czy na innym letnim kursie, nie ma okazji do takiej ekstrawaganckiej laryngologii.

Pastor kościoła unitariańskiego usłyszawszy, że spotkałem się z Maharishi Mahesh Yogi, guru Beatlesów, Donovaną i Mii Farrow, zapytał mnie:

- Czy jest oszustem?

Nazywa się Charley. Unitarianie w nic nie wierzą. Jestem unitarianinem.

- Nie - odparłem. - Już samo spotkanie mnie uszczęśliwiło. Jego wibracje są cudowne i głębokie. Naucza, że człowiek nie urodził się, by cierpieć i nie będzie cierpieć, jeśli praktykuje medytację transcendentálną - a to przecież bułka z masłem.

- Nie wiem, czy żartujesz, czy mówisz poważnie.

- Lepiej, żebym nie żartował, Charley.

- To dlaczego mówisz to tak ponuro?

- Bo moja żona i osiemnastoletnia córka w to wpadły. Obie przeszły obrzęd inicjacji. Medytują parę razy dziennie. Już nic je nie złości. Promienieją niczym mosiężne bębny ze światłem w środku.

Spotkałem Maharish w Cambridge, Massachusetts, po tym jak moja córka wpadła, zanim wpadła moja żona, i dokładnie tego dnia, gdy wpadła Mia Farrow. Było to w styczniu tego roku. Mia Farrow już od ponad roku wspominała, że jest człowiekiem medytacji transcendentálnej, ale wciskała kit. Bardzo chciała nim zostać. Bez obrzędu inicjacji nie można być nim naprawdę.

I nie każdy może tego dokonać. Musi to zrobić Maharishi, co jest

wielkim zaszczytem, albo któryś z nielicznych nauczycieli przez niego wykształconych. Panna Farrow dostąpiła tego wielkiego zaszczytu w pokoju hotelowym Maharishi w Cambridge. Mojej żonie i córce musiał wystarczyć nauczyciel w mieszkaniu bostońskiego malarza i muzyka jazzowego, który medytuje.

To jest prywatna sprawa, ale w inicjacji nie ma żadnej tajemnicy. Wcześniej chodzi się na kilka publicznych wykładów, które są pogodne i dodają otuchy. Prowadzący mówi ci z miłością, że medytacja jest łatwa, a jeśli się ją robi prawidłowo, to bez pudła zmienia człowieka w szczęśliwego, cnotliwego i bardziej wydajnego. Wykładowca nie wyjaśnia, czym ona jest, bo nie potrafi. Twierdzi, że trzeba jej doświadczyć samemu.

Wtedy prosisz nauczyciela o spotkanie, a on zadaje ci bardziej osobiste pytania. Chce wiedzieć, czy bierzesz narkotyki, pijesz, czy jesteś pod opieką psychiatry albo po prostu wariatem. Musisz być wolny od narkotyków i alkoholu oraz normalny, by wziąć udział w inicjacji. Jeśli jesteś leczony na jakieś świry, to ci powiedzą, żebyś wrócił po zakończeniu leczenia.

Jeśli nauczyciel uzna, że jesteś w porządku, to ci mówią, żebyś się w określonym dniu zgłosił pod podany adres, przyniósł ze sobą chusteczkę do nosa jako prezent, owoce i kwiaty oraz siedemdziesiąt pięć dolarów. Studenci i gospodynie domowe płacą trzydzieści pięć.

Zatem jak na razie zainwestowałem w nową religię siedemdziesiąt pięć dolarów. Maharishi twierdzi, że jego historia nie jest religią, ale techniką. Jednak dość często na koktajlach, gdy w pobliżu jest moja żona lub córka, można usłyszeć, jak mówię nadąsany:

- Jak na razie wsadziłem siedemdziesiąt cholernych dolców w tę

nową religię.

Pieniądze są przeznaczone na opłacenie podróży Mistrza i innych nauczycieli, którzy nie żyją wystawnie, a księgi przychodów i rozchodów prowadzą porządnie, do wglądu na żądanie. To nie jest religia w stylu Południowej Kalifornii. Sierżant Friday nie wpadnie za moment.

W trakcie inicjacji do tego czegoś, co dla zwolenników zdecydowanie nie jest religią, w pokoju znajdujesz się tylko ty i twój nauczyciel. Palą się kadzidełka, stoją zapalone świece i małe zdjęcie Maharishi oraz jego zmarłego Mistrza, Świątobliwego Swami Brahmananda Saraswati, Jagadguru Bhagwan Shankaracharya z Jyotir Math.

Twój nauczyciel, najczęściej Amerykanin w garniturze, poda ci twoją własną, osobistą mantrę: dźwięk, który, gdy go kontemplujesz, umożliwia ci wejście w głąb własnego umysłu. Wybieranie dźwięków, które zwykle są słowami w sanskrycie, to specjalna sztuka praktykowana przez nauczyciela, o przepraszam, jego umiejętność.

Moja żona zapytała nauczyciela, skąd wie, jaki dźwięk dać konkretnej osobie, a on odpowiedział, że to trudno wytłumaczyć.

- Ale wierz mi - dodał - to jest wiedza.

W jej przypadku wiedza się sprawdziła. Gdy po raz pierwszy usłyszała swoją mantrę, od razu głęboko zanurkowała w głębiny własnego umysłu. W tych głębinach jest ekstaza. Potwierdza to każdy, kto tam dotarł. I wielu z nurków Maharishi mówi na podstawie własnego doświadczenia twierdząc, że ta ekstaza jest piękniejsza i odsłania więcej niż zalanie w trupa.

I glina nie może cię zapakować do pudła.

Ta nowa religia („To nie jest religia, ale technika”) proponuje wyjątkowe przyjemności, nie przeciwstawia się istniejącym instytucjom oraz wyznaniom, nie domaga się ofiar ani praktykowania cnót i jest zupełnie pewna. Pochłonie klasę średnią na całej konającej planecie - a planeta niewątpliwie umiera od zatrutego powietrza i wody.

Ma dużą reklamę. W styczniu, gdy poprosiłem Jego Świątobliwość, a tak należy się zwracać do Maharishi, o wywiad, jego asystent powiedział, żebym „natychmiast” zgłosił się do hotelu w Cambridge. Nie obchodziło go, kim jestem, mogłem być równie dobrze nikim. Byłem jedynie okazją do zareklamowania. Uprawiający medytację transcendentalną chcą wielkiego rozgłosu, bo naprawdę wierzą, że ich technika może zbawić świat.

W jaki sposób?

Maharishi tak pisze w „The Science Of Being and Art of Living” („Nauka Bycia i Sztuka Życia”) wydanym przez International Spiritual Regeneration Movement Publications, 1966.

„Jeśli się nie jest szczęśliwym, nie można doświadczać pokoju. Wszystkie godne uznania cele Organizacji Narodów Zjednoczonych jedynie dotyczą problemu światowego pokoju. Jeśliby skorzystać z umysłów i możliwości mężów stanu we wszystkich krajach do popularyzowania i skutecznego nakłonienia poszczególnych osób, aby praktykowały medytację transcendentalną, oblicze ziemi zmieniłoby się w okamgnieniu. Jak długo mężowie staniu nie wiedzą o szansie na poprawę życia ludzi, która jest w ich wnętrzach i daje trwałą pokój, szczęście i twórczą inteligencję, tak długo problem pokoju światowego będzie

rozwiązywany tylko pozornie, a świat dalej będzie cierpieć przez zimne i gorące wojny.”

Co sądzicie o kimś w rodzaju Lyndona Johnsona czy George’a Wallace’a? - spytałem jakiegoś wyznawcę w hotelu Maharishi. Przed zamkniętymi drzwiami pokoju Mistrza kręcił się tłum, złożony głównie z młodych białych ludzi. Chłopiec, którego zapytałem, był studentem Uniwersytetu Bostońskiego i grał na gitarze. - Czy spodziewacie się, że oni też zaczną medytować?

- Jeśli nawet nie zaczną - odpowiedział - to zmieniają się na lepsze, bo dzięki medytacji transcendentalnej ludzie wokół nich będą się zmieniać na lepsze.

Oto kolejna, pociągająca cecha nowej religii: nurkując w głębiny swego umysłu za każdym razem skutecznie wpływasz na rozwiązanie problemów światowych.

Przed drzwiami czekała pani w średnim wieku, która chciała dowiedzieć się od Mistrza, czy prawidłowo medytuje. Bała się, że źle to robi. Mówiła o tym tak, jakby nurkowanie w głębiny umysłu dawało jej tyle przyjemności, co pływanie pieskiem w rzece Cuyahoga w Cleveland.

- Czy robienie tego źle jest niebezpieczne? - spytałem ją. - Czy można od tego zachorować albo zwariować?

- Och, nie - odpowiedziała. - W najgorszym razie czeka cię rozczarowanie.

Jak daleko odeszliśmy od krzyżowania czy rzucania lwom na pożarcie.

Wtedy asystent dał mi naręczę gazet i pism. W każdym z nich

znajdował się duży artykuł o Maharishi: „Look”, „Life”, „Time”, „Newsweek”, „The National Observer”, bostoński „Herald Traveler”, bostoński „Globe”, „The New York Times Magazine”. W tym tygodniu były trzy ważne wydarzenia: przeszczep serca, zdobycie Pueblo i Maharishi. Zrobił także doskonałe wrażenie w „The Today Show”, w „Tonight Show” Johnny’ego Carsona i w programie Narodowej Telewizji Edukacyjnej.

- Przy takiej reklamie pewnie tysiące ludzi chce to z miejsca zacząć robić - powiedziałem do asystenta. - Czy mogą dostać jakąś książkę lub broszurę?

- Nie - odpowiedział. - I nigdy nie zostanie napisana. Nauczyciel musi ci pokazać, jak doświadczać tego subtelnego stanu umysłu i musi sprawdzać twoje przeżycia, gdy postępujesz tą drogą.

- A czy nie mogę iść do kogoś, kto już medytuje, i powiedzieć: „Słuchaj no, powiedz, jak to robisz, będę cię naśladować”.

- Będziesz rozczarowany.

Tu wtrącił się student z Bostonu. Powiedział, że zna dziewczynę, która dała swojemu chłopakowi swoją mantrę. Wprawdzie nie należy nikomu mówić, jak brzmi twoja mantra, ale ta dziewczyna to zrobiła.

- Czy to okropny występki? - spytałem.

Student i asystent wzruszyli ramionami.

- Nie można popełnić nic okropnego. To było tylko niemądre - odparł asystent.

- Co się stało z chłopakiem, gdy używał mantry swojej dziewczyny?

- naciskałem zaciekawiony.

- Był rozczarowany.

Maharishi, zakończywszy medytację, wyszedł ze swego pokoju, a ponieważ obiecano wywiady bardzo wielu dziennikarzom, więc musiał zwołać gigantyczną konferencję prasową w hotelowej sali balowej. Poszliśmy tam wszyscy, na scenie położono skórę jelenia, na której usiadł Maharishi. Bawił się bukietem żółtych chryzantem i poprosił, by mu zadawano pytania.

Jest uroczym mężczyzną: drobnym, często się śmieje, ma złotobrazową skórę, siwą brodę, szerokie bary i mocny tors. Sądząc po muskularnych ramionach i grubych przegubach można by uznać, że z pięćdziesięciu sześciu lat życia większość upłynęła mu na ciężkiej pracy fizycznej. Błąd. Maharishi miał zostać fizykiem, na uniwersytecie Allahabad zrobił magisterium, tak twierdził Cyril Dunn w londyńskim „Observerze”. Maharishi nie udziela informacji na swój temat. Mnich nie powinien tego robić.

Zaraz po otrzymaniu dyplomu został mnichem, nauczywszy się od swoich mistrzów łatwego sposobu medytacji. Tak się składa, że ta prosta technika nie była poważana przez innych guru, którzy starali się osiągnąć błogostan żmudnymi i często groteskowymi metodami. Na łożu śmierci mistrz Maharishi polecił mu, by poszedł w świat i nauczał tego łatwego sposobu. I to właśnie Maharishi robi od dziesięciu lat. Pod koniec tego roku wróci do samotni w Indiach, znów stanie się zwykłym mnichem i nigdy więcej nie będzie występował publicznie. Podobno zgromadził ćwierć miliona wyznawców na całym świecie, a znajdujący się w tym gronie nauczyciele będą przyciągali nowych ludzi.

Tak więc usiadłem na składanym krześle w sali balowej, a za mną

było paruset ludzi praktykujących medytację transcendentalną. Zamknąłem oczy i czekałem, aż poezja tego świętego męża zanieśnie mnie do Indii.

- Maharishi - zaczął dziennikarz. - Czy przejmujesz się głęboko sytuacją na świecie? Czy nie sądzisz, że wszystko straszliwie szybko staje się okropnie ciemne i ponure

- Nie możecie nazwać pomieszczenia prawdziwie ciemnym - powiedział Jego Świątobliwość - jeśli wiecie, gdzie jest włącznik i jak zapalić światło.

- Twierdzi pan, że umysł instynktownie szuka szczęścia. Jaki ma pan na to dowody?

- Jeśli człowiek siedzi przy dwóch radiach nastawionych na różne stacje, instynktownie zwróci swą uwagę na ten program, który sprawia mu największą przyjemność - odpowiedział Maharishi.

- Co pan sądzi o prawach obywatelskich?

- A co to jest?

Wyjaśniono mu istotę prawa obywatelskiego na przykładzie Czarnych, którzy z powodu koloru skóry nie mogą zdobyć ładnych domów, dobrego wykształcenia i pracy.

Maharishi odparł, że każdy prześladowany człowiek może wzrastać poprzez praktykowanie medytacji transcendentalnej. Automatycznie będzie lepiej pracował, zgodnie z zasadami ekonomii będzie dostawał więcej pieniędzy i kupi sobie, co tylko zechce. I już nie będzie prześladowany. Innymi słowy przestanie się wściekać, zacznie medytować, zbierze się do kupy i na rynku pracy zajmie wysoką pozycję, a na tym poziomie wszystkie transakcje są uczciwe.

Wtedy otworzyłem oczy i dobrze przyjrzałem się Maharishi. Nie zawiódł mnie do Indii. Wysłał mnie z powrotem do Schenectady w stanie Nowy Jork, gdzie dawno temu pracowałem w dziale *public relations*. Tam właśnie słyszałem, jak faceci z euforią rozmawiali o życiu porównując je do włącznika radia, oraz o uczciwości na rynku pracy. Też uważali, że ludzie nieszczęśliwi są śmieszni, skoro mogą zrobić tyle prostych rzeczy, by poprawić swoją sytuację. Też mieli dyplomy politechniki. Maharishi przyjechał z Indii tylko po to, by mówić do Amerykanów jak inżynier z firmy General Electric.

Został spytany o zdanie na temat Jezusa Chrystusa. Miał o nim swoją opinię. Zaczął od zastrzeżenia:

- Sądząc po tym, co inni mi o Nim powiedzieli...

Oto człowiek, który z altruistycznych pobudek spędził wiele lat życia w hotelach Ameryki i północnej Europy, żeby uczyć chrześcijan, jak zbawić świat. W większości tych pokojów hotelowych musiała być Biblia umieszczona tam przez Towarzystwo Gideona. A jednak Maharishi nigdy jej nie otworzył, żeby się przekonać, co takiego właściwie powiedział Jezus.

Cóż za chciwy wiedzy umysł.

Zasugerował, że Jezus być może praktykował coś w rodzaju medytacji transcendentalnej, ale ten aspekt jego nauki został wypaczony i zagubiony przez uczniów. W parę minut później stwierdził, że Jezus i święci pierwszych wieków popełnili błąd pozwalając, by ich umysły zeszły z właściwej drogi. Ten błąd w myśleniu Jezusa i świętych doprowadził do tego, co Maharishi nazwał „absurdem”: położenie nacisku na wierze.

- Wiara, w najlepszym razie - oświadczył - pozwala człowiekowi żyć i umrzeć w nadziei. Kościoły mają tylko tyle do zaoferowania i dlatego odstręczają ludzi od siebie.

Znów wróciliśmy do praw rynkowych: kościoły dają cukierki, gdy tymczasem Maharishi proponuje lekarstwo bez recepty, które ma w sobie siłę haubicy obłączniczej. Co wybierasz?

Wyszedłem z hotelu i stwierdziłem, że bardzo polubiłem Jezusa. Chciałem zobaczyć krucyfiks, by móc się do Niego zwrócić: „Wiesz, dlaczego tam jesteś? Z własnej winy. Powinieneś praktykować medytację transcendentalną, bo to przecież bułka z masłem. I na dodatek byłbyś lepszym stolarzem.”

Wtedy wpadłem na znajomego dziekana z Harvardu. Znam tylko jednego dziekana na Harvardzie i właśnie na niego wpadłem. Poprzedniego wieczoru Maharishi przemawiał do pełnej widowni w Sanders Theatre, więc Harvard wiedział wszystko o Mistrzu, dlatego spytałem dziekana, czy medytacja transcendentalna stanie się następną modą wśród studentów.

- Jak pewnie zauważyłeś, wielu studentów wyszło wczoraj w trakcie spotkania - powiedział dziekan.

- Co wpieniło moją żonę i córkę.

- Słyszałem paru studentów, rozmawiających o Maharishi, i uważają jego nauczanie za trochę poniżej ich poziomu - ciągnął. - Ludzie, którzy przyjmując takie rzeczy, chodzą do „The Boston Tea Party”.

„The Boston Tea Party” to piwnica w kościele z czerwonej cegły na południu miasta, gdzie grają rhythm-and-bluesa. Muzycy i widownia to

głównie białe dzieciaki z college'ów. Tam narodził się tak zwany „Bosstown Sound”, który „Newsweek” określa jako antyhippisowski i antynarkotkowy.

- To wygląda na dobrą religię dla ludzi, którzy w trudnych czasach nie chcą mieć żadnych trudności.

- Na Harvardzie jest skoczek o tyczce, który twierdzi, że skacze coraz wyżej dzięki Maharishi - powiedział dziekan.

- A tłum bije brawo.

Moja córka, która zawsze była dobrą artystką, twierdzi, że teraz, dzięki Maharishi, jest znacznie lepsza. Moja żona, która w college'u była dobrą pisarką, chce znów się zabrać do pisania. Obie mi mówią, że pisałbym znacznie lepiej i był pogodniejszy, gdybym dwa razy dziennie nurkował w głębiny umysłu.

Tylko lenistwo powstrzymuje mnie od praktykowania medytacji. Musiałbym wyjść z domu, udać się do Bostonu i spędzić tam kilkanaście dni. A poza tym wątpię, bym miał dość odwagi i był na tyle pozbawiony poczucia humoru, by stanąć przed drzwiami czyjegoś mieszkania z owocami, kwiatami, czystą chusteczką do nosa i siedemdziesięcioma pięcioma dolarami w prezencie.

Dlatego mówię żonie złościwości w rodzaju:

- Co to za święty mąż, który mówi o ekonomii jak wędrowny sekretarz Narodowego Zrzeszenia Wytwórców?

- To ludzie zmuszają go do mówienia o ekonomii. On tego nie chce. To nie jego dziedzina - odpowiada żona.

- Jakim cudem zrobił klapę w Indii, ojczyźnie medytacji, a odniósł

wielki sukces wśród klasy średniej w Skandynawii, Niemczech, Wielkiej Brytanii i Ameryce?

- Na pewno wiele się na to złożyło.

- Może dlatego, że mówi o ekonomii jak wędrowny sekretarz Narodowego Zrzeszenia Wytwórców?

- Myśl sobie co chcesz - odpowiada i dalej, niezmiennie, mnie kocha. Uśmiecha się.

- Jeśli to jest takie dobre, to dlaczego Maharishi nie pójdzie prosto do slumsów, gdzie ludzie naprawdę cierpią?

- Bo chce rozprzestrzeniać swoją naukę jak najszybciej, więc najlepiej zacząć od ludzi wpływowych.

- Jak Beatlesi.

- Między innymi.

- Rozumiem teraz, że wpływowi ludzie polubią Maharishi bardziej od Jezusa. Mój Boże, gdyby Beatlesi i Mia Farrow poszli do Jezusa, powiedziałby im, żeby rozdali wszystkie pieniądze.

A moja żona się uśmiecha.

Czas akcji: współcześnie.

Miejsce akcji: północna część stanu Nowy Jork; duży pokój wypełniają urządzenia, które pulsują, zwijają się i syczą, a ich zadaniem jest spełnianie funkcji różnych narządów wewnętrznych człowieka: serca, płuc, wątroby itp. Od urządzeń idą w górę różnobarwne przewody i rurki, które nikną w otworze w suficie. Z boku stoi wyjątkowo obszerna i skomplikowana konsola.

Doktor Norbert Frankenstein, twórca i szef tego przedsięwzięcia oprowadza po pomieszczeniu młodego doktora Elberta Little, miłego i sympatycznego lekarza ogólnego. Frankenstein ma sześćdziesiąt pięć lat i jest to potężnie zbudowany geniusz medyczny. Przy konsoli siedzi doktor Tom Swift, entuzjastyczny zastępca Frankensteina, na uszach ma słuchawki, patrzy na wskaźniki oraz migające światła.

LITTLE: Och mój Boże... O mój Boże.

FRANKENSTEIN: Uhm... Tam są nerki. Oczywiście jej nerki. Tutaj ma pan jej trzustkę.

LITTLE: Zdumiewające, panie Frankenstein. Patrząc na to zastanawiam się, czy ja w ogóle uprawiam medycynę i czy kiedykolwiek studiowałem w akademii medycznej. To jest jej serce? *(Wskazuje urządzenie.)*

FRANKENSTEIN: To serce Westinghousa. Gdyby pan potrzebował, to robią cholernie dobre serca. Ale ich wątroby za nic nie wziąłbym do

ręki.

LITTLE: Takie serce jest chyba więcej warte niż całe miasteczko, w którym mam praktykę.

FRANKENSTEIN: A trzustka więcej niż cały pański stan. Vermont, prawda?

LITTLE: Vermont.

FRANKENSTEIN: Za pieniądze, które zapłaciliśmy za tę trzustkę, tak, moglibyśmy kupić cały Vermont. Nikt nigdy wcześniej nie robił trzustek, a musieliśmy ją mieć za dziesięć dni albo stracić pacjentkę. Więc powiedzieliśmy wielkim producentom narządów: „OK, chłopcy bierzecie się ostro do roboty nad trzustką. Postawcie do tego wszystkich ludzi. Nie obchodzi nas, ile to będzie kosztować, ale na przyszły wtorek musimy mieć trzustkę”.

LITTLE: I udało im się.

FRANKENSTEIN: Pacjentka żyje, prawda? Niech mi pan wierzy, to są kosztowne wnętrzności.

LITTLE: Ale pacjentkę na nie stać.

FRANKENSTEIN: Tak by pan nie pożył, płacąc z ubezpieczenia.

LITTLE: Ile operacji miała? I od jak dawna?

FRANKENSTEIN: Pierwszą poważną operację zrobiłem jej trzydzieści sześć lat temu. Od tego czasu miała ich siedemdziesiąt osiem.

LITTLE: Ile ma lat?

FRANKENSTEIN: Sto.

LITTLE: Ależ ta kobieta ma nerwy.

FRANKENSTEIN: Właśnie pan na nie patrzy.

LITTLE: Miałem na myśli odwagę... Cóż za hart ducha!

FRANKENSTEIN: No wie pan, usypiamy ją wcześniej. Nie robimy operacji bez anestezjologa.

LITTLE: Ale mimo wszystko.

FRANKENSTEIN (*Stuka Swifta w ramię. Swift zdejmuje słuchawki z uszu i zwraca się do przybyłych, nie tracąc z oczu przyrządów*): Panie doktorze, to jest doktor Elbert Little. Doktor Tom Swift jest moim asystentem.

SWIFT: Cześć pracy.

FRANKENSTEIN: Doktor Little ma praktykę w Vermont. Znalazł się przypadkiem w okolicy i poprosił, żeby go oprowadzić.

LITTLE: Co pan słyszy w słuchawkach?

SWIFT: Wszystko, co się dzieje w pokoju pacjentki. (*Podaje mu słuchawki.*) Proszę bardzo.

LITTLE (*Słucha przez chwilę*): Cisza.

SWIFT: Teraz ma układane włosy. Jest tam kosmetyczka. W trakcie czesania zawsze milczy. (*Zabiera słuchawki.*)

FRANKENSTEIN (*do Swifta*): Powinniśmy złożyć gratulacje naszemu młodemu koledze.

SWIFT: Z jakiej okazji?

LITTLE: No właśnie, z jakiej okazji?

FRANKENSTEIN: Och, wiem doskonale, jaki wielki spotkał pana zaszczyt.

LITTLE: Ale ja chyba nie wiem.

FRANKENSTEIN: Przecież jest pan tym doktorem Little, który w ubiegłym miesiącu został mianowany przez „Ladies’ Home Journal” Lekarzem Rodzinnym Roku?

LITTLE: Tak, to prawda. Nie mam pojęcia, dlaczego właśnie mnie wybrano. A tym bardziej mnie dziwi, jakim cudem wie o tym ktoś taki jak pan.

FRANKENSTEIN: Co miesiąc czytam „Ladies’ Home Journal” od deski do deski.

LITTLE: Naprawdę?

FRANKENSTEIN: Mam tylko jedną pacjentkę, panią Lovejoy. Ponieważ pani Lovejoy czyta to pismo, więc ja też to robię. Rozmawiamy o treści kolejnych numerów. W ubiegłym miesiącu przeczytaliśmy wszystko o panu. Pani Lovejoy powtarzała: „Jaki to musi być miły człowiek. Taki wyrozumiały”.

LITTLE: Hmm...

FRANKENSTEIN: I oto zjawił się pan we własnej osobie. Założę się, że napisała do pana.

LITTLE: Tak, rzeczywiście.

FRANKENSTEIN: Ona rocznie pisze tysiące listów i dostaje tysiące odpowiedzi. Po prostu uwielbia korespondencję.

LITTLE: Czy przez większość czasu jest... hmm... w dobrym nastroju?

FRANKENSTEIN: Jeśli nie jest, to wina leży po naszej stronie, tu na dole. Jeżeli wpada w zły nastrój, to znaczy, że coś tutaj jest nie w porządku. Jakiś miesiąc temu była smutna. Okazało się, że to przez popsuty tranzystor w konsolce. *(Sięga ponad ramieniem Swifta i zmienia położenie dźwigni. Urządzenia dostosowują się do nowego układu.)* O proszę, teraz przez parę minut będzie przygnębiona. *(Znów zmienia położenie dźwigni.)* Zaraz będzie szczęśliwsza niż na początku. Będzie

ćwierkała jak ptaszek.

LITTLE (*Nieporadnie ukrywa przerażenie.*)

Akcja przenosi się do pokoju pacjentki; pełno w nim kwiatów, bombonierek i książek. Pacjentka to Sylvia Lovejoy, wdowa po miliarderze. Sylvia jest już tylko głową podłączoną do rurek i przewodów wychodzących z podłogi, ale na pierwszy rzut oka tego nie widać. W zbliżeniu widzimy jej twarz oraz Glorię, cudownie piękną kosmetyczkę, która stoi za nią. Sylvia jest wyjątkowo śliczną staruszką, kiedyś słynną ze swej urody. Teraz płacze.

SYLVIA: Glorio...

GLORIA: Tak, proszę pani?

SYLWIA: Otrzyj mi łzy, nim ktoś wejdzie i je zobaczy.

GLORIA (*Sama ma ochotę płakać*): Tak, proszę pani. (*Ociera jej łzy chusteczką higieniczną i przygląda się twarzy pacjentki.*) No, już.

SYLWIA: Nie wiem, co się ze mną stało. Nagle ogarnął mnie taki smutek, że nie mogłam wytrzymać.

GLORIA: Każdy musi czasem sobie popłakać.

SYLWIA: Już mija. Czy widać, że płakałam?

GLORIA: Nie, wcale.

Już nie może opanować łez. Podchodzi do okna tak, żeby Sylwia nie widziała, jak płacze. Kamera się odsuwa i widać z kliniczną dokładnością ohydę głowy z przewodami i rurkami. Głowa stoi na trójnogu. W miejscu, gdzie normalnie byłaby klatka piersiowa, umocowano czarną skrzynkę, na której migają kolorowe światelka. Tam, gdzie powinny się znajdować ręce,

ze skrzynki wychodzą mechaniczne kończyny. W ich zasięgu umieszczono stolik, na nim długopis, papier, do połowy ułożony puzzel i pękata torbę do robótek ręcznych. Wystają z niej druty i zaczęty sweter. Nad głową Sylwii wisi mikrofon na wyciągu.

SYLWIA (z westchnieniem): Och, musisz mnie uważać za starą, głupią kobietę. (Gloria przecząco kręci głową, nie może odpowiedzieć.) Glorio? Jesteś tu?

GLORIA: Tak.

SYLWIA: Czy coś się stało?

GLORIA: Nie.

SYLWIA: Glorio, jesteś nieocenioną przyjaciółką. Chcę, byś wiedziała, że polubiłam cię z całego serca.

GLORIA: Też panią lubię.

SYLWIA: Jeśli cię coś trapi, a mogłabym ci pomóc, to mam nadzieję, że mnie poprosisz.

GLORIA: Tak, oczywiście.

HOWARD DERBY (*Listonosz szpitalny, stary, wesoły głupiec, wpada tanecznym krokiem z naręczem listów*): Listonosz! Listonosz!

SYLWIA (*w lepszym nastroju*): Listonosz! Bogu dzięki za listonosza!

DERBY: I jak się dzisiaj miewa nasza pacjentka?

SYLWIA: Przed chwilą byłam bardzo smutna, ale teraz, gdy pana zobaczyłam, mam ochotę śpiewać jak ptaszek.

DERBY: Dziś mamy pięćdziesiąt trzy listy. Jeden nawet z Leningradu.

SYLWIA: W Leningradzie mieszka pewna niewidoma. Biedaczka.

DERBY (*Układa listy w wachlarz i czyta stemple na znaczkach*): Zachodnia Virginia, Honolulu, Brisbane, Australia...

SYLWIA (*Losuje kopertę*): Wheeling, Zachodnia Virginia. I kogóż ja znam w Wheeling? (*Sprawnie otwiera ją mechanicznymi rękami i czyta.*) „Droga pani Lovejoy. Nie zna mnie pani, ale właśnie przeczytałam o Pani w «Przeglądzie» i siedzę teraz, a łzy płyną mi strugami po policzkach.” W „Przeglądzie”? Mój Boże! Ten artykuł został opublikowany czternaście lat temu i ona właśnie go przeczytała!

DERBY: Do starych numerów można ciągle wracać. W domu trzymam jeden, który mam pewnie z dziesięć lat, ale zaglądam do niego, gdy potrzebuję odrobiny inspiracji.

SYLWIA (*Czyta dalej*): „Nigdy w życiu nie będę już narzekała na to, co mi się przydarzy. Wydawało mi się, że jestem najniezwyklejszą kobietą na świecie, gdy pół roku temu mój mąż zastrzelił kochankę, a potem palnął sobie w głowę. Zostawił mnie z siedmiorgiem dzieci i ośmioma nie spłaconymi ratami za samochód, który ma rozwalony silnik i trzy gumy. Po tym, jak o Pani przeczytałam, siedzę i myślę, jakie mam szczęście.” Cóż za miły list, prawda?

DERBY: Bardzo.

SYLWIA: Jest jeszcze PS „I niech Pani szybko wyzdrowieje, dobra?” (*Odkłada kartkę na stolik.*) Nie ma tam listu z Vermont?

DERBY: Z Vermont?

SYLWIA: W zeszłym miesiącu, gdy byłam przygnębiona, napisałam list do młodego lekarza, o którym przeczytałam w „Ladies’ Home Journal”. Obawiam się, że bardzo głupi list, egoistyczny i pełen uzalania

nad sobą. Teraz się go wstydzę. Żyję w lęku i cała się trzęsę na myśl, co też mi odpowie ten lekarz, jeśli w ogóle mi odpisze...

GLORIA: Co może odpowiedzieć? Cóż by takiego mógł napisać?

SYLWIA: Mógłby mi napisać o prawdziwym cierpieniu, jakie panuje tam, na świecie, o ludziach, którzy nie wiedzą, skąd wziąć na chleb, o ludziach, którzy w życiu nie byli u lekarza. Tylko pomyśleć o pomocy, jaką otrzymuję... O tej całej delikatnej, czułej opiece, tych wszystkich najnowszych cudach techniki.

Akcja przenosi się na korytarz przed pokojem Sylwii. Na drzwiach znajduje się napis: „Wchodź zawsze z uśmiechem!” FRANKENSTEIN i LITTLE stoją przed drzwiami.

LITTLE: Czy ona tam jest?

FRANKENSTEIN: Te części, których nie ma na dole. LITTLE: I na pewno wszyscy postępują zgodnie z tym nakazem. FRANKENSTEIN: To element terapii. Leczymy tutaj całego pacjenta.

Gloria wychodzi z pokoju, zamyka za sobą dokładnie drzwi i wybucha głośnym płaczem.

FRANKENSTEIN (*zwraca się do niej z obrzydzeniem*): Jak rany koguta. O co chodzi?

GLORIA: Niech pan jej pozwoli umrzeć, panie doktorze Frankenstein. Na miłość Boską, niech pan jej da umrzeć!

LITTLE: Czy to jest jej pielęgniarzka?

FRANKENSTEIN: Ma za mało rozumu, żeby pracować jako pielęgniarka. To kiepska kosmetyczka. Kasuje sto dolców tygodniowo tylko za to, że dba o włosy i twarz tej kobiety. *(Do Glorii)*: Przewaliłaś sprawę, skarbie. Koniec z tobą.

GLORIA: Co takiego?

FRANKENSTEIN: Bierz czek i znikaj.

GLORIA: Jestem jej najbliższą przyjaciółką.

FRANKENSTEIN: Ładna mi przyjaciółka. Właśnie mnie poprosiłaś, żebym ją załatwił.

GLORIA: Tak, w imię miłosierdzia.

FRANKENSTEIN: Taka jesteś pewna, że istnieje niebo? I chcesz ją posłać na chmurkę, gdzie dostanie skrzydła i harfę.

GLORIA: Wiem, że jest piekło. Widziałam je. Jest tam, a pan jest jego wielkim twórcą.

FRANKENSTEIN *(Wzrusza ramionami i odzywa się dopiero po chwili)*: Rany, co też ludzie czasem wygadują.

GLORIA: Czas, by się za nią wstawił ktoś, kto ją kocha.

FRANKENSTEIN: Miłość.

GLORIA: Pan nie wie, co to jest.

FRANKENSTEIN: Miłość *(mówi bardziej do siebie niż do niej)*. Czy mam żonę? Nie. Czy mam kochankę? Nie. W życiu kochałem tylko dwie kobiety: matkę i tę kobietę tutaj. Matki nie udało mi się uratować. Właśnie dostałem dyplom ukończenia akademii medycznej, a ona umierała na raka wszystkiego. „Dobra, mądralo”, powiedziałem sobie. „Jesteś wielkim doktor-kiem z Heidelbergu, zobaczmy, czy uda ci się ocalić matkę.” Wszyscy mi powtarzali, że nic dla niej nie mogę zrobić. A ja

powiedziałem: „W nosie was mam. I tak spróbuję wszystkiego.” Wreszcie uznali mnie za czubka i wsadzili do wariatkowa. Kiedy wyszedłem, ona nie żyła, zgodnie z tym, co powiedziały mądrale. Ale mądrale nie wiedziały, co potrafią zrobić te wspaniałe urządzenia; ja też nie wiedziałem, ale postanowiłem się nauczyć. Więc poszedłem do Instytutu Technologii w Massachusetts i przez sześć długich lat studiowałem budowę maszyn, elektrotechnikę oraz inżynierię chemiczną. Mieszkałem na strychu. Jadłem czerstwy chleb i ser, który wkładają do pułapek na myszy. Kiedy dostałem dyplom, powiedziałem sobie: „Dobra, chłopcze. Masz cień szansy, że jesteś jedynym facetem na świecie z odpowiednim wykształceniem, by uprawiać medycynę godną dwudziestego wieku”. Poszedłem pracować w klinice Curleya w Bostonie. Przywieźli tę kobietę: piękne opakowanie, w środku bałagan. Podobna do mojej matki jak dwie krople wody. Była wdową po facecie, który zostawił jej pięćset milionów dolarów. Żadnych krewnych. Mądrale znów powiedziały: „Ta pani nie będzie żyła”. A ja im na to: „Cicho tam i słuchać. Powiem wam, co zrobimy”.

Zapada milczenie

LITTLE: Cóż... Cóż za historia. FRANKENSTEIN: To historia o miłości. *(Do Glorii)*: Ta historia miłosna zaczęła się na wiele lat przed twoim urodzeniem, specjalistka od uczuć. I nadal trwa.

GLORIA: W zeszłym miesiącu poprosiła mnie, żebym jej przyniosła rewolwer, bo chce się zastrzelić.

FRANKENSTEIN: Myślisz, że o tym nie wiem? *(Palcem wskazuje*

Little.) W zeszłym miesiącu napisała do niego list: „Doktorze, jeśli jest pan lekarzem z odrobiną serca, niech mi pan przywiezie cyjanek”.

LITTLE (*przejęty*): Wiedział pan o tym. Czyta... pan jej listy?

FRANKENSTEIN: Żeby wiedzieć, co ona naprawdę czuje. Może czasem próbować nas oszukać i tylko udawać, że jest szczęśliwa. Mówiłem panu o tym przepalonym tranzystorze w ubiegłym miesiącu. Może byśmy się w ogóle nie zorientowali, że coś jest źle, gdybyśmy nie czytali jej korespondencji i nie słuchali, co mówi do takich półgłówek jak ta, tutaj. (*Czuje się niepewnie, jak na cenzurowanym.*) Niech pan posłucha... Wejdzie pan tam zupełnie sam. Zostanie, jak długo zechce, wypyta o wszystko. Potem pan wyjdzie i powie mi prawdę: czy ta kobieta jest szczęśliwą kobietą? A może to kobieta żyjąca w piekle?

LITTLE (*z wahaniem*): Ja...

FRANKENSTEIN: Idź pan! Mam jeszcze parę rzeczy do powiedzenia tej młodej damie, laureatce tegorocznego konkursu na Najpiękniejszą Morderczynię z Litości. Chciałbym jej pokazać ciało, które od paru lat leży w trumnie, niech zobaczy, jaka śliczna jest śmierć, skoro jej pragnie dla przyjaciółki.

LITTLE (*Szuka słów, ale ich nie znajduje i wykonuje gest oznaczający, że chce każdego sprawiedliwie ocenić. Wchodzi do pokoju pacjentki. Ujęcie w pokoju. Sylwia jest sama, nie patrzy na drzwi.*)

SYLWIA: Kto tam?

LITTLE: Przyjaciel. Ktoś, do kogo pani napisała.

SYLWIA: To może być każdy. Czy mogę pana zobaczyć? (*Little postusznie staje przed nią. Sylwia przygląda mu się z rosnącą sympatią.*)
Pan Little, lekarz domowy z Yermont.

LITTLE (*Składa lekki ukłon*): Jak się pani dziś miewa, pani Lovejoy?

SYLWIA: Czy przyniósł mi pan cyjanek?

LITTLE: Nie.

SYLWIA: Dziś i tak bym go nie wzięła. Jest taki śliczny dzień. Nie chciałabym go stracić, jutra też. Czy przybył pan na śnieżnobiałym koniu?

LITTLE: W niebieskim oldsmobilu.

SYLWIA: A co z pańskimi pacjentami, którzy pana kochają i tak bardzo potrzebują?

LITTLE: Zastępuje mnie kolega. Wziąłem tydzień urlopu.

SYLWIA: Chyba nie ze względu na mnie?

LITTLE: Nie.

SYLWIA: Bo ja dobrze się czuję. Widzi pan, w jakich wspaniałych rękach się znalazłam.

LITTLE: Tak.

SYLWIA: I jednego na pewno nie potrzebuję: nowego lekarza.

LITTLE: Oczywiście.

Na chwilę zapada milczenie.

SYLWIA: Bardzo chciałabym porozmawiać z kimś o śmierci. Zapewne wielokrotnie widział pan konających.

LITTLE: Parę razy.

SYLWIA: I czy dla niektórych było to błogosławieństwo?

LITTLE: Słyszałem, że tak to określano.

SYLWIA: Ale sam pan tak nie mówił.

LITTLE: Lekarz z racji zawodu nie używa takiego określenia, pani Lovejoy.

SYLWIA: Dlaczego ludzie twierdzą, że dla niektórych chorych śmierć była błogosławieństwem?

LITTLE: Z powodu bólu, którego doświadczał pacjent, albo dlatego, że nie mógł być wyleczony za żadną cenę, oczywiście wedle jego możliwości finansowych. Albo pacjent był jak roślina, stracił świadomość i nigdy jej nie odzyskał.

SYLWIA: Za żadną cenę.

LITTLE: O ile wiem, nie można użebrać, pożyczyć albo ukraść sztucznej świadomości dla kogoś, kto ją utracił. Jeśli zapytam doktora Frankensteina, to może mi odpowie, że to kwestia rychłej przyszłości.

Zapada cisza.

SYLWIA: To jest kwestia rychłej przyszłości.

LITTLE: Tak pani powiedział?

SYLWIA: Spytałam go wczoraj, co się stanie, jeśli mój mózg zacznie odmawiać posłuszeństwa. Był bardzo spokojny. Powiedział, żebym sobie tym nie zawracała głowy. „Przekroczymy ten Rubikon, gdy nad nim staniemy”, odpowiedział mi. *(Milczy chwilę.)* Ach, te Rubikony, które już przekroczyłam!

Powrót do pokoju pełnego organów. Swift przy konsolcie. Wchodzą Frankenstein i Little.

FRANKENSTEIN: Zwiedził pan już wszystko i znów jest pan w punkcie wyjścia.

LITTLE: I mam tylko jedno do powiedzenia. To, co stwierdziłem na początku: „O Boże... O mój Boże”.

FRANKENSTEIN: Ciężko będzie teraz wrócić do zabawy w dawanie aspiryny i pigułek na przeczyszczenie, co?

LITTLE: Tak. *(Milczy chwilę.)* Co tu jest najtańsze?

FRANKENSTEIN: Najprostsza rzecz. Ta cholerna pompa.

LITTLE: Ile teraz kosztuje serce?

FRANKENSTEIN: Sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Są tańsze i droższe. Tańsze to śmierć. Droższe to jubilerska robota.

LITTLE: Ile ich się rocznie sprzedaje?

FRANKENSTEIN: Na oko tak koło sześciuset, parę w tę, parę w tamtą stronę.

LITTLE: Jedno w tę, znaczy życie. Jedno w tamtą - śmierć.

FRANKENSTEIN: Jeśli problem leży w sercu. Prawdziwe szczęście, gdy ma pan tak tani kłopot. *(Do Swifta)*: Ej, Tom, połóż ją spać, niech doktorek zobaczy, jak tu się kończy dzień.

SWIFT: Jesteśmy dwadzieścia minut przed czasem.

FRANKENSTEIN: I co z tego? Pośpi dwadzieścia minut dłużej i jutro rano obudzi się czując na sto dwa, chyba że nam pójdzie kolejny tranzystor.

SWIFT: Dlaczego nie ustawiliście tak kamery telewizyjnej, żeby móc ją oglądać na ekranie?

FRANKENSTEIN: Nie chciała.

LITTLE: Dostaje to, czego chce?

FRANKENSTEIN: To akurat dostała. I po co, do cholery, mielibyśmy obserwować jej twarz? Popatrzymy na liczniki tutaj i dowiemy się o niej więcej niż ona sama o sobie. *(Do Swifta)*: Połóż ją spać, Tom.

SWIFT *(Do Little 'a)*: To przypomina hamowanie przy jeździe samochodem albo wygaszanie paleniska.

LITTLE: Aha.

FRANKENSTEIN: Tom ma dwa dyplomy: inżyniera i lekarza.

LITTLE: Czy jesteś zmęczony po całym dniu pracy?

SWIFT: To dobry rodzaj zmęczenia... Jakbym pilotował wielki odrzutowiec na trasie Nowy Jork-Honolulu, albo coś w tym rodzaju. *(Ujmuje dźwignię.)* A teraz zafundujemy pani Lovejoy szczęśliwe lądowanie. *(Stopniowo opuszcza dźwignię i cała maszyna zwalnia obroty.)* O tak.

FRANKENSTEIN: Pięknie.

LITTLE: Śpi?

FRANKENSTEIN: Jak dziecko.

SWIFT: Teraz muszę tylko poczekać na przyjście faceta z nocnej zmiany.

LITTLE: Czy ktoś przyniósł jej coś, by mogła popełnić samobójstwo?

FRANKENSTEIN: Nie, ale nawet gdyby przynieśli, to wcale byśmy się tym nie przejęli. Ręce są tak zaprojektowane, że choćby nie wiem jak się starała, nie zdoła wymierzyć do siebie z rewolweru ani unieść trucizny do ust. To był genialny pomysł Toma.

LITTLE: Moje gratulacje.

Rozlega się dzwonek alarmowy i pulsują światła.

FRANKENSTEIN: Kto to może być? *(Zwraca się do Little'a)*: Ktoś wszedł do jej pokoju. Musimy sprawdzić! *(Do Swifta)*: Zamknij drzwi, Tom. Złapiemy go. *(Swift naciska guzik zamykający drzwi na górze. Zwraca się do Little)*: Pan pójdzie ze mną.

Ujęcie w pokoju pacjentki. Sylwia śpi pochrapując z lekka. Gloria właśnie wsunęła się do pomieszczenia. Ukradkiem rozgląda się dookoła. Wyjmuje z torebki rewolwer, sprawdza, czy jest naładowany, potem chowa go wśród włóczek. Ledwie skończyła, gdy wpadają zadyszani Frankenstein i Little.

FRANKENSTEIN *(Otwiera drzwi z klucza)*: Co się dzieje?

GLORIA: Zostawiłam zegarek. *(Pokazuje go.)* Już znalazłam.

FRANKENSTEIN: Chyba mówiłem, żebyś się więcej nie pokazywała w tym budynku.

GLORIA: Już nie przyjdę.

FRANKENSTEIN *(Do Little'a)*: Zatrzymaj ją. Muszę wszystko posprawdzać. Czy się nie zabawiła w małe hocki-klocki. *(Do Glorii)*: Jak byś się czuła, stając przed sądem oskarżona o próbę morderstwa? *(Do mikrofonu)*: Tom? Czy mnie słyszysz?

SWIFT *(Z głośnika na ścianie płynie skrzekliwy głos)*: Tak, słyszę.

FRANKENSTEIN: Obudź ją. Muszę ją sprawdzić.

SWIFT: Już się robi, szefie.

Słyszczyć szmer urządzeń z piętra poniżej. Sylwia otwiera oczy słodko zamglone od snu.

SYLWIA *(Do Frankensteina)*: Dzień dobry, Norbercie.

FRANKENSTEIN: Jak się czujesz?

SYLWIA: Jak zawsze po obudzeniu. Dobrze... Jakbym była na morzu. Glorio! Dzień dobry!

GLORIA: Dzień dobry.

SYLWIA: Doktorze Little, został pan jeden dzień dłużej?

FRANKENSTEIN: To nie rano, uspiemy cię za minutę.

SYLWIA: Znowu zachorowałam?

FRANKENSTEIN: Nie sądzę.

SYLWIA: Będę miała kolejną operację?

FRANKENSTEIN: Spokojnie. *(Wyjmuje z kieszeni oftaloskop.)*

SYLWIA: Jak mogę być spokojna, kiedy myślę o następnej operacji?

FRANKENSTEIN *(Do mikrofonu)*: Tom, daj jej coś na uspokojenie.

SWIFT *(Z głośnika)*: Już się robi.

SYLWIA: Co teraz mam stracić? Uszy? Włosy?

FRANKENSTEIN: Za chwilę się uspokoisz.

SYLWIA: Moje oczy? Norbercie, czy tym razem pójdą moje oczy?

FRANKENSTEIN *(Do Glorii)*: No i popatrz, laluniu, co narobiłaś.

(Do mikrofonu): Cholera, co z tym środkiem uspokajającym?

SWIFT: Już powinien zacząć działać.

SYLWIA: Och, to właściwie nie ma znaczenia. *(Frankenstein unosi powieki i ogląda jej gałki oczne.)* Chodzi o moje oczy, prawda?

FRANKENSTEIN: To nie chodzi o ciebie.

SYLWIA: Łatwo przyszło, łatwo pójdzie.

FRANKENSTEIN: Jesteś zdrowa jak koń.

SYLWIA: Ktoś na pewno produkuje doskonałe oczy.

FRANKENSTEIN: RCA robi cholernie dobre oczy, ale na razie jeszcze ich nie będziemy potrzebowali. (*Odsuwa się zadowolony.*)
Wszystko w porządku. (*Do Glorii*): Miałaś szczęście.

SYLWIA: Tak się cieszę, gdy moi przyjaciele mają szczęście.

SWIFT: Uśpić ją na nowo?

FRANKENSTEIN: Jeszcze nie, chcę tu najpierw sprawdzić parę rzeczy.

SWIFT: Zrobione.

W parę minut później Little, Gloria i Frankenstein wchodzą do maszynowni. Swift przy konsolecie.

SWIFT: Zmiennik się spóźnia.

FRANKENSTEIN: Ma kłopoty w domu. Chłopcze, chcesz dobrą radę? Nigdy się nie żeń. (*Sprawdza kolejne przyrządy.*)

GLORIA (*Wstrząśnięta ogląda się dookoła*): Mój Boże... O mój Boże...

LITTLE: Nigdy pani tego nie widziała?

GLORIA: Nie.

FRANKENSTEIN: Jest wspaniałą specjalistką od włosów. Zajęliśmy się wszystkim, poza włosami. (*Zastanawia go odczyt na jednym z liczników.*) Co to znaczy? (*Włącza go i otrzymuje prawidłowy wynik.*) No, teraz już lepiej.

GLORIA (*martwym głosem*): Nauka.

FRANKENSTEIN: A jak to sobie wyobrażałaś?

GLORIA: Bałam się nawet o tym myśleć. Teraz już wiem dlaczego.

FRANKENSTEIN: Czy masz blade pojęcie o czymkolwiek? Chociaż cię wiesz, żeby docenić, co tutaj widzisz?

GLORIA: W średniej szkole dwa razy przewaliłam egzamin z przyrody.

FRANKENSTEIN: To, czego uczą w szkołach dla kosmetyczek?

GLORIA: Bzdur dla idiotek. Jak nałożyć makijaż. Jak nakręcić albo wyprostować włosy. Jak obcinać włosy. Jak je pofarbować. Paznokcie. Pedikiur na lato.

FRANKENSTEIN: Po wyjściu stąd pewnie zaraz wychłapiesz, jak to wygląda... O tych wszystkich wariackich rzeczach, które się tu dzieją.

SYLWIA: Może.

FRANKENSTEIN: Jedno sobie dobrze zapamiętaj: brak ci i głowy, i wykształcenia, żeby mówić o którymkolwiek z aspektów naszego działania. Jasne?

GLORIA: Może.

FRANKENSTEIN: Co powiesz za bramą?

GLORIA: Nic skomplikowanego, tylko że...

FRANKENSTEIN: Tak?

GLORIA: Podłączyłeś głowę martwej kobiety do mnóstwa maszyn i bawisz się tym przez cały dzień. Nie jesteś żonaty, sam jak palec, więc tylko tym się zajmujesz.

Postacie zamierają bez ruchu i scena wygląda jak fotografia.

Ciemnieje stopniowo, aż wszystko staje się czarne. Potem wraca do poprzednich barw. Postacie zaczynają się poruszać.

FRANKENSTEIN (*Wstrząśnięty*): Jak śmiesz mówić, że ona jest martwa? Czyta „Ladies’ Home Journal”! Mówi! Robi na drutach! Píše do przyjaciół na całym świecie!

GLORIA: Przypomina okropną kukłę wiedźmy przepowiadającej przyszłość w salonie gier automatycznych.

FRANKENSTEIN: Myślałem, że ją kochasz.

GLORIA: Co jakiś czas widzę okruch osoby, którą była. Kocham ten okruch. Większość ludzi mówi, że kocha ją za jej odwagę. Ile tak naprawdę jest warta ta odwaga? Przesuniesz parę dźwigni tutaj i zgłosi się na ochotnika, żeby polecieć rakieta na Księżyc. Ale bez względu na to, co tu robisz, ten okruch nadal myśli: „Na miłość Boską, niech mnie ktoś z tego uwolni!”

FRANKENSTEIN (*Zerkając na konsolę*): Doktorze Swift, czy mikrofon jest włączony?

SWIFT: Taaa... (*Pstryka palcami.*) Przepraszam.

FRANKENSTEIN: Niech zostanie włączony. (*Do Glorii*): Słyszała każde twoje słowo. I jak ci z tym?

GLORIA: Czy teraz mnie słyszy?

FRANKENSTEIN: Miel dalej ozorem. Oszczędzasz mi wiele zachodu. Nie będę musiał jej tłumaczyć, jaka z ciebie naprawdę przyjaciółka i dlaczego dałem ci krzyżyk na drogę.

GLORIA (*Podchodząc bliżej do mikrofonu*): Pani Lovejoy?

SWIFT (*Powtarzając, co usłyszał w słuchawkach*): Mówi: „Co

takiego, moja droga?”

GLORIA: Pani Lovejoy, jeśli pani już nie chce żyć, to w torbie do robótek ręcznych jest naładowany rewolwer.

FRANKENSTEIN (*Wcale nieprzejęty informacją, ale pełen pogardy i obrzydzenia wobec Glorii*): Ty skończona debilko. Jak zdobyłaś broń?

GLORIA: Przez firmę wysyłkową z Chicago. Reklamują się w „True Romances”.

FRANKENSTEIN: Sprzedają broń szaleńcom.

GLORIA: Gdybym chciała, tobym mogła zamówić działko przeciwczołgowe. Kaliber 14,98.

FRANKENSTEIN: Pójdę po ten rewolwer. To będzie dowód na twoim procesie. (*Wychodzi-*)

LITTLE (*Do Swifta*): Nie powinien pan uspić pacjentki?

SWIFT: Ona w żaden sposób nie może zrobić sobie krzywdy.

GLORIA (*Do Linie'a*): O czym on mówi?

LITTLE: Jej ręce są tak zaprojektowane, że nie zdoła wymierzyć sobie w głowę.

GLORIA (*Z odrazą*): Nawet o tym pomyśleli.

W pokoju Sylwii. Wchodzi Frankenstein. Sylwia z namysłem trzyma rewolwer.

FRANKENSTEIN: Ładną masz zabawkę.

SYLWIA: Norbercie, nie wolno ci się gniewać na Glorię. Prosiłam ją o to. Błagałam.

FRANKENSTEIN: W zeszłym miesiącu.

SYLWIA: Tak.

FRANKENSTEIN: Ale teraz wszystko się polepszyło.

SYLWIA: Wszystko, poza okruczem.

FRANKENSTEIN: Okruczem?

SYLWIA: Tym okruczem, który kocha Gloria... Ten maleńki cień osoby, którą byłam. Chociaż jestem teraz szczęśliwa, ten okrucz błaga mnie, żebym wzięła pistolet i go zmiotła.

FRANKENSTEIN: I jaka jest twoja odpowiedź?

SYLWIA: Mam zamiar to zrobić. Norbercie, to jest pożegnanie.

(Wszelkimi sposobami próbuje wymierzyć w siebie, ale jej się nie udaje; Frankenstein stoi spokojnie obok.) To nie przypadek, prawda?

FRANKENSTEIN: Nie chcemy, żebyś sobie zrobiła krzywdę. Też cię kochamy.

SYLWIA: I jak długo jeszcze mam tak żyć? Nigdy wcześniej nie odważyłam się o to zapytać.

FRANKENSTEIN: Musiałbym strzelać w ciemno.

SYLWIA: Lepiej tego nie rób. *(Milczy przez chwilę.)* No to strzelaj.

FRANKENSTEIN: Minimum pięćset lat.

Milczenie.

SYLWIA: Czyli będę żyła dalej po tym... jak was już nie będzie?

FRANKENSTEIN: Moja droga Sylwio, nadszedł czas, bym ci powiedział coś, co chciałem ci wyznać już od wielu lat. Każdy organ na dole może pracować dla dwóch ciał, a nie tylko jednego. A te wszystkie przewody i rurki tak zostały zaprojektowane, że w okamgnieniu można podłączyć drugą osobę. *(Milczy chwilę.)* Sylwio, czy rozumiesz, co chcę ci powiedzieć? *(Milczy, potem mówi z uczuciem):* Sylwio! To ja będę tą

drugą osobą! Co tam małżeństwo! Co tam wspaniałe, dawne romanse! Twoja nerka będzie moją! Twoja wątroba będzie moją! Twoje serce będzie moim! Twoje radości będą moimi i twoje smutki również! Sylwio, będziemy żyli w tak doskonałej harmonii, że bogowie powyrywają sobie włosy z zazdrości!

SYLWIA: Tego właśnie chcesz?

FRANKENSTEIN: Niczego bardziej nie pragnę.

SYLWIA: To w takim razie... Proszę, Norbercie. (*/ strzela do niego aż do wyczerpania nabojów w magazynku.*)

Ten sam pokój pół godziny później. Ustawiono drugi trójnóg z głową Frankensteina. I on, i Sylwia śpią. Swift z Littlem u boku gorączkowo kończą podłączanie ostatnich przewodów. Wokoło leżą klucze francuskie, lampy lutownicze oraz inne narzędzia hydrauliczne i elektryczne.

SWIFT: To już chyba wszystko (*Prostuje się i rozgląda dookoła.*)
Zrobione.

LITTLE (*Patrząc na zegarek*): Od pierwszego strzału upłynęło dwadzieścia osiem minut.

SWIFT: Bogu dzięki, że pan był pod ręką.

LITTLE: Bardziej by się przydał hydraulik.

SWIFT (*Do mikrofonu*): Charley... Jesteśmy gotowi. Czy wszystko ustawiliście?

CHARLEY (*Skrzekliwy głos z głośnika*): Zrobione.

SWIFT: Daj im mocne martini.

W drzwiach pojawia się Gloria z martwym wyrazem twarzy.

CHARLEY: Już je dostali. Będą weseli jak szczygiełki.

SWIFT: Lepiej daj im też odrobinę LSD.

CHARLEY: Robi się.

SWIFT: Poczekaj! Zapomniałem o fonografie! (*Zwraca się do Linie'a.*) Doktor Frankenstein powiedział, że jeśli to się kiedykolwiek stanie, mam mu włączyć płytę, kiedy będzie odzyskiwał przytomność. Powiedział, że jest z innymi płytami, w białej koszulce bez napisów. (*Do Glorii*): Poszukaj.

Gloria podchodzi do fonografu i wyjmuje płytę.

GLORIA: To ta?

SWIFT: Włącz.

GLORIA: Którą stronę?

SWIFT: Nie wiem.

GLORIA: Jedna strona jest zaklejona taśmą.

SWIFT: Włącz tę nie zaklejoną. (*Gloria kładzie płytę na urządzeniu, Swift mówi do mikrofonu*): Pełna gotowość, budzimy pacjentów.

CHARLEY: Gotów.

Płyta zaczyna grać. Duet Jeanette MacDonald i Nelson Eddy śpiewają: „Och, słodka tajemnica życia”.

SWIFT: Budź ich!

Frankenstein i Sylwia budzą się pełni absolutnej rozkoszy. Pólsenni z

przyjemnością słuchają muzyki, wreszcie zauważają siebie nawzajem i patrzą, jak się patrzy na starych, ukochanych przyjaciół.

SYLWIA: Cześć. FRANKENSTEIN: Witaj. SYLWIA: Jak się czujesz? FRANKENSTEIN: Dobrze, bardzo dobrze.

UWAGA, TAM SIĘ KRĘCI MANIAK NA WOLNOŚCI

Kubę Rozpruwacza komplementowano za sposób, w jaki ćwiartował zabite przez siebie kobiety. W londyńskim „The Times” z pierwszego października 1888 roku znajduje się takie zdanie: „W sposobie cięcia dolnych części ciała można zauważyć umiejętności właściwe anatomowi”.

Teraz przyłodek Cod ma rzeźnika. W lutym i marcu tego roku w płytkich grobach w Truro znaleziono części ciał czterech młodych kobiet. Ten, kto to zrobił, nie był artystą noża. Poćwiartował kobiety, jak się domyśla policja, czymś w rodzaju maczety lub siekiery.

Nie zajęło mu to zbyt wiele czasu.

Przynajmniej dwie z tych kobiet, nauczycielka i uczennica z Providence, Rhode Island, zostały zastrzelone z dwudziestki dwójki. Ponieważ ofiary zostały poćwiartowane na wiele kawałków różnej wielkości, tylko morderca może precyzyjnie określić przyczynę ich zgonu.

W pobliżu grobów u stóp drzewa znaleziono poplamiony sznur. Głowa jednej z ofiar również była owinięta sznurem. Szczegóły są okropne, bolesne i budzą mdłości.

Policja jest pewna, że złapała mordercę. Został zamknięty w Domu Poprawczym Hrabstwa Barnstable wysoko na wzgórzu, trzy przecznice stąd. Jest rozwiedzionym stolarzem z Provincetown, delikatnym, cichym dwudziestoczwolatką wysokiego wzrostu, a była żona, Avis, chce świadczyć o jego niewinności. Ożenił się z nią, gdy zaszła w ciążę, a miała wtedy zaledwie czternaście lat.

Nazywa się Antone C. Costa. Jest ojcem trójki dzieci.

- Chciał mieć dziewczynkę - mówi jego żona. - Był rozczarowany, gdy pierwszy urodził się syn. Po drugim synu popadł w depresję. Ale gdy Nichole przyszła na świat, był uradowany. Uwielbia Nichole.

Moja dziewiętnastoletnia córka, Edith, zna Tony'ego Costę. Spotkała go w czasie szalonego lata, które spędziła samotnie w Provincetown i znała go na tyle dobrze, by otrzymać i odrzucić zaproszenie, które jak się zdaje usłyszało wiele dziewcząt: „Chodź zobaczyć moją grządkę marihuany”.

Tony twierdzi, że naprawdę miał grządkę marihuany do pokazywania dziewczętom: skromną, wszystkiego dwa żeńskie krzewy w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono ciała.

Na ścianie pralni samoobsługowej w Truro pojawiło się ostatnio graffiti: „Tony Costa ciacha cizie.”

Ostatnio na przylądku Cod opowiada się obrzydliwy dowcip: Tony Costa, z wąsami, długimi bokobrodami, w staromodnych okularach i ciemnym golfie wchodzi do salonu cadillaca w Hyannis i pyta o cenę modelu el dorado. „Nie wystarczy panu pieniędzy, nawet gdyby pan dał się za nie porąbać”, mówi sprzedawca. „Załatwione”, odpowiada Tony.

Ten dowcip opowiedział mi architekt. Potem zaśmiał się nerwowo. Wyczułem, że chichotem maskuje przerażenie tą okropnością: typowa reakcja mieszczuchów z przylądka Code. Ukrywają pod nim niemożność wyobrażenia sobie, dlaczego ktoś miałby poświęcać cztery bezbronne dziewczyny.

Dinisa, prokuratora okręgowego, który osobiście będzie występował jako oskarżyciel w procesie Costy, również niepokoi ta niemożność.

- W tym przypadku nie będziemy się starali ustalić motywu
- powiedział nam. - Któż wie, dlaczego ktoś zrobił coś takiego?

Pan Dinis zainteresował się tym, że moja córka знаła oskarżonego.

- I cóż ona mówi? - spytał.

Dinis to potężny, uczciwy i poważny mężczyzna, który się nigdy nie ożeni. Jest młodszy ode mnie o trzy lata, czyli ma w tej chwili czterdzieści cztery. Z ponurą otwartością zabiega u młodzieży o wszelkie informacje, które pozwolą mu zrozumieć tę młodzieżową zbrodnię.

- Jeśli Tony jest naprawdę mordercą, to Edith się zdziwi - odpowiedziałem. - Wcale się tego nie domyślała. Jest jeszcze bardzo młoda. Jak dotąd nie podejrzewała, że aż tyle zła może się kryć w jakimś człowieku. Zawsze czuła się bezpieczna.

- Co dokładnie powiedziała? - nalegał Dinis. - Jakie były jej słowa?

- Dzwoniła z Iowa City, gdzie teraz chodzi do szkoły, i tak powiedziała: „Jeśli Tony jest mordercą, to może nim być dosłownie każdy”. Dla niej to odkrycie.

Pan Dinis usiadł rozczarowany. Podejrzewam, że miał nadzieję poznać bliżej kulturę hippisów, tak licznych w Provincetown, a może usłyszeć wymianę zdań o narkotykach.

Sam rozmawiałem z paroma młodymi osobami na temat narkotyków w Provincetown i zadałem im to pytanie.

- Jeśli ta osoba, która popełniła morderstwa w Truro, była zaćpana w trakcie zbrodni, to co waszym zdaniem wzięła?

Przypomniałem im, jak topornie poćwiartowano ofiary, jak płytkie były groby, chociaż w piasku, który jest tuż pod warstwą ziemi w zaroślach, z łatwością można byłoby kopać głębiej. - Amfa - padała niezmienna odpowiedź.

Zbrodniarz z Truro może nie jest mordercą na speedzie, i być może Tony Costa nie popełnił tych zbrodni, ale miał przynajmniej jedno fatalne doświadczenie z tym narkotykiem. Było to w San Francisco. Czuł, że się dusi i stracił przytomność, więc został zawieszony na pogotowie.

Dowiedziałem się o tym od Lestera Allena, jednego z dwóch mieszkańców przylądka Code, o których wiem, że piszą książkę o morderstwach. Pan Allen jest emerytowanym dziennikarzem, który widział siedem egzekucji: trzy z nich jednej nocy. Pochorował się od tego. Został wynajęty przez obrońców, również ludzi stąd, żeby zdobył, ile tylko zdoła, informacji korzystnych dla Tony'ego. Oskarżony, jego przyjaciele i krewni okazali się bardzo rozmowni. Jak na razie ma 1100 stron zapisów rozmów z nimi.

Powiedział mi, że na żadnej ze stron nie ma najdrobniejszej sugestii o tym, w jaki sposób lub dlaczego popełniono te morderstwa. Nikt nie potrafił sobie tego wyobrazić.

Tony po aresztowaniu został wysłany na obserwację do stanowego szpitala w Bridgewater. Był uprzejmy, ale uparcie milczał. Jednak w pewnym momencie poprosił o rozmowę z prokuratorem okręgowym. Chciał zapytać pana Dinisa, co robi w sprawie morderstw na przylądku Cod. Powiedział tak:

- Uwaga, tam się kręci maniak na wolności.

Każda z osób powiązanych z tą sprawą miała jakieś doświadczenia z narkotykami - powiedział mi Lester Allen. - Oczywiście poza prawnikami i policją.

Stwierdził, że podkultura młodzieżowa w Provincetown tak dalece różni się od jego własnej, że często jego słowa brzmią tak, jakby był antropologiem w obcym kraju, pośród na przykład plemienia Kwakiutłów czy Jukagirów.

Młodzież uważa Hermanna Hessego za bardzo wielkiego pisarza. Pogardza władzą za jej brutalną głupotę w zwalczaniu marychy, za slumsy i Wietnam. Marycha, amfa i LSD są łatwo dostępne i pod ręką - a raczej były, do chwili, gdy Tony'ego wsadzono za morderstwo. Członkowie tej grupy powszechnie określają siebie słowem „czubek”.

Czubek z Provincetown stawia zwykłemu człowiekowi jedno pytanie i jest to pewien sposób odkrycia, jak bardzo społeczeństwo złożone ze zwykłych ludzi przejęło się poćwiartowanymi kobietami: „Czy to zaszkodzi czubkom?”

Ludzie interesu mieszkający w malowniczej części miasta zarabiają pieniądze dzięki czubkom. Latem przyjeżdżają tysiące turystów, by się na nich gapić - wygapiać się na tych wszystkich bezwstydnym, szczęśliwym homoseksualistów, na malarzy i na portugalskich rybaków. Wątpię, by turyści patrząc na Tony'ego w czasie ubiegłego lata uznali go za interesującą postać. Był schludny i czysty, a nawet czystszy od całej reszty, bo brał prysznic trzy razy dziennie.

Lester Allen mówi, że Tony Costa ma wrzód.

Kiedy pod koniec zimy odnaleziono ciała, turyści przybyli poza sezonem. Wielu przywiozło dzieciaki, łopaty i kosze piknikowe. Chcieli pomóc kopać. Byli zdziwieni, gdy strażnicy parku, policja i strażacy uznali to za obrzydliwe.

„OHYDNY MAGNES PRZYCIĄGA TŁUM DO GROBÓW W TRURO” - tak brzmiał nagłówek 9 marca 1969 roku w „Standard Times” wychodzącym na przylądku Cod.

Lester Allen zapewnia mnie, że przedsiębiorczy młody człowiek interesu sprzedaje paczkowany piasek, zebrany w pobliżu grobów, po pięćdziesiąt centów za funt. Chcecie?

A oto kim były nieszczęsne ofiary, w kolejności śmierci poza sezonem.

Sydney Monzon, lat osiemnaście, z pobliskiego Eastham, zniknęła około 25 maja 1968 roku. Pracowała w „A&P” w Provincetown, pewnego dnia zostawiła rower oparty o sklep, wtedy widziano ją po raz ostatni. Jej siostra myślała, że wyjechała do Europy z koleżanką. Szczęśliwej podróży.

Susan Perry, lat siedemnaście, z Provincetown, zniknęła 8 września po Święcie Pracy. Rodzice rozwiedzeni. Ojciec jest rybakiem. Nigdy nie zgłosili zaginięcia uznawszy, że przeprowadziła się do innego miasta. Również szczęśliwej podróży. Jej ciało znaleziono jako pierwsze. Zostało zidentyfikowane dzięki pierścionkowi - obrączce ślubnej jej matki.

Patricia Walsh i Mary Ann Wysocki, obie dwudziestotrzylatki, obie z Provincetown, przybyły do miasta w piątek 24 stycznia tego roku w jasnobłękitnym VW panny Walsh. Pierwsze jaskółki przed sezonem. Jeśli

znały Tony'ego, to nie okazały tego po sobie, kiedy gospodyni im go przedstawiała, gdy się wprowadziły do pensjonatu. Płaciły pięć dolarów za noc; stawki poza sezonem są niskie.

Tony, rozwiedziony od sześciu miesięcy, też tam mieszkał. Pomógł im wnieść bagaże. I kto twierdzi, że rycerskość umarła?

A potem panny Walsh i Wysocki zniknęły. Ich pusty samochód ktoś zauważył w pobliżu grządki marihuany, a potem i on zniknął. Potem znaleziono ciała - nie dwa, lecz cztery.

Zaginiony samochód pojawił się w garażu w Burlington, Vermont. Został tam odstawiony przez Tony'ego Costa, więc zapudłowali go za morderstwo.

Evelyn Lawson, moja znajoma z Hyannis, która prowadzi stałą rubrykę w tygodniku „Register”, również pisze książkę o morderstwach. Dzięki pomocy Normana Mailera z Provincetown zawarła umowę z World Publishing. New American Library zarobiła mnóstwo pieniędzy na „The Boston Strangler” („Dusiciel z Bostonu”). Tony Curtis również zbił na tym sporo grosza.

Dusiciel był innym mieszkańcem Nowej Anglii, który specjalizował się w zabijaniu kobiet w przeciwieństwie do mordowania mężczyzn. Kobiety bardzo łatwo zabijać: są tak słabe i towarzyskie, uwielbiają nowych ludzi, miejsca i randki. I jakież symbol stanowią.

Evelyn jest maniaczką wiedzy tajemnej. A także wie wszystko o Provincetown i świetnie zna się na jego egzotyce. Dla większości ludzi mieszkających na dalszych częściach ramienia, ta wioska, znajdująca się

na czubku palca przylądka Cod, wydaje się obcym, małym portem kipiącym od namiętności. Jak powszechnie wiadomo, przylądek Cod z kształtu łądząco przypomina ludzką rękę. Chatham jest na łokciu, Falmouth, Cataumet i zatoka Buzzards są pod pachą. Mieszkam na czubku bicepsa. Zamordowane kobiety zostały znalezione w przegubie.

Wszyscy koloniści płynący do Ameryki na krótko zarzucili kotwicę w Provincetown, zrobili przepierki i pośpieszyli do Plymouth. W miejscu, gdzie zrobili pranie, mieszkają teraz Portugalczycy, nowojorczycy i Bóg wie jeszcze, kto.

- Pośród pierwszych osadników wielu było rozbójników morskich i szaleńców - mówi Evelyn. - Dużo wieżm, które uciekły z Salem.

Oto co napisała w swojej stałej rubryce po sensacyjnej konferencji prasowej prokuratora okręgowego na temat ciała odkrytego zwłoki... znajduje się w pobliżu starego cmentarza, nieopodal zapuszczonych rozstajów, najbardziej typowe, tradycyjne miejsce odbywania sabatów czarownic... Dinis zasugerował, że są dowody wskazujące na kanibalizm.”

Evelyn dalej opisuje, jak Tony Costa został zabrany do więzienia na oczach wielu przyjaciół.

Jeden z długowłosych mężczyzn z tej grupy upadł na kolana przed aresztowanym, ujął i ucałował skute kajdankami dłonie, po czym oświadczył głośno: „Kochamy cię, Tony!”

Jak się okazuje całowanie skutyck kajdankami dłoni wcale się nie wydarzyło. Evelyn tego nie widziała, ale jedynie o tym gdzieś usłyszała, podobnie jak i ja. To było typowe zachowanie czubka, nawet jeśli tego w

rzeczywistości nie zrobił.

I niewykluczone, że prokurator okręgowy również trochę naciąga fakty, mówiąc o kanibalizmie. Oświadczył także, że zniknęły niektóre serca. Następnego dnia lekarz dokonujący sekcji, a on powinien się na tym znać, powiedział, że serca są na miejscu.

Tak zwane wiadomości, były wszędzie powtarzane i stawały się coraz bardziej makabryczne, więc prawnicy Costy słusznie skarżyli się w sądzie na zbyt ni rozgłos: „...pełno w nich obrazów seksualnej perwersji, ćwiartowania zwłok, szatańskich sztuczek i sugerowania okultyzmu”. Poprosili sędziego, aby zamknął usta władzom śledczym. Sędzia przychylił się do ich wniosku.

Tak więc zapadła cisza - poza paroma maleńkimi przeciekami.

„I gdy Dinis mówił... czułam, jak dostaję gęziej skórki, jak swędzi mnie ciało z przerażenia i odrazy. Miejsce, gdzie można czasem spotkać w barze kogoś, kto chce sprzedać takie informacje. Jego szwagier zna strażnika w więzieniu, który co dzień widuje Costę - i tak dalej. Gdybym chciał zobaczyć oficjalne, kolorowe zdjęcia tego, co zostało z kobiet, pewnie bym je od kogoś wydobył - jeśli zgodziłbym się zapłacić. Może bym nawet mógł kupić kawałek sznura, którym Tony wiązał dziewczęta, ale po procesie. Przecież interes to interes i zawsze tak było. Na sławnych mordercach można zrobić pieniądze. Na przykład: mnie też płacą.

Morderstwo to nie nowość na przyłądku Cod, ani nawet wielokrotne morderstwo zalatujące narkotykami. Słonecznego lata w starym dobrym roku 1901 pielęgniarka Jane Toppan, używając morfiny i atropiny,

zamordowała Aldena P. Davisa, jego żonę i dwie córki. Stało się to o dziesięć mil stąd, w ślicznym Cataumet, gdzie wiatraki jeszcze czasem miały zboże.

Leonard Wook, komendant zawadiackiego oddziału ochotniczej kawalerii w czasie wojny hiszpańsko-amerykańskiej, przyjechał tu właśnie na wakacje. Prezydentem był McKinley, który wkrótce potem został zastrzelony. Można twierdzić, że Jane Toppan na swój sposób odpowiedziała na powszechną chciwość, militaryzm, mordercze instynkty i korupcję swych czasów. Jeśli tak, to odpowiedziała bardzo dobitnie. Przyznała się nie tylko do zamordowania rodziny Davisów, ale jeszcze do dwudziestu siedmiu innych morderstw.

Umarła w 1938 roku w domu dla obłąkanych. Dom obłąkanych to jest niewątpliwie najwłaściwsze miejsce dla wielokrotnych morderców.

Jane Toppan była sierotą i nigdy nie poznała tożsamości swoich rodziców naturalnych. Tony Costa wie wszystko o swoich rodzicach i całym tłumie kochających krewnych. Jego ojciec wsławił się w Nowej Gwinei podczas drugiej wojny światowej. Uratował tonącego marynarza. A potem uderzył głową w rafę koralową i umarł. Tony ma wycinek z gazety o nim i z dumą go pokazuje.

Ojciec był ubezpieczony na życie na dziesięć tysięcy dolarów. Matka Tony'ego, która po jakimś czasie wyszła powtórnie za mąż, przekazała część tych pieniędzy synowi, gdy dorósł. Nadal mieszka w Provincetown. Kiedy Tony miał zaledwie trzynaście lat, już prowadził księgowość i korespondencję w interesach oraz wypełniał zeznania podatkowe swego ojczyma, masona.

Cóż bardziej normalnego?

Tony ma iloraz inteligencji 121.

Tony z żoną byli kiedyś katolikami, ale już nie są.

- Oboje wierzymy w reinkarnację, stany psychodeliczne i Boga w naturze - powiedziała Avis jakiś czas temu.

Rozwiodła się z nim w czerwcu ubiegłego roku, oskarżając go o „złe i brutalne traktowanie”. Jest to klasyczne oskarżenie, które wnosi się nawet przeciw spokojnym osobom, żeby otrzymać rozwód w Federacji.

Dziennikarze, którzy rozmawiali z czubkami z Provincetown na temat Tony’ego często słyszeli, że mówią o nim w czasie przeszłym, jakby zniknął już dawno i miał nigdy nie powrócić. Czubków raził ohydny, szeroki rozgłos.

Z całego serca chcą dla Tony’ego tylko jednego: sprawiedliwego procesu.

Czy to możliwe, że Tony został wrobiony? W początkach 1968 roku zrobił krok zupełnie samobójczy dla kogoś, kto zabawia się w ćpanie. Powiedział miejscowej policji, że pewien człowiek sprzedaje narkotyki. I facet trafił za kratki. Był w tym element plemiennej sprawiedliwości: ta osoba nie pochodziła stąd.

Ale kto by poćwiartował i zakopał cztery miłe dziewczyny, żeby zrobić jedną płotkę?

Krążą plotki, że Tony był rozpuszczonym dzieciakiem. Nigdy za nic nie został ukarany.

Policja znalazła kawałek poplamionego sznura w szafie w

pensjonacie, w którym pomagał nosić bagaże Patrici Walsh i Mary Ann Wysocki.

Młode kobiety w Ameryce nadal będą szukać miłości i mocnych przeżyć w miejscach, które są niebezpieczne jak diabli. Gratuluję im optymizmu i odwagi.

Pamiętam lato mojej córki w Provincetown, kiedy to podobno studiowała malarstwo olejne. Potem opowiedziała mnie i swojej matce o młodzieńcu, który co jakiś czas ją informował, że chce ją zabić i to zrobi. Nie zwracała tym głowy policjantom. Uznała to za dowcip, podobnie jak zaproszenie do obejrzenia grządki z marihuaną.

Kiedy Tony został aresztowany, zadzwoniłem do niej w Iowa City i spytałem:

- Edith, pamiętasz tego faceta, który ci powtarzał, że cię zabije? Czy on się nazywał Tony Costa?

- Och, nie - odparła. - Tony by czegoś takiego nie powiedział. To nie był Tony.

Wtedy powiedziałem jej aresztowaniu Tony'ego Costy.

W GÓRĘ! LECIMY NA KSIĘŻYC!

Mój brat, Bernard, oglądał start rakiety kosmicznej z Przylądka Kennedy'ego.

- Wiesz, jak się tam jest, to ta cała rzecz wydaje się niemal warta zachodu - powiedział mi. Twierdził, że to właściwie zabawa za milion dolarów, a już zwłaszcza hałas jest tyle wart.

Hałas.

- Ognie sztuczne odpadają w przedbiegach! - opowiadał. - Jakby ziemia się poruszyła!

Jesteśmy obaj tak starzy, że mamy liczne, osobiste doświadczeni z ogniami sztucznymi. Kiedyś kupowaliśmy je przez firmy wysyłkowe i w sklepach: ognie rzymskie, wyrzutnie, moździerze, katusze.

To, co mój brat powiedział o hałasie na Przylądku Kennedy'ego, wywołało we mnie dziecienną reakcję.

- Rany - odparłem. - Jak ja bym chciał usłyszeć ten hałas.

Do tej pory słyszałem go tylko z głośnika telewizora wielkości srebrnej monety dolarowej. Posunąłem się tak daleko, że wyłudziłem od NASA zaproszenie na start, a potem nie mogłem pójść. Ale dzięki temu wpisano mnie na listę osób, którym wysyłają za darmo materiały rozplywające się nad Amerykani-nami i kosmosem. Jak dotąd najwspanialszą darmochą była książka z boskimi kolorowymi fotografiami pod tytułem:

„Exploring Space with a Camera” („Odkrywanie przestrzeni z

aparatem fotograficznym”). Stoi na mojej półce encyklopedii i słowników obok „The Look-It-Up Book of the Stars and Planets” („Przewodnik po gwiazdach i planetach”) Patrici Lauber wydany przez Random House.

Poszukaj w przewodniku.

Panna Lauber pisze dla dzieci. Oto przykład.

„Lecimy w przestrzeni. Naszym statkiem kosmicznym jest Ziemia, która okrąża Słońce z prędkością 67 000 mil na godzinę. Okrążając Słońce obraca się wokół własnej osi. Słońce jest gwiazdą.”

Gdybym się upił, to może bym się i rozpląkał z tego stwierdzenia, bo wynika z niego, że wszyscy Ziemianie są moimi ukochanymi towarzyszami podróży - astronautami.

Ukochanymi.

James E. Webb jest mniej braterski. Myśli o narodach, z których jeden wygra, a drugi przegra. Mówi o tym w przedmowie do „Exploring Space with a Camera”.

„Przez całą historię podbicie nowego środowiska lub nowej, ważnej technologii czy połączenie tych dwóch, jak w wypadku przestrzeni kosmicznej, miało doniosły wpływ na przyszłość krajów, na ich siłę i bezpieczeństwo, powiązania z innymi, gospodarkę wewnętrzną oraz interesy społeczne i polityczne, a także na obraz rzeczywistości przyjmowany przez ich mieszkańców.”

Ich mieszkańcy.

Nie podaje przykładów. Myślę więc o Niemczech w czasie pierwszej wojny światowej, gdy odkryto, jak walczyć pod wodą. Myślę o zdumiewających niemieckich rakietach podczas drugiej wojny światowej. Myślę o wszelkiej broni wszystkich krajów w trakcie trzeciej wojny światowej. Myślę o zbrojach, rydwanach i prochu strzelniczym za dawnych czasów - o armatach pływających na platformach, które dawały kolejnym narodom władzę na falach mórz.

Myślę o hiszpańskim panowaniu w Nowym Świecie, gdzie już były miliony innych Ziemi z przynajmniej dwoma starszymi cywilizacjami. Myślę o ich władczym torturowaniu Indian, żeby wyznali, gdzie ukryli złoto.

Złoto.

Myślę o tym, jak biali Amerykanie rządili na Południu dzięki pełnemu wyobraźni korzystaniu z porwanych Afrykańczyków. Myślę o DDT.

Moim zdaniem, to brutalność i chciwość kryje się za większością rzeczywistych dziejów podbijania nowych środowisk dzięki nowym technologiom. Z perspektywy czasu widać, że panujący najczęściej pojmwali rzeczywistość głupio albo solip-systycznie. Nikt nie był absolutnie bezpieczny i panowie szybko tracili władzę. Zostawał straszliwy bałagan do posprzątania, zniszczone tereny, a po nich rozsiani Ziemiańskie i ich maszyny.

Głupie.

Dotychczas wydaliśmy około 33 miliardów dolarów na program

kosmiczny. Powinnyśmy je wydać na sprzątanie straszliwie brudnych kolonii na Ziemi. Nie ma się co śpieszyć z dotarciem w jakieś miejsce w kosmosie, chociaż Arthur C. Clarke chce odkryć źródło fantastycznych sygnałów radiowych płynących z Jowisza. Przecież i tak posuwamy się w przestrzeni. Z każdą godziną cały system słoneczny przybliży się o 43 000 mil do gromady kulistej M13 w gwiazdozbiorze Herkulesa.

Gromada kulista M13.

Oczywiście wspaniali entuzjaści przestrzeni, jak Arthur C. Clarke, to skarb dla tysięcy osób w niezwykle dochodowym przemyśle kosmicznym. Potrafi lepiej od nich czarować słowami. Jego sztuka i ich interes ekonomiczny się łączą.

„Odkrycie, że Jowisz jest dość ciepły i ma dokładnie taki rodzaj atmosfery, w którym, jak wierzymy, powstało życie na Ziemi, może stanowić preludium do najważniejszych biologicznych odkryć tego stulecia.”

Napisał tak ostatnio w „Playboyu”.

„Playboy”.

Gdzieś tam wpłynęły pieniądze do kasy.

Inni naukowcy, jak dr Harold C. Urey, dr Harold Masursky i im podobni, nieświadomie rozdmuchują zainteresowanie kosmosem, bo pasjonuje ich znalezienie odpowiedzi na pytanie, czy kraterzy na Księżycu powstały przez uderzenia meteorytów, a może po wybuchu wulkanu, ewentualnie z obu tych przyczyn, albo jeszcze w inny sposób. Bardzo chcieliby dowiedzieć się tego natychmiast i teraz właśnie można to

stwierdzić, ale płacąc olbrzymią cenę. Pieniądze ściągnęły urzędy podatkowe i często zabierano je amerykańskim Ziemianom, którzy są biedni jak naiwniak Hiob, że pozwolę sobie na żart.

Hiob.

Jeśli uda się pierwsze lądowanie na Księżycu, wszystkie hioby w Ameryce i cała uszczęśliwiona reszta, hojnie się zrzuci, żeby kupić pięćdziesiąt funtów kamieni i piasku z Księżyca. W ten sposób członkowie bractwa uniwersyteckiego pomogą mojemu bratu, który jest ważną osobistością w programie kosmicznym. Jeździ jaguarem XKE.

XKE.

Razem należeliśmy do jednego bractwa w Cornell.

Członkowie bractwa.

Mój brat z bractwa zupełnie słusznie aż puchnie z dumy nad programem kosmicznym. (Jest także dumny z bractwa, które może być czymś zupełnie innym.) Jest inżynierem i gdy pewnej nocy wypiliśmy mnóstwo koktajli z brandy i likieru miętowego, piał hymn pochwalny o precyzji budowy i wyprowadzaniu na orbitę „ptaków”. A ja tymczasem myślałem o Harrym Houdinim, który zarabiał na życie uciekając z kaftanów bezpieczeństwa, sejfów bankowych i zamkniętych szaf umieszczonych pod wodą.

Woda.

Alkohol podsunął mi myśl, że Houdini, gdyby miał 33 miliardy dolarów, wynająłby najlepszych naukowców owych czasów, zamówiłby u nich wielką rakietę i coś w rodzaju szybkowara, w którym mógłby lecieć. A potem kazałby się wystrzelić na Księżyc.

Dlaczego Houdini miałby to robić? Bo nawet przy tak ograniczonych środkach był największym iluzjonistą wszechczasów. Poruszał ludzi w sposób, który najbardziej chwyta za serce: kładł na szali własne życie. Właściwie był inżynierem, który ciągle na nowo ratował swoją skórę, używając siły, odwagi, narzędzi i umiejętności technicznych.

Ten houdinowski aspekt programu kosmicznego daje najwięcej Ziemianom: tym głupim, z marginesu, windziarzom, stenotypistkom i tak dalej. Są zbyt tępi, żeby się przejmować pochodzeniem kraterów na Księżycu. Powiedz im o sygnałach radiowych z Jowisza, a z miejsca o tym zapomną. W gruncie rzeczy lubią przedstawienia, na których ludzie zostają zabici.

Zabici.

I to też dostają.

Parę słów o tępych Ziemianach kontra mądrzy Ziemianie. Przez lata poznałem sporo naukowców i zauważyłem, że często prace kolegów nudzą ich tak samo jak nudziłyby tępaków.

Przez pewien czas pracowałem w dziale *public relations* w Instytucie Badawczym w General Electric Company i wiele razy miałem przywilej obserwowania, jak jeden uczoney wpada do laboratorium drugiego w ekstazie nad nową informacją. Właściwie ujadął: „Eureka! Eureka!”

Eureka.

A uczoney, który musiał słuchać tego całego ujadania, nie mógł się doczekać, aż gość się zamknie i sobie pójdzie.

Czasem rozmawiałem z uczonymi z G.E. na temat pasjonujących rzeczy opisywanych w „Scientific American”. W tamtych czasach

czytałem go regularnie. Bycie na bieżąco uważałem za część mojej pracy. Jeśli temat artykułu, o którym wspomniałem, nie odnosił się bezpośrednio do badań mojego słuchacza, zapadał w drzemkę. Równie dobrze mógłbym mówić po aramejsku.

Dlatego twierdzę, że nawet nasi najwybitniejsi naukowcy są nieco znudzeni programem kosmicznym, chyba że bezpośrednio interesuje ich Księżyc. Dla nich to też musi wyglądać jak bardzo droga impreza rozrywkowa.

Eureka.

Fundusze mojego brata na badania fizyki chmur w pewnej części pochodzą od Marynarki Wojennej. Ostatnio rozmawiał z pewnym naukowcem, jadącym na tym samym wózku, o miliardach zainwestowanych w program kosmiczny. Kolega stwierdził sucho:

- Za takie pieniądze mogliby przynajmniej odkryć Boga.

Odkryć Boga.

Wykopiesz pięćdziesiąt funtów kamienia księżycowego i co zyskasz? Będziesz o dzień starszy i bardziej zadłużony. Święty Piotrze, nie wzywaj mnie, „Bo nie mogę iść. Sprzedałem duszę w sklepiu firmy”.

Sklepiu firmy.

Na zdjęciach przysłanych mi przez NASA Ziemia jest śliczną niebieską, różową i białą perłą. Wygląda tak czysto. Nie widać tych wszystkich głodnych, wściekłych Ziemiaków ani smogu, ścieków, śmiecia i skomplikowanej broni. Kiedyś leciałem z prędkością pięciuset mil na

godzinę pięć mil nad Appalachami. Podobno w niektórych ich częściach życie jest straszne, ale mnie się wydały rajskim ogrodem. Byłem bogatym facetem wysoko w chmurach, który pogryzał orzeszki ziemne i popijał dżin.

Raj.

„Ziemia jest naszą kołyską, którą niedługo opuścimy”, mówi Arthur C. Clarke. „A system słoneczny będzie naszym przedszkolem”. Oczywiście większość z nas nie wyjdzie z tej kołyski, chyba że śmierć okaże się formą astronautyki.

Zawsze pozostaje dżin.

Dżin.

Pamiętam mały na wspaniałym filmie w systemie cineramy pod tytułem „Odyseja kosmiczna 2001”. Pamiętam ich przekrwione oczy, jak bały się w nocy i kiedy nauczyły się korzystać z narzędzi, by rozwalać sobie czaszki. Nie sądzę, byśmy daleko zaszli na drodze ewolucji, chociaż mamy cinera-mę. Tego samego wieczoru, kiedy obejrzałem „Odyseję kosmiczną 2001”, dr Nathan Pusey, rektor Harvardu, wezwał policję do miasteczka uniwersyteckiego, gdzie rozwalili parę czaszek.

Cinerama.

Zastanawiam się, czy naprawdę musimy przeszukać cały system słoneczny, by znaleźć przedszkole? A może jest cień szansy na zbudowanie go na miejscu?

Żadnego.

Czytam teraz książkę „In Defense of Nature” („W obronie natury”)

poety-naturalisty Johna Haya, wydaną przez Atlantic-Little, Brown. Opisuje starego zbieracza mięczaków z Maine, który nigdy nie opuści kołyski:

„Kiedy satelity z odległości 25 000 mil robią zdjęcie Ziemi, która obraca się w przestrzeni pokryta kurzawą chmur, stary człowiek siada na kamieniu, by odpocząć. Kiedy mózgi uczonych wspomagane przez komputery rzutują w przyszłość swą przypadkową metodologię, on marzy o przeszłości. Kiedy nauka, naśladowując Słońce, chce dzięki reakcji nuklearnej uzyskać dla ludzkości nieograniczone źródło energii, on stoi z szeroko rozstawionymi nogami, pochyliwszy głowę i ramionami i raz za razem przeciąga grabiami do mięczaków, pracując systematycznie nad kolejnymi odcinkami wybrzeża.”

Biedna małpa.

Dobrzy, współcześni pisarze science fiction nie są tak chętni, jak Arthur C. Clarke, by znaleźć przedszkole na Jowiszu, zostawiając za sobą biedną małpę z Maine i jej grabie do mięczaków. Isaac Asimov, który jest wielkim człowiekiem, jak na razie zauważył trzy etapy rozwoju amerykańskiej science fiction i twierdzi, że osiągnęliśmy trzeci etap.

1. Przewaga przygód.
2. Przewaga techniki.
3. Przewaga socjologii.

Mogę mieć nadzieję, że jest to również proroczy szkic historii Ziemian. „Socjologię” interpretuję szeroko, jako pełne szacunku i obiektywne branie pod uwagę kołyskowego charakteru pobytu Ziemian na

Ziemi.

Trzeci etap.

W trakcie zwykłego dnia, który spędzam na przylądku Cod, nigdy nie spotkałem tam osoby rozmyślającej o odkrywaniu kosmosu. W dniu, gdy odbywa się jakiś szczególnie niebezpieczny start rakiety, ludzie czasem wspominają o nim na pocztce. Ale poza tym rozmawiają o pogodzie. Wymiana zdań na pocztce jest innym sposobem powiedzenia „Cześć”.

Cześć.

Jeśli rakiet kosmiczna krążyła jakiś czas w przestrzeni i wodowała bez awarii, moi sąsiedzi może i rzucają coś w rodzaju: „Bogu dzięki”. Są wdzięczni, że ci krótkowłosi, biali sportowcy, którzy polecili szybkowarem, nie zostali zabici.

Co ciekawe, z podobną ulgą wyrażają się również o bezpiecznym powrocie do domu radzieckiego kosmonauty. Moi sąsiedzi uznaliby za niewłaściwe, gdyby nazwisko zmarłego komunistycznego kosmonauty włączono na listę ofiar w Wietnamie i niechcący pomieszano z jakże pocieszającą informacją o liczbie komunistów zabitych tego dnia.

Liczba ofiar.

Jedno święte wspomnienie dzieciństwa to być może najlepsza edukacja”, powiedział Fiodor Dostojewski. Wierzę w to i mam nadzieję, że wiele ziemskich dzieci uzna pierwszy ślad ludzkiej stopy na Księżycu za rzecz świętą. Potrzebujemy świętości. Jeśli pozwolimy, to ślad stopy będzie symbolizował, że Ziemianie dokonali niewyobrażalnie trudnej i pięknej rzeczy, a Stwórca dozwolił na to z sobie znanych powodów.

Ślad stopy.

Ale w Ameryce ten odcisk stopy zostanie natychmiast sprofanowany przez reklamę. Wiele dochodowych korporacji przypisze sobie i swym produktom część sławy. Ten ślad będzie symbolizował, nawet dla dzieci, jeszcze jedną, szmatławą kampanię reklamową.

Kampania reklamowa.

I może nawet ślad stopy okaże się najlepszy. Może rzeczywiście będzie święty. Stare przysłowie mówi, że krok po kroku można zejść daleko. Może Stwórca rzeczywiście chce, byśmy podróżowali znacznie dalej, niż dotychczas. I może to On chce żeby nasze systemy nerwowe robiły się coraz bardziej skomplikowane. W górę!

W górę.

Jednak wolę tak nie uważać z jednego, prostego powodu. Ziemianie, którzy byli głęboko przekonani, że Stwórca oczekuje od nich konkretnego działania, niemal zawsze okazywali się uparci i okrutni. Zakład?

Pewnego dnia młody, amerykański Ziemianin zatrzymał się przejazdem przy moim domu, żeby porozmawiać o mojej książce, którą właśnie przeczytał. Był synem bostończyka, który umarł jako zapijaczony włóczęga. Jechał do Izraela, by tam dokonać istotnych dla siebie odkryć, chociaż nie był Żydem. Powiedział, że jego pokolenie jako pierwsze uwierzyło, że jest bez przyszłości. Już to słyszałem.

Bez przyszłości.

- Jak możesz tak mówić, skoro amerykański program kosmiczny tak świetnie idzie? - spytałem.

Odparł, że program kosmiczny też nie ma przyszłości, ponieważ zabijana jest planeta, na której się odbywa. Tego właśnie dnia w prasie ogłoszono, że na Atlantyku mają zatopić dwa stare statki Liberty z tonami gazu paralizującego na pokładzie. Fabryki w Duluth wypuszczają ścieki takonitowe do Jeziora Górnego, jedyne jeszcze czyste spośród Wielkich Jezior. Powiedział, że od początku rewolucji przemysłowej poziom dwutlenku węgla w atmosferze wzrósł o piętnaście procent, a dalszy wzrost zmieni planetę w gigantyczną szklarnię, w której się upieczemy. Powiedział, że na pewno zostanie zbudowany system rakiet antybalistycznych, który razem z systemem rakiet wroga i dzięki połączonym cudom radaru, satelitów i komputerów zmieni planetę w jedną wspaniałą bombę grożącą w każdej chwili wybuchem. Bomba.

- Jeśli rzeczywiście wierzysz w te wszystkie okropieństwa na temat naszej planety, to jak potrafisz dalej żyć? - spytałem.

- Z dnia na dzień - odparł. - Podróżuję. Czytam.

Nie miał ze sobą dziewczyny, żadnej Ewy.

Żadnej Ewy.

Zapytałem go, co czyta, i wyjął z plecaka książkę. Była to „Musie of the Spheres” („Muzyka sfer”) Guya Murchiego wydana w 1961 roku przez Houghton Mifflin. Znałem fragmenty tej książki. Zacytowałem uwagę, którą Murchie zrobił na temat jednej z moich powieści.

„Czasami się zastanawiam, czy ludzkość debatująca nad śmiertelnością i nieśmiertelnością nie przegapiła istoty rzeczy - innymi słowy: może sama śmiertelność okaże się ograniczoną iluzją, a w rzeczywistości jest nieśmiertelnością i chociaż składa się zaledwie z paru

„lat”, to skoro ten czas jest całym czasem, który istnieje, więc faktycznie ludzie nie przestają istnieć.”

Poprosiłem mego gościa, by mi pokazał w książce fragment, który mu się najbardziej podoba. Oto on.

„Czy między nami i Królestwem Przyszłości jest tylko złudzenie czasoprzestrzeni? Oczywiście nie mogę sięgnąć i dotknąć go dłonią, ale mogę w pewien sposób wyobrazić je umysłem i czuć jego potencjalność sercem. I mogę tam zobaczyć piękno i ład, a zwłaszcza elementy muzyki. Mogę słyszeć - w prawdziwym rozumieniu tego słowa - muzykę sfer.”

*PRZEMÓWIENIE DO AMERYKAŃSKIEGO STOWARZYSZENIA
FIZYCZNEGO*

Nowy Jork 1969

Mój jedyny brat jest specjalistą od fizyki chmur. Starszy ode mnie o dziewięć lat, i w młodości był dla mnie wzorem. Pracował w instytucie badawczym General Electric Company w Schenectady. W tamtych czasach pracował z Irvingiem Langmuirem i Vincetem Schaefferem nad wywoływaniem deszczu lub śniegu ze szczególnego rodzaju chmur, dzięki stałemu dwutlenkowi węgla albo jodkowi srebrnemu czy innym substancjom.

Cieszył się złą sławą w Schenectady z powodu straszliwego bałaganu w laboratorium. Jeden z behapowców wzywał go regularnie na rozmowy i błagał, żeby usunął śmierniczośne pułapki porozkładane w pokoju. Pewnego dnia mój brat tak do niego powiedział: „Jeśli tamto uważasz za bałagan, to powinienes zjrzeć tutaj” i wskazał na własną głowę. Kocham go za to zdanie. Bardzo się kochamy, chociaż jestem humanistą, a on fizykiem.

Jestem zachwycony, bo w programie nazwaliście mnie humanistą. Zawsze uważałem się za paranoika, który reaguje histerycznie i zarabia pieniądze w podejrzany sposób, bo na własnej chorobie psychicznej. Pisarze, wedle tradycji, nie cieszą się pełnym zdrowiem umysłowym.

Na tej sali znalazło się wielu nauczycieli fizyki. Też jestem nauczycielem. Uczę, jak pisać. Często się zastanawiałem, po cóż to robię,

skoro na tym łez padole jest bardzo skromne zapotrzebowanie na pisarzy. Zawsze się dziwiłem, że jakakolwiek dziedzina sztuki, może z wyłączeniem dekoracji wnętrz, może się do czegoś przydać. Najbardziej pozytywny cel, jaki potrafiłem wymyślić dla sztuk, to teoria, którą nazywam „kanarek w kopalni”. Wedle jej założeń artyści przydają się społeczeństwu dzięki swej wrażliwości. Są wyjątkowo wrażliwi. Padają jak kanarki w kopalni wypełnionej trującym gazem, zanim bardziej żywotne osoby zauważą cień niebezpieczeństwa.

Dlatego najbardziej użyteczną rzeczą, jaką mogłem zrobić przed dzisiejszym spotkaniem, to paść. Ale z drugiej strony, co dzień padają tysiące artystów i nikt na to nie zwraca najmniejszej uwagi.

Jeżeli chcecie usłyszeć niezależną opinię na temat waszej profesji, to wynajęliście niewłaściwego człowieka. Otrzymałem mniej więcej takie samo typowe wykształcenie, jak wy wszyscy. W college’u robiłem chemię. H.L. Mencken zaczął jako chemik. Również H.G. Wells. Mój ojciec powiedział, że pomoże mi płacić chesne, jeśli tylko będę studiował coś poważnego. To było w końcu lat trzydziestych. W tamtych czasach „Przegląd” zachwycał się tymi wspaniałymi rzeczami, które Niemcy robili z chemikaliami. Chemia wchodziła w modę. Również i Niemcy. Dlatego poszedłem na Uniwersytet Cornell studiować chemię i niemiecki.

Właściwie miałem szczęście jako pisarz, że studiowałem nauki ścisłe, a nie literaturę. Pisałem dla własnej przyjemności. Nie znalazł się miły profesor angielskiego, który dla mojego dobra powiedziałby mi, jak okropne są moje teksty. Nie było też profesora, który by mógł mi nakazać, co mam czytać. Dlatego czytanie i pisanie było dla mnie czystą przyjemnością. Dopiero w ubiegłym roku przeczytałem „Panią Bovary”.

To bardzo dobra książka. Już wcześniej mi się to obilo o uszy.

W trakcie studiów chemicznych byłem zagorzałym miłośnikiem techniki. Wierzyłem, że do 1951 roku dopadniemy Boga i zrobimy Mu zdjęcie w technikolorze. Kpiłem z moich braci z bractwa Cornell, którzy tracili czas na przedmioty nieściśle jak socjologia, zarządzanie i historia. I literatura. Mówiłem im, że w przyszłości cała władza spocznie we właściwych rękach: chemików, fizyków i inżynierów. Bracia z bractwa wiedzieli więcej ode mnie o przyszłości i przejmowaniu władzy. Teraz są bogaci i potężni. Wszyscy są prawnikami.

Zaprosiliście mnie u schyłku moich możliwości twórczych. Mam czterdzieści sześć lat. F. Scott Fitzgerald nie dożył mojego wieku. Ani Antoni Czechów. Ani D.H. Lawrence. Ani George Orwell, człowieka, którego chyba najbardziej podziwiam. Fizycy zwykle żyją dłużej od pisarzy. Kopernik umarł jako siedem-dziesięciolatek. Galileusz w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat. Newton osiemdziesięciu pięciu. Żyli tak długo, zanim odkryto te wszystkie cuda współczesnej medycyny. Pomyślcie, o ile dłużej by żyli po przeszczepie serca.

Nazwaliście mnie humanistą; sprawdziłem znaczenie tego słowa i odkryłem, że humanista to osoba, którą wielce zajmują ludzie. Mój pies jest humanistą, nazywa się Sandy. Jest psem pasterskim. Wiem, że Sandy to głupie imię dla psa pasterskiego, ale cóż zrobić.

Pewnego dnia, gdy wykladałem pisanie na Uniwersytecie Iowa w Iowa City, uświadomiłem sobie, że Sandy nigdy nie widział naprawdę dużego zwierzęcia mięsożernego. Również nigdy go nie obwąchał. Postanowiłem zrobić mu frajdę. Zabrałem go do małego zoo, które jest w

Iowa City, żeby zobaczyć dwa czarne niedźwiedzie w klatce.

- Hej, Sandy - powiedziałem mu w drodze do zoo. - Poczekaj, aż je zobaczysz. Poczekaj, aż je obwąchasz.

Te niedźwiedzie wcale go nie zainteresowały, chociaż stały o trzy cale od niego. Smród był taki, że zwała nóg. Ale Sandy zupełnie tego nie zauważał. Za bardzo zajmowało go obserwowanie ludzi.

Większość ludzi również interesuje się ludźmi. Tego przynajmniej doświadczyłem bawiąc się w pisanie. Dlatego tak mądrze postąpiliśmy, wysyłając na Księżyc istoty ludzkie zamiast maszyn. Większość ludzi niezbyt interesuje się maszynami. Zawsze mówię początkującym pisarzom: „Kiedy opisujecie krajobraz wiejski, miejski lub morski, zawsze pamiętajcie, żeby umieścić w nim człowieka. Dlaczego? Bo czytelnicy są istotami ludzkimi i przede wszystkim ciekawią ich ludzie. Ludzie są humanistami. A przynajmniej większość z nich”.

Tuż przed wyjazdem z przylądka Cod na to spotkanie otrzymałem następujący list.

Szanowny Panie Wonnegut.

Z zainteresowaniem przeczytałem informacje, że podczas zjazdu ATF w Nowym Jorku, w czasie spotkania zatytułowanego „Prawy Naukowiec”, zabierze głos Pan, Eames i Drexler. Niestety, nie będę obecny na tegorocznym zjeździe w Nowym Jorku. Jednak jako fizyk-humanista byłbym bardzo zobowiązany za przesłanie mi kopii Pańskiego wystąpienia.
Z góry dziękuję

Pański:

George F. Norwood, Jr. docent na wydziale fizyki Uniwersytet Miami

Coral Gables, Floryda.

Jeśli profesor Norwood jest rzeczywiście fizykiem-humanistą, to dokładnie spełni moje wyobrażenie o prawym fizyku. Prawy fizyk to fizyk-humanista. A tak na marginesie, to jest świetny sposób na otrzymanie dwóch Nagród Nobla. Co robi fizyk-humanista? No cóż, obserwuje ludzi, słucha ich, myśli o nich, dobrze życzy im i ich planecie. Świadomie nie zraniłby człowieka. Świadomie nie pomógłby politykom czy żołnierzom zrobić ludziom krzywdy. Jeśli dokona odkrycia, które niewątpliwie zaszkodziłoby ludziom, zatrzyma je dla siebie. Wie, że naukowiec może pomóc w popełnieniu najstraszliwszego morderstwa. Przecież to oczywiste. Jasne jak słońce.

Myślę, że zostałem tu zaproszony przede wszystkim z powodu książki „Kocia kołyska”. Nakład jeszcze nie jest wyczerpany, więc jeśli pobiegniecie ją kupić, nie będziecie rozczarowani. Opowiada o staromodnym naukowcu, który nie interesuje się ludźmi. W samym środku okropnej, rodzinnej kłótni pyta o żółwie. Nikt nie mówił o żółwiach. Ale staruszek nagle chce wiedzieć, czy kiedy żółwie wciągają głowy do skorup, to ich kręgosłupy się kurczą, czy wyginają.

Ten roztargniony starzec, którego nic nie obchodzi ludzie, odkrywa rodzaj lodu powstającego w temperaturze pokojowej. Umiera, i ta substancja, którą nazwałem lód-9, wpada w ręce jakichś idiotów. Idioci w końcu wrzucają ten lód do morza i wszystkie wody na ziemi zamarzają - i to jest koniec życia na Ziemi w znanej nam formie.

Wpadłem na ten uroczy pomysł pracując w dziale *public relations* w

General Electric. Pisałem informacje dla dziennikarzy o tamtejszym instytucie badawczym, w którym pracował mój brat. Kiedyś usłyszałem historię o wizycie H.G. Wellsa na początku lat trzydziestych.

General Electric martwił się jego przyjazdem, bo nie wiedzieli, czym go zająć. Kierownictwo powiedziało Irvingowi Langmuir, najważniejszemu człowiekowi w Schenectady, jedynemu laureatowi Nobla pracującemu w prywatnej firmie przemysłowej, że będzie się zajmował Wellsem. Langmuir nie chciał tego robić, ale posłusznie starał się obmyślić, co by tu sprawiło przyjemność panu Wellsowi. Ułożył historyjkę science fiction i miał nadzieję, że pan Wells zechce ją napisać. Opowiadała o lodzie, który stawał się ciałem stałym w temperaturze pokojowej. Pana Wellsa nie zainspirował ten pomysł. Wreszcie umarł, podobnie jak i Langmuir. Po jego śmierci pomyślałem sobie: to cóż, może ja bym ją napisał.

Kiedy pisałem o lodzie-9, przypadkiem trafiłem na przyjęcie, gdzie poznałem krystalografa. Powiedziałem mu o lodzie zamarzającym w temperaturze pokojowej. Odstawił szklaneczkę z koktajlem na półkę nad kominkiem. Usiadł na fotelu w kącie. Przez pół godziny milczał z kamiennym wyrazem twarzy. Potem wstał, wrócił do kominka, wziął alkohol i zwrócił się do mnie.

- Odpada - powiedział.

Lód-9 nie może istnieć.

Niech i tak będzie, ale inne odkrycia naukowe okazały się niemal tak samo okropne. W każdym razie pomysł lodu-9 ma w sobie moralny sens, chociaż naukowo musi być kompletną bzdurą.

Nazwałem fikcyjnego odkrywce fikcyjnego lodu-9 staromodnym uczonym. Kiedyś było wielu naiwnych naukowców podobnych do niego. Teraz już nie. Młodzi uczeni mają wielką wrażliwość na moralne implikacje wszystkiego, co robią. Mój fikcyjny, staromodny uczony zadał także i to pytanie: „Co to jest grzech?” Zadał je kpiąco, jakby sama idea grzechu była równie przestarzała, co zbroja. Wydaje mi się, że młodych naukowców fascynuje idea grzechu. Postrzegają go jako coś ludzkiego, co poważnie zagraża planecie i życiu na niej.

Kiedy pracowałem w General Electric długo po zakończeniu drugiej wojny światowej, starsi uczeni byli spokojni, a młodszy wszystkim się przejmowali. Na przykład chcieli dyskutować nad problemem czy bomba atomowa była grzechem, czy też nie.

David Lilienthal, pierwszy prezes Komisji Gospodarki Atomowej, oświadczył, że złoży rezygnację, by móc się swobodnie wypowiadać, naukowcy z General Electric zebrali się razem i poprosili, aby przyjechał do Schenectady na spotkanie z nimi. Chcieli usłyszeć, co ma do powiedzenia na temat bomby, teraz, kiedy może swobodnie wyrażać swoje opinie. Lilienthal przyjął zaproszenie. Młodzi uczeni wynajęli salę kinową. Skoro Lilienthal miał się tam swobodnie wypowiedzieć, to do sali szpilki by nie wetknął.

Słuchacze siedzieli w milczeniu, przejęci, przerażeni, pełni szacunku i nadziei. O ile pamiętam, Lilienthal rozpoczął od zdania:

- Przede wszystkim uważam, że szkoda czasu na próżne żale.

A potem opowiedział naukowcom i ich żonom, ich młodym żonom, o tym, jak olśniewające korzyści przyniesie pokojowe wykorzystanie energii atomowej. Opowiedział o łożysku kulkowym, które zostało

pokryte radioaktywnym izotopem i spuszczone w dół rynnny. Dzięki energii atomowej można było dokonać precyzyjnych pomiarów zużycia i łożyska, i rynnny.

Opowiedział także o sprzedawcy jajek, który miał złośliwego guza gardła wielkości dyni. Temu człowiekowi, który już miał umrzeć, podano atomowy koktajl. Po paru dniach guz zniknął bez śladu. Sprzedawca jaj i tak umarł. Ale Lilienthal i inni jemu podobni uznali wyniki eksperymentu za wysoce optymistyczne.

Nigdy w życiu nie widziałem ludzi bardziej przygnębionych od tych, którzy wychodzili z sali kina. „Dziennik Anny Frank” to pogodna komedia w porównaniu z wystąpieniem Lilienthala przed tym szczególnym gremium, w ten właśnie wieczór, w tym szczególnym mieście, gdzie nauka była królem. Młodzi naukowcy i ich młode żony nauczyli się rzeczy, z której większość uczonych teraz zdaje sobie sprawę: ich przełożeni wcale nie muszą być ludźmi wrażliwymi, moralnymi albo obdarzonymi wyobraźnią. Zapytajcie Wernhera von Brauna. Jego szef kazał mu strzelać rakietami w Londyn.

Staromodny uczoney, którego opisałem w „Kociej kołysce”, był produktem wielkiego kryzysu, drugiej wojny światowej i oczywiście jeszcze paru innych *rzeczy*. Podejście ludzi techniki w trakcie drugiej wojny światowej wyrażało się w sloganach: „Możemy!” albo „Z trudnościami radzimy sobie od ręki; rzeczy niemożliwe zajmują trochę więcej czasu”.

Druga wojna światowa była wojną przeciw złu w czystej postaci. Mówię to poważnie. Obywała się bez moralizowania. Wobec tak nikczemnego wroga nawet najpotworniejsze działanie było całkowicie

uzasadnione. Po zakończeniu wojny właściwie nie zniknęła atmosfera moralnej pewności i braku serca, przez nią stworzona. Ale prawi naukowcy przestali mówić: „Możemy!”

Nie uważam tego miejsca za szczególnie odpowiednie do moralizowania. Jak dotąd takie zachowanie nie było w moim stylu. Ale ludzie, zwłaszcza naukowcy, coraz częściej oczekują, że osoba wygłaszająca odczyt pod koniec wystąpienia zajmie się moralnością.

Największa klapa w mojej karierze mówcy miała miejsce ubiegłego lata na Uniwersytecie Valparaiso w Indianie, gdzie występowałem na zjeździe redaktorów pism uczelnianych. Powiedziałem mnóstwo przezabawnych rzeczy, ale pożegnały mnie bardzo anemiczne oklaski. W trakcie przyjęcia zapytałem jednego z gospodarzy, czym uraziłem słuchaczy. Odparł, że spodziewali się ode mnie nauk moralnych. Wynajęli mnie w roli moralisty.

Dlatego gdy teraz przemawiam do studentów, to moralizuję. Mówię im, żeby nie brali więcej, niż potrzebują, i nie byli zachłanni. Mówię im, żeby nie zabijali, nawet w obronie własnej. Mówię im, by nie zatruli wody i atmosfery. Mówię im, by nie marnowali zasobów naturalnych. Mówię im, żeby nie pracowali dla ludzi zanieczyszczających wodę lub atmosferę albo marnujących zasoby naturalne. Mówię im, by nie popełniali zbrodni wojennych i nie pomagali innym w ich popełnianiu. Te nauki moralne są bardzo dobrze przyjmowane. Oczywiście zawierają to, co młodzież sama mówi o sobie.

W Schenectady miałem przyjaciela; niedawno mnie odwiedził.

- Dlaczego z każdym rokiem mniej młodych Amerykanów zajmuje

się nauką? - spytał mnie.

Powiedziałem mu, że na młodzieży zrobił wrażenie proces zbrodniarzy wojennych w Norymberdze. Przestraszyli się, że kariera naukowa może ich także łatwo doprowadzić do popełnienia zbrodni wojennych. Nie chcą pracować nad budową nowych rodzajów broni. Nie chcą robić odkryć, które posłużą do udoskonalenia istniejącego arsenału. Nie chcą pracować dla firm zanieczyszczających wodę czy atmosferę albo niszczących zasoby naturalne. Dlatego zajmują się innymi gałęziami nauki. Stali się tak prawymi fizykami, że porzucili fizykę.

Na Uniwersytecie Michigan w Ann Arbor studenci urządzili piekło, bo uczelnia wykonywała tajne zlecenia rządowe. Rozmawiałem z paroma studentami na temat protestu przeciw rekrutującym z Dow Chemical, który, poza innymi rzeczami, produkuje również napalm. Stwierdziłem, że atak na osobę rekrutującą z tej firmy równa się atakowi na woźnego albo bileterkę w teatrze. Moim zdaniem, rekrutujący niczego nie reprezentują.

Przypomniałem, że na Harvardzie parę lat temu, w trakcie protestu przeciw firmie Dow Chemical, wynalazca napalmu chodził pośród tłumu i nikt go nie zaatakował. Nie uważałem tego za naganne. Moim zdaniem, był to wybryk moralności, chociaż wcale nie sugerowałem studentom w Ann Arbor, żeby ktoś zgnoił wynalazcę napalmu. Sam dobrze nie wiem, co takiego miałem na myśli.

Następnego dnia otrzymałem następujący list.

Szanowny Panie Vonnegut

Słyszałem Pańskie wczorajsze wystąpienie w Canterbury House i muszę przyznać, że uderzyło mnie Pańskie pytanie na temat Louisa

Fiesera, którego nikt nie zaatakował w trakcie demonstracji przeciw Dow Chemicals w Harvardzie. Pańskie pytanie, dlaczego studenci nie obejmują protestem uczonych, którzy konstruuja broń, jest cenne i niepokojące. Moja odpowiedź jest następująca: powinniśmy. Ale czy zna pan Louisa Fiesera? Nie znam go osobiście, ale do tego roku byłem na Harvardzie i słyszałem wykład staruszka na temat chemii organicznej. Na podstawie tego jednorazowego spotkania i relacjach innych o kontaktach z nim w ciągu ostatnich lat mogę podejrzewać, że protest nie zrobiłby na nim wrażenia. Na sali wykładowej wygląda na zabawnego i uroczego człowieka. Nie wyobrażam sobie, żeby zrozumiał istotę protestu, A taką osobowość trudno użyć jako symbol. Inaczej rzecz się ma z rekrutującymi do Dow Chemical: są tak doskonale bezosobowym przykładem produktu tego systemu, że łatwo i ich samych przyjąć za cel protestu, jak i wziąć ich za symbol zła.

Tutaj list się kończy.

Dzięki temu listowi zobaczyłem, że dr Fieser i jemu podobni, staromodni naukowcy byli i są niewinni jak Adam i Ewa. Dr Fieser pracując nad wynalezieniem napalmu nie popełnił grzechu. Uczni już nie powrócą do takiej niewinności. Wręcz przeciwnie: każdy młody naukowiec poproszony przez wojsko o zrobienie środka terroru podobnego do napalmu musi podejrzewać, że popełni współczesny grzech. I niech go Bóg za to błogosławi.

DOBRE POCISKI, DOBRE MANIERY, DOBREJ NOCY

Do szkoły średniej w Indianapolis chodziłem z miłą dziewczyną, Barbarą Masters. Jej ojciec był okulistą w naszym mieście. Ona jest teraz żoną Sekretarza Obrony.

Niedawno jadłem lunch w Indianapolis z mężczyzną, który znał ją ze szkoły. Mówił w akcentem charakterystycznym dla klas wyższych tego stanu, co brzmiało, jakby piła cięła ocynkowaną puszkę.

- Kiedy osiągniesz nasz wiek - powiedział - nagle zdajesz sobie sprawę, że rządzą tobą ludzie, z którymi chodziłeś do szkoły średniej. - Siedział chwilę milcząc skrepowany, a potem dodał. - I załapiesz, że w życiu jest tylko średnia szkoła. Robisz z siebie głupka w średniej szkole, idziesz na studia, tam się dowiadujesz, jak się powinien zachowywać w szkole średniej, potem zaczyna się dla ciebie prawdziwe życie i okazuje się, że to znów szkoła średnia: przewodniczący klasy, szefowa grupy kibiców i cała reszta. Richard M. Nixon - dodał. I znów zapadła cisza. Bez najmniejszych trudności mogliśmy sobie wyobrazić, że chodziliśmy do szkoły również z Nixonem.

- Optymista tryskający zdrowiem psychicznym - powiedziałem.

Mieszkam teraz na przylądku Cod i wracając z Indianapolis, czytałem artykuł dr Ernesta J. Sternglassa we wrześniowym numerze „Esquire”. Dr Sternglass, profesor radiologii na Uniwersytecie Pittsburskim, obiecał, że jeśli system antyrakiet obronnych panów Lairda i Nixona zostanie użyty, to wszystkie dzieci urodzone potem gdziekolwiek

na Ziemi umrą z powodu wad wrodzonych, nim dorosną i osiągną wiek rozrodczy.

Dlatego zachwycam się pogodą naszych liderów, facetów w moim wieku. Wzywali do ni mniej, ni więcej, tylko zbudowania maszyny końca świata, ale dalej się uśmiechają. Wszystko jest w porządku.

Tak się złożyło, że państwo Laird i ja skończyliśmy szkołę średnią w 1940 roku. Wtedy właśnie zobaczyliśmy pierwsze nekrologi naszych rówieśników: w kronikach klasowych.

Na przyjęciu parę miesięcy temu znajomy powiedział mi, że pani Laird czytała moje książki i jej się podobały. Miała jakoby dodać, żebym się z nią skontaktował, gdybym przyjechał kiedykolwiek do Waszyngtonu. Bardzo osobliwe. Jestem pacyfistą. Moim zdaniem, większość broni amerykańskiej jest okrutnie śmieszna. Moja najnowsza książka mówi o absolutnie żalonych rzeczach, jakie przydarzają się bezbronnym istotom ludzkim na ziemi, gdy na niebie nasze bombowce wypełniają swe zadania.

Ale wtedy przypomniałem sobie szkołę średnią, gdzie wszyscy nauczyliśmy się szanować opinie innych, bez względu na ich treść. Nauczyliśmy się, jak w każdej sytuacji zachowywać się przyjaźnie i uśmiechać się. Więc może Sekretarz Obrony przyjaźnie podejrze do mojego pacyfizmu, a po mnie będzie oczekiwał przyjaźliwego stosunku do końca świata.

W czerwcu ubiegłego roku przypadkiem znalazłem się w Waszyngtonie i zostawiłem przyjaźliwą wiadomość dla pani Laird w biurze jej męża w Pentagonie. Napisałem, że na trzy dni zatrzymałem się

w Sheraton Park. Nie otrzymałem odpowiedzi. Może rzekomy entuzjazm pani Laird na temat moich książek był nieprawdą.

Słowo honoru: gdybym został zaproszony do domu Lairdów, uśmiechałbym się bez przerwy. Zrozumiałbym, że ministerstwo robi tylko to, co musi, choćby miało to prowadzić do samobójstwa. Usłyszawszy od faceta o drugiej stronie medalu, zgodziłbym się, że planetę może spotkać los gorszy od śmierci. Wychodząc, podziękowałbym Lairdom za miłe spotkanie. I powiedziałbym:

- Jaka szkoda, że moja żona nie mogła przyjść ze mną. Spędziłaby uroczy wieczór.

Podziękowałbym także Bogu, że nie było tam żadnego przedstawiciela młodego pokolenia. Dzieciaki już się nie uczą dobrych manier w szkole średniej. Nie uśmiechałoby się spotkawszy osobę, która wypowiada się za budową urzędnika mającego najpierw okaleczyć, a w końcu zabić wszystkie dzieci. Kipieliby nienawiścią, co jest niegrzeczne.

DLACZEGO CZYTAJĄ HESSEGO

Oto szkielet opowieści, która zawsze będzie się cieszyła popularnością wśród młodzieży na całym świecie: mężczyzna dużo podróżuje, często jest sam. Nie martwi się o pieniądze. Szuka duchowego zadowolenia, unika małżeństwa i nudnej pracy. Jest inteligentniejszy od swych rodziców i większości spotykanych ludzi. Kobiety go lubią. Również biedacy. A także sędziwi mędrzy. Próbuje seksu, odkrywa, że jest przyjemny, ale to nic wielkiego. Wielokrotnie w zdumiewający sposób docierają do niego urocze aluzje, że naprawdę można znaleźć duchowe zadowolenie. Świat jest piękny. Wokoło zdarza się tyle cudów.

Ta historia ma wszystko, poza oryginalnością. Chretien de Troyes dzięki niej odniósł sukces osiemset lat temu w „Percewalu z Walii”. Jego Percewal poszukiwał Świętego Graala, kielicha, z którego pił Chrystus w trakcie Ostatniej Wieczerzy. W naszych czasach podziwiano Jacka Kerouaca, J.D. Salingera i Saula Bellowa oraz wielu innych za ich historie o poszukiwaniu.

Ale pośród współczesnych najlepiej opowiedział ją Herman Hesse. Umarł osiem lat temu. Był mniej więcej w wieku mojego ojca. Był Niemcem, a potem Szwajcarem. Głęboko kocha go poszukująca młodzież amerykańska.

Jego najprostszą, najbardziej niewinną i klarowną opowieścią o poszukiwaniu i znalezieniu jest „Siddhartha”. Jak jest popularna? Od 1957 roku w Ameryce wydrukowano blisko milion egzemplarzy. Jedną czwartą

sprzedano w ubiegłym roku. Ten rok zapowiada się jeszcze lepiej.

Hesse nie używa czarnego humoru. W książkach autorów posługujących się czarnym humorem ich bohaterowie, szukając świętości, znajdują na każdym kroku tylko śmiecie, kłamstwa i głupotę. Święty Graal w najlepszym razie bywa zastąpiony papierkiem od gumy do żucia albo zużyтым kondomem. Inaczej dzieje się z wędrowcami u Hessego, oni zawsze znajdują coś przynoszącego zadowolenie: świętość, mądrość, nadzieję. Oto dla przyjemności zacytuję kilka zakończeń książek Hessego: wprawy w ustawianiu figurek. Kiedyś może nauczę się śmiechu. Czekał na mnie Pablo, czekał na mnie Mozart.” *

„Opatrunek był bolesny. Wszystko, co od tej chwili ze mną się działo, było bolesne. Lecz czasami, gdy odnajduję klucz i potrafię zejść całkowicie w głąb siebie, tam, gdzie w ciemnym lustrze drzemie wizerunek losu, wystarczy mi się schylić nad owym ciemnym lustrem i widzę mój własny obraz, który teraz oto podobny jest całkiem do Niego - do Niego - mego przewodnika i przyjaciela.” **

„Może... okazałoby się, że jednak byłem poetą. Warte by to dla mnie było tyleż albo nawet więcej aniżeli cała rada gminna i jej kamienne tamy. Ale nie dorównałoby temu, co przyszło, a jednak nie zaginęło ze wszystkimi postaciami ludzkimi, od smukłej Rosi Girtanner aż po biednego Boppiego.” *

„Gowida skłonił się nisko, łzy, których nie czuł, popłynęły mu po

starej twarzy, w sercu jak ogień płonęło uczucie najgłębszej miłości, pokornej czci. Pokłonił się nisko, aż do ziemi, przed nieruchomo siedzącą postacią, której uśmiech przypominał mu wszystko, co kiedykolwiek miało dla niego wartość, co było mu drogie i święte.”**

„Zrozumiałem wszystko, zrozumiałem Pabla, zrozumiałem Mozarta, gdzieś za plecami słyszałem jego straszliwy śmiech. Wiedziałem, że w mej kieszeni są setki tysięcy pionków gry życiowej. Wstrząśnięty do głębi, przeczułem sens tej gry, pragnąłem jeszcze raz ją rozpocząć... Kiedyś nabiorę większej

* „Peter Camenzind” tłum. Edyta Sicińska, PIW, Warszawa 1994, s. 148. ** „Siddhartha” tłum. Małgorzata Łukasiewicz, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1988, s. 124.

Uroczę. Hesse ma wrażliwych, prawdziwie dwujęzycznych tłumaczy na angielski, tak przy okazji, to między innymi w ich gronie znaleźli się: Michael Roloff, Hilda Rosner i Ursule Molinaro.

Tak więc łatwe wyjaśnienie powodów miłości amerykańskiej młodzieży do Hessego brzmi następująco: jest prosty, bezpośredni i dobrze przetłumaczony, daje nadzieję i uczucia, których młodzi za nic nie znajdą gdzie indziej. Jakież to pogodne wyjaśnienie.

Ale można *znaleźć* mroczniejszy, głębszy powód, na który wskazuje fakt, przyznawany przez samą młodzież, że książką Hessego najważniejszą dla nich jest germański do szpiku kości, beznadziejnie anachroniczny knot pod tytułem „Steppen-wolf”(„Wilk stepowy”).

Studenci, uczestnicy sławnego Konfliktu Pokoleń, może się

zastanowią nad tym, że dwie główne postaci w „Wilku stepowym” to Johann Wolfgang von Goethe (1749-1832) i Wolfgang Amadeusz Mozart (1765-1791), które pojawiają się jako duchy w snach.

A oto przykład anachronicznego dialogu, z którego młodzież jakoś nie chce się śmiać:

* „Wilk stepowy” tłum. Józef Wittlin, PIW, Warszawa, 1996, s. 251.

** „Demian” tłum. Maria Kurecka, Wydawnictwo Głodnych Duchów, Warszawa 1990, s. 170.

Bohater, samotnik Harry Haller, podrywa dziewczynę w sali tanecznej, ona mówi:

- „Teraz pójdziemy oczyścić twoje spodnie i buty, tego im trzeba. A potem zatańczysz ze mną shimmy.”

A on odpowiada:

- „Nie umiem tańczyć ani shimmy, ani walca, ani polki, czy jak się tam te rzeczy nazywają.” *

Już sam tytuł „Wilk stepowy” ma w sobie czar. Widzę samotnego studenta pierwszego roku, wychowanego w dziurze zabitej dechami, który idzie na wspaniały uniwersytet, widzę, jak po raz pierwszy buszuje w wielkiej księgarni. Wychodzi z małą, papierową torbą zawierającą pierwszą poważną książkę, którą sobie w życiu kupił: Oto on! „Wilk stepowy”!

Ma schludne ubranie i niewiele pieniędzy, ale jest przygnębiony i podejrzliwie patrzy na kobiety. Kiedy czyta „Wilka stepowego” w swoim ponurym pokoju, tak daleko od domu i Matki, odkrywa, że ta książka jest

o mężczyźnie w średnim wieku, w ponurym pokoju, daleko od domu i Matki. Ten mężczyzna ma schludne ubranie i niewiele pieniędzy, ale jest przygnębiony i podejrzliwie patrzy na kobiety.

Ostatnio zapytałem młodego perkusistę, który porzucił studia na Uniwersytecie Iowa, wielbiciela „Wilka stepowego”, dlaczego, jego zdaniem, ta książka tak dobrze się sprzedaje. Podałem mu zdumiewające fakty: Bantam Books we wrześniu ubiegłego roku opublikowało wydanie tej powieści w serii po dolarze dwadzieścia pięć centów i w ciągu trzydziestu dni sprzedali trzysta sześćdziesiąt tysięcy egzemplarzy.

Perkusista powiedział, że większość studentów eksperymentuje z narkotykami i „Wilk stepowy” pasuje do ich doświadczeń.

- Myślałem, że najlepszą częścią brania narkotyków jest

* *Op. cit.*, s. 103-104.

to, że wszystko do niego pasuje, oczywiście poza policją - powiedziałem.

Perkusista przyznał mi rację.

Zasugerowałem mu, że w Ameryce aż roi się od ludzi, których słodka tęsknota za domem jest zaprawiona goryczą i „Wilk stepowy” jest najważniejszą książką o tęsknocie za domem.

To prawda, że postacie w „Wilku stepowym” od czasu do czasu zażywają narkotyki: aby przepędzić smutki biorą szczyptę laudanum (trynkury opium) albo odrobinę kokainy. Muzyk jazzowy daje bohaterowi żółtego papierosa, który wywołuje niesamowite sny. Ale tam się ani nie uwielbia, ani nie boi narkotyków. Są po prostu lekarstwami, którymi częstują się nawzajem przyjaciele. Nikt nie wpada w nałóg ani nikt nie

twierdzi, że są kluczem do czegoś ważnego.

Nie zauważyłem, by Hessego w innych książkach dręczył problem narkotyków. Bardziej przejmują się alkoholem. Wielu z jego świętych włóczęgów za bardzo kocha wino. Ale też coś z tym robią. Postanawiają trzymać się z daleka od tawern, chociaż tęsknią za bezkrytycznymi słuchaczami, których tam znajdowali.

Polityczne przekonania bohatera „Wilka stepowego” również współgrają z uczuciami młodzieży amerykańskiej: jest przeciw wojnie. Bohater nienawidzi producentów broni i fanatycznych patriotów. Nie analizuje ani chwali czy wini żadnego narodu, postaci politycznej czy wydarzenia historycznego. Brak tam odważnych czynów, wezwań do boju, nic, co pobudziłoby serce radykała do szybszego bicia.

Hesse szokuje i zachwyca młodzież amerykańską, biorąc ich w szaleńczą wyprawę po cudownym śnie: idą nie kończącymi się korytarzami, przez sale pełne luster, na bale kostiumowe, do pustych teatrów, gdzie pokazywane są groteskowe sztuki i filmy, albo do muru z tysiącem drzwi. W głębi ulicy raz pojawia się znak i znika na zawsze. Podejrzani nieznajomi udzielają bohaterowi dziwacznych informacji. I tak dalej.

Czarowana fantazja teatralna, w której Harry Heller bierze udział, dowodzi, że Hesse być może był jednym z najbardziej szaleńczo zabawnych ludzi swej epoki. Może tak cierpiał w trakcie pisania „Wilka stepowego”, że jego dusza znajdowała jedynie ulgę, nurzając się w komedii w stylu Charlie Chaplina. W fantastycznej opowieści pojawia się dwóch mężczyzn, którzy wspinają się na drzewo przy drodze. Mają ze sobą strzelbę. Ogłaszają wojnę przeciw wszystkim automobilom i strzelają

do każdego, który przejeżdża obok.

Śmiałem się. W dziełach Hermana Hessego nie ma zbyt wielu żartów. To dlatego, że powieści romantyczne są dobre tylko wtedy, gdy bohaterowie biorą życie bardzo poważnie.

„Wilk stepowy” jest wybrykiem w twórczości Hessego, bo zawiera elementy komediowe, a także dlatego, że autor zauważa technikę i jej serdecznie nienawidzi. Akcja większości jego opowieści dzieje się na wsiach, często przed pierwszą wojną światową. Żaden silnik spalinowy nie burzy ciszy. Nie dzwoni żaden telefon. Z radia nie płyną wiadomości. Wieści dostarczane są do rąk własnych albo szepczą je rzeki lub wiatr.

W „Wilku stepowym” nikt nie ma telefonu, chociaż akcja toczy się po wojnie w bogatym mieście, gdzie ludzie tańczą shimmy do wtóru jazzu. Bohater mimo swej obezwładniającej samotności nie ma radia w pokoju, ale pojawiają się odbiorniki, bo śni o słuchaniu audycji w towarzystwie Mozarta. Z Monachium transmitowany jest *Concerto Grosso F dur* Haendla. Bohater cudownie to opisuje: „Rzeczywiście ku memu nieopisanemu zdziwieniu i oburzeniu diabelski lejek blaszany począł wypluwać ową mieszaninę flegmy i przeżutej gumy. Posiadacze gramofonów i abonenci radia umówili się, że będą tę mieszaninę nazywać muzyką.” *

Powiedziałem, że Hesse był mniej więcej rówieśnikiem mojego ojca. Mój ojciec nie był Europejczykiem, ale część

* *Op. cit.*, s. 244-245.

wykształcenia odebrał w Strasburgu przed pierwszą wojną światową.

I kiedy go poznałem, a Hesse w tym okresie pisał „Wilka stepowego”, mój ojciec także przeklinał radia i filmy, śnił o Mozarcie i Goethem, a ręce go świerzbiły, żeby strzelać do samochodów.

Co ciekawe, słowa Hessego, człowieka, który mówił w imieniu pokolenia mojego ojca, docierają wyraźnie i głośno do moich córek i synów.

I znów to powtórzę: moje córki i synowie reagują na tęsknotę za domem autora „Wilka stepowego”. Nie kpię z tęsknoty za domem jako z głupiego uczucia, z którego się szybko wyrasta. Nigdy z niej nie wyrosłem, podobnie jak mój ojciec i Hesse. Tęsknię za tatusem i mamusią, i zawsze będę tęsknił, bo byli dla mnie tacy dobrzy. Od czasu do czasu znów chciałbym stać się dzieckiem.

I kim jestem, kiedy spędzam samotnie noc w motelu, na przykład pod Erie, Pensylwania? I kim jestem, gdy miotam się po pokoju, w telewizji znajduję tylko bzdury, kiedy w książce telefonicznej szukam nie istniejących przyjaciół i krewnych w Erie? Kim jestem, kiedy myślę o pójściu do baru motelowego w poszukiwaniu łatwych kontaktów, kiedy wyobrażam sobie, jak spotykam tam przyjacielską kobietę i obawiam się tych kobiet, które tam zapewne siedzą? Jestem wilkiem stepowym.

A tak na marginesie, to człowiek, który nazywa siebie wilkiem stepowym, jest najmniej krwiożerczą postacią w literaturze. Jest głupcem, kołtunem i tchórzem. Jest barankiem.

Kiedy Hesse był dzieckiem, jego niemieccy rodzice marzyli, że zostanie pastorem. Ale w wieku czternastu lat przeszedł poważny kryzys religijny. Uciekł z seminarium i wkrótce potem próbował popełnić

samobójstwo. W książce „Pod kołem”, jedynej znanej mi powieści Hessego, która ma beznadziejnie nieszczęśliwe zakończenie, portretuje siebie jako molestowanego ucznia, który upija się i tonie.

Kiedy miał dwadzieścia siedem lat wyszła jego pierwsza książka „Peter Camenzind”. Była niezwykle popularna w Niemczech. Hesse odnosił dalsze sukcesy w ojczyźnie, aż w 1912 roku, kiedy miał trzydzieści pięć lat, na zawsze wyjechał z Niemiec. W końcu zamieszkał w Szwajcarii.

Umknął sztywnemu militaryzmowi Kaisera Wilhelma, uniknął Hitlera, dwóch przegranych wojen, podziału Niemiec i całej reszty. I całej reszty. Kiedy jego byli współobywatele umierali i zabijali innych w okopach, Hermann Hesse przechodził terapię psychoanalityczną u Carla Junga w wielojęzycznym, spokojnym kraiku. Wydawał powieści romantyczne i wiersze, podróżował na Daleki Wschód. Był trzykrotnie żonaty.

W 1947 roku, w rok po śmierci Hitlera, otrzymał Nagrodę Goethego. W rok później otrzymał Nagrodę Nobla - nie jako Niemiec, ale Szwajcar. Nie reprezentował kultury niemieckiej powstającej z popiołów. Reprezentował kulturę, która nawiała z Niemiec tuż przed rozpoczęciem holocaustu.

Nawiać tuż przed początkiem holocaustu: to jest coś, nad czym też się zastanawia wielu młodych Amerykanów. Powodzenia. Ale ich problem polega na czym innym: po następnym holocaustie nie będzie można żyć na tej planecie, a Księżyc to nie Szwajcaria. Ani Wenus. Czy Mars. Na wszystkich pozostałych planetach Układu Słonecznego nie ma czym oddychać. Na innej planecie wilk stepowy nie tylko tęskniłby za domem.

Po prostu by umarł.

12

*ZA DUŻO SEKSU W INDIANAPOLIS **

D,

‘an Wakefield jest moim przyjacielem. Razem chodziliśmy do Shortridge High School w Indianapolis, a tak przy okazji, to uczniowie wydawali tam dziennik. Mamy teraz wspólnego wydawcę. Narobił mnóstwo hałasu wokół moich książek. Dlatego będę chwalił jego pierwszą powieść, nawet jeśli by była okropna. Ale nie dałbym słowa honoru, że jest dobra.

Słowo honoru: pan Wakefield od lat pisze wyważoną i głęboką literaturę faktu: „Island in the City” („Wyspa w mieście”), „Revolt in the South” („Przewrót na Południu”), „The Addict” („Nałogowiec”). „The Atlantic Monthly” poświęciło cały numer książce „Supernation at Peace and War” („Supernaród w wojnie i pokoju”). Słowo honoru: teraz jest także poważnym pisarzem.

„Going Ali the Way” opowiada, jakie to straszne, gdy cierpi się na nadmierny popęd seksualny w Indianapolis i dlaczego tak wielu takich ludzi stąd ucieka. Jest także o tym jak ubogie i mizerne jest życie pozbawione erotyzmu. Jedno wam gwarantuję, sam Wakefield napisawszy tę książkę, nie może wrócić do domu. Od tej chwili będzie musiał oglądać wyścig 500 mil w telewizji.

Ta książka jest bogatsza od „Kompleksu Portnoya”, porusza szersze problemy i ma bardziej skomplikowane postacie, ale * Recenzja „Going Ali the Way” („Pójście na całego”) Dana Wakefielda (przyp. aut.). problemy seksualne są takie same. Wakefield pokazuje nam dwóch jurnych mieszkańców stanu Indiana, i łatwo sobie wyobrazić ich spotkanie z Aleksandrem Portnoyem w hotelu sieci Howarda Johnsona w połowie drogi między Indianapolis i Nowym Jorkiem. Gdyby byli wobec siebie otwarci, toby przyznali, że są beznadziejnymi kochankami i z żalem zaakceptowali, że kobiety w żadnym mieście nie witają z otwartymi ramionami beznadziejnych kochanków.

Tak się składa, że „Going Ali the Way” jest mocno zakotwiczone w czasie, w zamierzchłej epoce, czyli pod koniec wojny koreańskiej. A teraz każda książka jest anachroniczna, ponieważ obecnie w Ameryce następny rok, czy nawet tydzień zupełnie nie przypominają poprzedniego.

Książka jest pełna donośnego śmiechu, ale podejrzewam, że w takim śmiechu nie kryje się wyłącznie radość. Odkryłem, że aby uzyskać donośny śmiech, trzeba lekki żart podszyć poważniejszą tragedią, której nie potrafiłaby znieść większość śmiertelników.

Na przykład po całej serii porażek seksualnych w stylu bulwarowej komedii, jeden z bohaterów Wakefielda lekko nacina sobie żyły żyłką, a „...strumyczki krwi spływały razem, tworząc małą kałużę”. To wcale nie jest śmieszne, a scena dalej robi się jeszcze mniej zabawna.

„Zaczął rozmazywać krew po twarzy i froncie podartej koszuli, jak Indianie malujący się przed ceremonią: bitwą, błogosławieństwem, śmiercią.”

Tak wygląda erotyczna komedia. W książce nikt nie umiera, ale wiele osób by chciało albo przynajmniej takie rozwiązanie im odpowiada.

Jak tego się należało spodziewać, Wakefield opisuje życie w samym sercu Ameryki okrutnie dokładnie i zachwycająco. Jego oteźpiali od seksu głupcy pędzą samochodami rodziców, niczym przez gigantyczny bilard w salonie gier automatycznych, obijając się i wpadając do barów ze striptizem, tawern, stacji benzynowych, sal do ćwiczenia gry w golfa i budek sprzedających hamburgery. Szukają burdeli, które jak się okazuje, zamknięto wiele lat temu.

Co jakiś czas wracają do domu do drobnomieszczańskich i nudnych rodziców, gderliwie odmawiając odpowiedzi, gdzie byli. Ich żoładki, w których kotłują się hamburgery i piwo, skręcają się jeszcze bardziej groteskowo, gdy rodzice chcą wiedzieć, kiedy wreszcie pójdą do dobrej pracy i osiadą z dobrymi żonami w dobrej dzielnicy Indianapolis.

W końcu następuje kolosalna kraksa samochodowa.

I właściwie ta powieść pełna szalonego seksu wcale nie jest powieścią erotyczną. W istocie opisuje społeczeństwo tak nędzne, że seks wydaje się młodzieży jedyną przygodą, zawierającą w sobie odrobinę magii. Kiedy seks okazuje się być tylko seksem, młodzi uciekają szukać tego samego gdzie indziej i bawią się w niebezpieczne gry z samochodami, żyletkami i całą resztą.

Ile lat mają protagoniści Wakefielda? Są mniej więcej w tym samym wieku, w jakim był Ernest Hemingway, gdy powrócił do serca Ameryki jako cichy i okaleczony, ale prawdziwy bohater pierwszej wojny światowej.

Miała dziwaczny worek na tytoń, zrobiony z łepka jakiegoś

zwierzątką futerkowego, który nosiła na szyi. Myślę, że musiała być wyższa, niż się zdawała na pierwszy rzut oka, bo była bardzo rozłożysta. Miała szeroką twarz i szerokie ramiona, włosy jasnobrązowe i kręcone.”

13

TAJEMNICZA MADAME BŁAWATSKA

Władame Helena Pietrowna Bławatska (1831-1891) była męską, agresywną rosyjską arystokratką zachowującą celibat, która po pięcioletnim pobycie stała się obywatelką Stanów Zjednoczonych w wieku czterdziestu siedmiu lat. Zrobiła to, żeby w Ameryce jej teorie na temat okultyzmu zostały lepiej przyjęte. Tak napisała do ciotki:

„Wpływ mojego pierwotnego przeznaczenia zmusił mnie to tej naturalizacji, ale ku memu niebotycznemu zdumieniu musiałam powtarzać publicznie za sędzią, niczym papuga, następującą tyradę: że na zawsze, a nawet po śmierci wyrzekam się jakiegokolwiek poddaństwa i posłuszeństwa wobec cara Rosji.”

Dziennikarz zapytał ją, czy jest mężatką.

- Mężatką? - odpowiedziała. - Nie, jestem wdową, błogosławioną wdową, i dziękuję za to Bogu! Nie będę sługą Boga samego, a co dopiero mężczyzny.

Oto jak wyglądała w oczach młodego wielbiciela w 1873 roku w New York City.

„...była niczym magnes, który ma dość siły, by przyciągnąć do siebie

każdego, kto tylko zdołał przyjść. Widziałem ją, jak co dzień siedziała tutaj zwijając papierosy i paląc bez przerwy.

Madame mieszkała w niebezpiecznej dzielnicy, bo była bez grosza. Często nie miała pieniędzy. Moim zdaniem, finanse ją nudziły. Pokazała swojemu gościowi nóż, który chowała w fałdach sukni i powiedziała, że trzyma go na mężczyznę, który by ją napastował.

Jej wyznawcy lubili nazywać ją H.P.B. Najbliżsi przyjaciele mówili też do niej per, Jack” i czasem tak właśnie podpisywała listy.

Jakaż to przedfreudowska opowieść.

Madame Bławatska nadal ma wielu zwolenników. Moim zdaniem, wniosła bardzo ważny element do rozwoju amerykańskiej inteligencji, bo zachęciła wielu jankesów, by podejrzewali, że wbrew opiniom naukowców, dziwaczne aspekty cudzoziemskich religii wcale nie muszą się okazać pułapką.

Twierdziła, że przed osiedleniem w USA, trzykrotnie objechała świat. Nowojorski „Daily Graphic” tak o niej napisał:

„Ta dama wiodła pełne przygód życie, odwiedziła większość krajów Wschodu, szukała dzieł sztuki u stóp piramid, poznała tajemnice świątyń hinduizmu i ze zbrojną strażą dotarła w głąb Afryki. Gdyby biograf kiedykolwiek spisał jej przejścia, dziwnych ludzi, których spotkała, niebezpieczeństwa na ziemi i morzu, których uniknęła, byłaby to jedna z najbardziej romantycznych opowieści.”

Znała tyle barwnych historii, co Marco Polo. Część z nich może była prawdziwa.

Jak się przekonałem, wielu Amerykanów ma blade pojęcie, że gdzieś

tam, w naszej przeszłości związanej z P.T. Barnumem, założycielem cyrku w dziewiętnastym wieku, istnieje jakaś Madame Bławska. Kiedy prosiłem, żeby zgadywali, kim była i co zrobiła, najczęściej określali ją jako największą szarlatanę wśród wielu szarlatanów, którzy udawali, że rozmawiają z umarłymi. Taka odpowiedź jest niesprawiedliwa i dowodzi ignorancji.

To właśnie Amerykanie, mimo jej oporów, strali się zrobić z Madame Bławskiej spirytystkę - a nie na odwrót. Przed jej przyjazdem, nasz kraj opętało szaleństwo na tle duchów. Obłęd zaczął się w 1848 roku w Hydeville, stan Nowy Jork, kiedy trzy siostry: Margaret, Catharine i Leah Fox wmówiły sąsiadom, że ich meble tańczą dzięki duchom. Meble przekazywały informacje. Jedno stuknięcie oznaczało nie, dwa może, a trzy tak.

Kiedy madame Bławska badała w 1875 roku amerykańskie media, odkryła, że siostry Fox zostały daleko w tyle. W Nowym Jorku była kobieta, która potrafiła skłonić duchy, by uniosły pianino i przechyliły na boki, a ona w trakcie tego grała na nim. W Bostonie była kobieta, która sprawiała, że, kiedy pojawiali się zmarli, z sufitu sypały się kwiaty i liście winorośli. I tak dalej.

Madame Bławska była zdumiona i przerażona, chociaż sceptyczna. Tak napisała:

„Przed marcem 1873 roku nigdy nie znałam ani nawet nie widziałam medium, ani nigdy wcześniej nie brałam udziału w seansie.”

W 1873 roku miała czterdzieści dwa lata i głowę pełną teorii okultystycznych, ale obawiała się kontaktu z umarłymi. Tak pisała dalej:

„W sierpniu tego roku po raz pierwszy w życiu dowiedziałam się, na

czym polega filozofia spirytualistów. Kiedy po raz pierwszy usłyszałam poważnie oświadczenie amerykańskich spirytystów na temat „Krainy Lata” i temu podobnych spraw z miejsca odrzuciłam całą rzecz. Znów to powtórzę: nigdy nie byłam spirytystką.” liam Eddy w Chittenden Township, Vermont; nie kryła sceptycyzmu, a oto jak ją załatwił William Eddy. Wezwał dla Madame Bławatskiej siedem widzialnych duchów, które tylko ona mogła znać i które mówiły w językach nigdy wcześniej ani później nie słyszanych w Vermont.

Zmaterializował chłopca z Gruzji, który mówił potocznym gruzińskim i na jej żądanie zagrał na gitarze „lezginkę”, taniec kaukaski. Zmaterializował Hassana Aghe, bogatego kupca z Tyf-lisu i Saffara Ali Beka, wodza kurdyjskiego, który towarzyszył Madame Bławatskiej w konnych wyprawach po Armenii. Zmaterializował dawnego, tatarskiego służącego, który powiedział do niej: „Tszok jasztzi”, co po tatarsku oznacza „Wszystko dobrze”.

Zmaterializował starą Rosjankę, która była niańką siostry H.P.B. i wielkiego Murzyna w dziwacznym stroju na głowie, czarownika, którego H.P.B. spotkała w Afryce.

Wreszcie zmaterializował starca z orderem św. Anny na szyi, zawieszonym na właściwej wstążce: czerwona tkanina morowa z dwoma czarnymi prążkami. Ostatnia zjawa to był jej wuj.

Wydarzyło się to w ciągu czternastu dni. Było to fantastyczne przedstawienie i nie podejmuję się wyjaśnić, jak dokonano tego oszustwa.

I jeszcze nie opisałem wielkiego finału. Odbył się następująco: pojawił się duch nazwiskiem George Dix i tak powiedział do Madame Bławatskiej:

- Madame, zaraz dam pani dowód na prawdziwość tych zjaw, który, jak sądzę, przekona nie tylko panią, ale także sceptyczny świat. Położę na pani dłoni klamrę od medalu, który pani bohaterski ojciec nosił za życia i z którym został pochowany w Rosji.

I duch właśnie to zrobił.

Ale wkrótce oszalała na farmie w Vermont. Posłuchajcie: badała stuprocentowo amerykańskie medium nazwiskiem Wil-

Dziś czterdzieści tysięcy Ziemiaków należy do Towarzystwa Teozoficznego założonego w 1875 roku przez Madame Bławatską i weterana wojny domowej, pułkownika Henry S. Olcott. (Od tego czasu towarzystwo przyciągnęło tak znanych ludzi, jak Thomas A. Edison, generał Abner Doubleday, uważany za wynalazcę baseballu, poeta W.B. Yeats, dziewiętnastowieczna reformatorka angielska dr Annie Besant, Motilal Nehru, ojciec premier Indii oraz holenderski malarz Pięć Mondrian.) Pięć tysięcy spośród tych dusz poszukujących żyje w USA. Ich kwatera główna mieści się w egzotycznym Wheaton, Illinois. Ciągłe wydają zdumiewające teksty Madame Bławatskiej. Może się okazać, że podobnie jak zmarły Fred Allen, H.P.B. właściwie napisała więcej, niż zdołałaby unieść.

Oto przykład jej pisarstwa, wzięty przypadkowo z „The Voice of Silence” („Głos milczenia”):

„Aby stać się ZNAJĄCYM PEŁNIĘ ISTOTY pierwszej musi ISTOTA stać się znającą. Aby osiągnąć wiedzę ISTOTY, pierwszej musisz poddać

swą istotę Nie-Istocie, Osobę Nie-Osobie i tak oto spoczniesz między skrzydłami WIELKIEGO PTAKA. O tak, słodki jest odpoczynek między jego skrzydłami, jego, który nie jest narodzony ani nie umiera, ale jest OM poprzez wieczność.”

Oto następny fragment z „The Secret Doctrine” („Nauka tajemna”), dzieła liczącego 1300 stron, które H.P.B. napisała nie zajrzawszy nawet raz do encyklopedii.

„To Księżyc odgrywa największą i najważniejszą rolę w tworzeniu samej Ziemi i także w zaludnianiu jej istotami ludzkimi. Monady Księżycowe albo Pitri, przodkowie ludzi, w rzeczywistości stają się samym człowiekiem. Oni są Monadami, które wchodzą w cykl ewolucji Globu A i które, krążąc po Łańcuchu planet, ewoluują ludzką formę, jak to powyżej zostało pokazane. Na początku ludzkiego etapu w Czwartym Obrocie na tym Globie, „wylewają” z siebie swe astralne bliźnięta z form podobnych do małpich, które to wyewoluowali w Trzecim Obrocie.”

I tak dalej.

Madame Bławatska czuła, że jej przeznaczeniem jest przynieść Ameryce taką oto mądrość rzeczy, których nauczyła się od mistrzów w Tybecie, Indiach, Egipcie i w głębi Afryki. Przybyła tutaj niczym okręt skarbów wylądowany jarzącymi się tajemnicami. I na krótko zdumiały ją sztuczki z duchami, jakimi zabawiali się nasi rodzimi, prymitywni czarownicy.

Towarzystwo Teozoficzne nie organizuje seansów, nie ma ceremonii czy świątyń. Wielbi światowe braterstwo, sugeruje, że z każdej religii

można się dużo nauczyć i spokojnie przypomina wszystkim, którzy chcą słuchać, jak wiele jest dziwnych i ważnych zdarzeń w życiu, których nauka nie może wyjaśnić. Towarzystwo z radością przyjmuje wyjaśnienia.

W sprawie Madame Bławatskiej jest zachwycająco szczerze. Chętnie publikuje jej „Personal Memoirs” („Osobiste Wspomnienia”), chociaż często okazuje się kobietą, która jest nie tylko prosta, ale czasem śmieszna i być może psychicznie chora. A tak przy okazji, to „Personal Memoirs” właściwie nie są wspomnieniami. Jest to pośmiertnie sporządzony zlepek listów, fragmentów dzienników i temu podobnych rzeczy pióra nie tylko Madame Bławatskiej, ale także jej przyjaciół i krewnych.

Towarzystwo nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy się na przykład dowiedzieli z „Personal Memoirs”, że Madame Bławatska w dzieciństwie: „często popadała w konwulsje, przerażona własnymi halucynacjami”. Wspomina o tym ciotka i tak pisze dalej:

„Była pewna, że śledzi ją coś, co nazywała »okropne, gapiące się oko«, niewidzialne dla innych... Czasem wybuchała śmiechem i wyjaśniała, że rozbawiły ją śmieszne sztuczki jej niewidzialnych towarzyszy.”

I tak wygląda to, co w dzisiejszych czasach nazywamy chorobami umysłowymi.

Jeśli mówimy o śmieszności, to pewnego ranka w New York City Madame Bławatska nie mogła zejść na śniadanie i czekała, aż ją ktoś wyratuje. Duchy przyszyły jej koszulę nocną do materaca.

Innym razem przystojny duch namalował olejny autoportret i nakazał H.P.B., aby ozdobiła ramę namalowanymi kwiatami, zadanie, którego

nienawidziła.

I tak dalej.

Potrafiła sprawić, że na żądanie z jej dłoni płynęły perfumy o zapachu drzewa sandałowego.

Ale mimo wszystko w tej kobiecie była wielkość. Tylko dzięki szaleńcom ten świat nie jest ponury i pusty. Okazała wielką odwagę odbywając samotnie dalekie podróże. Okazała wyjątkową mądrość, bo nauczyła się prawie tuzina języków, by się dowiedzieć, co głoszą miejscowi mędracy. Okazała wielką hojność, niczego nie chciała dla siebie i pragnęła wspanialszego i bardziej złożonego życia duchowego dla całej ludzkości.

Śmiertelnie bała się, że niewykszkolone, mało warte osoby, zabawiając się magią obudzą siły piekielne. Narobiła sobie wrogów w całej Ameryce mówiąc, że media podejmują szalone ryzyko korzystając z sił, których nie rozumieją.

Czasem pisała tak jasno i prosto jak w tym fragmencie:

„Tylko motywacja i jedynie ona sprawia, że jakiegokolwiek ćwiczenie siły staje się Magią czarną, złą albo białą, pomocną. Jeśli w działającym pozostaje choć odrobina egoizmu, nie może korzystać z sił duchowych. Jeżeli bowiem intencje nie są zupełnie czyste, to duchowe przemieni się w psychiczne, będzie działać na poziomie astralnym i może wywołać straszliwie konsekwencje. Osoby egoistyczne i mściwe mogą w równym stopniu, co ludzie altruistyczni i przebaczący, korzystać z siły i władz o pochodzeniu zwierzęcym, ale siły i władze duchowe poddają się tylko osobom o doskonale czystym sercu i to jest BOSKA MAGIA.”

(Tak przy okazji, to ten cytat pochodzi z książki H.P.B. „Studies in

Occultizm” („Rozprawy o okultyzmie”) i dziwaczne użycie dużych liter pochodzi od autorki.)

Tak więc, podobnie jak wielu świętych ludzi, z całych sił starała się być czysta. Sporządziła spis zasad czystości, których nauczyła się w Indiach i Tybecie. Jak się łatwo domyślać, znalazł się na niej zakaz kontaktów cielesnych, jedzenia mięsa, używania wina, alkoholu i opium, należało się wyrzec wszelkiej pychy życia i świata tego oraz dużo medytować.

Kiedy miała przed sobą tylko rok życia, wrogowie oskarżyli ją na łamach nowojorskiego „Sunu”, że kiedyś należała do półświatka i urodziła nieślubnego syna. Oskarżyła pismo o zniesławienie i „Sun” wycofał się ze wszystkiego. Była gotowa przedstawić świadectwo badania ginekologicznego, które zawierało stwierdzenie, że urodzenie dziecka czy stosunek z mężczyzną byłyby dla niej bolesne.

Prawda, była wdową, jako szesnastolatka została wydana za mąż za generała N.V. Bławatskiego, co najmniej trzy razy starszego od niej. Ale jej ciotka twierdzi, że uciekła od niego tuż po ślubie „nie dając mu cienia szansy nawet na to, by pomyślał, że jest jego żoną”. I tak zaczęły się jej podróże po świecie.

Oto notatka bez daty pochodząca z jej notatnika, który prowadziła od szesnastego roku życia:

„Kobieta znajduje szczęście w posiadaniu sił ponadnatural-nych. Miłość jest tylko nędznym marzeniem, koszmarnym snem.”

Może i tak.

Jeśli nawet tak jest, to jednak w gronie jej przyjaciół przeważali

mężczyźni. Powiedziała kiedyś: „Do dziewiątego roku życia moimi jedynymi niańkami byli artylerzyści i Kał-mucy-buddyści z regimentu mego ojca”. Jej matką była Helenę de Hanh, pisarka, przez jednego z krytyków nazwana „rosyjską Gerorge Sand” (Pisała pod pseudonimem Zenaida R. Nie czytałem jej książek.) To zdumiewająca matka, ale Madame Bławatska w „Personal Memoirs” nie okazuje zdumienia. Napisała o niej tylko tyle: „Moja Matka umarła w sześć miesięcy po urodzeniu mego brata, w 1840 lub 1839 roku, nie jestem pewna.” Co ciekawe, myliła się co do daty śmierci matki, która umarła w 1842. Tak więc w swej wyobraźni uczyniła żałośnie krótkie życie matki jeszcze krótszym.

Tak więc Madame Bławatska miała jedenaście lat w chwili śmierci matki, i jej młodsza siostra tak wspomina to wydarzenie:

„Kiedy nasza matka umierała... słusznie obawiała się o przyszłość swej najstarszej córki, i powiedziała: „No, cóż! Może to i lepiej, że umieram, przynajmniej nie zobaczę dopustów, które spadną na Helenę. Bo jednego jestem pewna, że nie będzie prowadziła życia zwykłej kobiety i wiele się nacierpi.”

Czy teraz, w 128 lat później, możemy spokojnie uznać, że matka i córka kiepsko się dogadywały? Może.

Jednego jednak można być pewnym: że Madame Bławatska, z powodu swego daru, od dzieciństwa nienawidziła tych wszystkich rzeczy, które większość kobiet podobno uwielbia. Na przykład gdy miała szesnaście lat i mieszkała z dziadkami, uznali oni, że powinna iść na bal.

Byli o tym mocno przekonani. Powiedzieli, że jeśli będą musieli, to zmuszą ją siłą. Wtedy, wedle jej własnych wspomnień, Madame Bławatska włożyła stopę do wrzątku. Chorowała potem przez sześć miesięcy.

To dopiero dziewczica!

Po tym, jak jej stopa wydobrzała, wyszła za mąż za starego generała Bławatskiego i trzy razy objechała ziemię, nauczywszy się najróżniejszych magicznych sztuczek: od zręczności w palcach do hipnozy i starożytnych trików, które mogą wywołać coś w rodzaju cudów.

Cuda.

Moim zdaniem, ponieważ z całej duszy pragnęła cudowności i ponieważ uważała świat za wyjątkowo cudowny, to potrafiła wmówić sobie i innym, że cuda są tam, gdzie je widzą. Nawet jako dziecko osierocone przez matkę, mieszkające w dziwacznym domu dziadków posiadała ten sam typ hipnotyzującego magnetyzmu, który w siedemdziesiąt lat później pozwolił Rasputinowi opanować rodzinę cara Rosji.

st '1

Na przykład jej siostra Wera pamięta, że jako dziecko potrafiła zdumiewająco żywo opowiadać historie. Tak napisała: „Śniła na głos i opowiadała nam swoje wizje... Były dla niej tak dotykalne, jak sama rzeczywistość!” Pewnego razu stała na łasze piasku i opisywała morze, rośliny i stwory, które żyły przed milionami lat. Wtem przeniosła sen do rzeczywistości. „Otacza nas woda! Jesteśmy pośród tajemnic podwodnego świata!”, zawołała.

Dalej jej siostra pisze:

„Mówiła z taką pewnością, i w jej głosie brzmiało tak prawdziwe zdumienie i przerażenie, a na jej dziecinnej twarzyczce malował się wyraz tak szalonej radości pomieszanej ze strachem, że kiedy... upadła na piasek, wołając na cały głos... wszyscy upadliśmy na twarz, krzycząc tak rozpaczliwie i z całkowitym przekonaniem, jakby morze się nad nami zamknęło i jakbyśmy zniknęli w jego odmętach.”

W wiele lat później, gdy nauczyła się nowych sztuczek, odwiedziła krewnych w Rosji. Brat sceptycznie odnosił się do historii a la Marco Polo i zażądał, by pokazała mu coś, czego nie będzie umiał wyjaśnić. Powiedziała mu, żeby podniósł mały stolik do szachów, co było łatwe. Potem wpatrywała się w stolik nie dotykając go i poleciła, by brat znów go podniósł. Równie dobrze mógłby starać się unieść Kreml. Inni bohaterowie przymierzali się do zaczarowanego stolika, nawet go przerąbali, ale nie oderwali nóg od podłogi.

Madame Bławatska obwieściła, że stolik znów jest lekki jak piórko i proszę, tak właśnie się stało.

Nazywam to hipnozą.

Oczywiście moja diagnoza to czysta zgadywanka. Wszystko to działo się dawno temu i nigdzie nie przeczytałem, by Madame Bławatska przyznała się, że jest hipnotyzerką. Zgaduję też twierdząc, że z zachwycającą sprawnością robiła sztuczki mechaniczne, miała wyjątkowo wyćwiczone dłonie, a czasem pomagała sobie odrobiną brzuchomówstwa.

Mnóstwo o niej czytałem i dalej będę o niej marzył i zakończę stwierdzeniem, że była nie tylko głęboko religijna, ale czasem żartowała,

zabawiając się nawet w łobuzerskie sztuczki. Zastanówmy się nad sposobem, w jaki otumaniała nowojorczyka, pana W.Q. Judge, używając małej chińskiej skrzynki z wieloma szufladkami, stojącej na sekretarzyku. „Była to zwykła skrzynka tego rodzaju”, napisał później pan Judge. Ha!

„Wielokrotnie najróżniejsze przedmioty znikwały z jednej z tych szufladek, natomiast pojawiały się w niej rzeczy, których wcześniej nie było w pokojach. Często widziałem, jak wkładała do szufladki drobne monety albo pierścionek czy amulet, zamykała ją, niemal natychmiast ją otwierała i przedmiot znikał.”

Ha!

Jak już pisałem, współzałożycielem Towarzystwa Teozoficz-nego obok Madame Bławatskiej był pułkownik Henry S. Olcott, w chwili ich spotkania, rozwiedziony prawnik. Pewnego dnia przyniósł jej materiał na ręczniki, który miał być pocięty i obrębiony. Kiedy Madame Bławatska je obrębiała, pułkownik zobaczył, że żartuje z kimś niewidzialnym, kopiąc go pod stołem. Zapytał, kim jest ta niewidzialna osoba, a ona odpowiedziała:

- Och, to tylko żywiołek, który ciągnie mnie za sukienkę i chce coś robić.

Wtedy pułkownik Olcott powiedział jej, żeby lepiej zleciła żywiołkowi obrębianie ręczników, ponieważ jest fatalną szwaczką; w ogóle nie nadawała się do zajęć domowych.

Włożyła więc nie obrębione ręczniki do przeszklonej szafki na książki i zamknęła drzwiczki na klucz. Potem rozmawiała z pułkownikiem przez dwadzieścia minut na temat okultyzmu, aż pod stołem rozległ się dźwięk przypominający pisk myszy. Pułkownik otworzył szafkę. I

zgadnijcie, co znalazł.

Wszystkie ręczniki zostały kiepsko obrębione.

A tak na marginesie, to pułkownik Olcott nie wiódł życia leniwego bogacza. Wybitny oficer w trakcie wojny domowej prowadził zajadłą kampanię przeciw łapówkarstwu w armii. Był także innowatorem w rolnictwie, z powodzeniem eksperymentował z nowymi gatunkami trzciny cukrowej odpornej na chłodniejszy klimat. W pewnym stopniu przypomina mi Henry A. Wallace'a. Wallace, przez jakiś czas minister rolnictwa w rządzie Franklina D. Roosevelta, również eksperymentował z nowymi gatunkami roślin i pod koniec życia stał się entuzjastą okultyzmu.

W pewnym momencie tak bardzo poważano rozsądek pułkownika Olcotta, że wybrano go do elitarnego, trzyosobowego komitetu, który miał odkryć, kto spiskował na życie Abrahama Lincolna.

Wreszcie był wybitnym prokuratorem, z którego pracami o prawie ubezpieczeniowym nadal liczą się specjaliści.

Mimo wszystko z całego serca wierzył, że jakaś dobra wróżka obrębiła te ręczniki.

Jeszcze zanim zjawiała się Madame Bławatska potrafił wierzyć w rzeczy z pozoru niemożliwe. Spotkali się w domu Eddy'ego w Vermont, gdzie dostała w prezencie klamrę swego zmarłego ojca.

Pułkownik Olcott napisał później:

„Najpierw rzuciła mi się w oczy szkarłatna koszula a la Garibaldi, którą miała na sobie Madame Bławatska, bo ostro kontrastowała z szarymi kolorami dominującymi dookoła. Miała gęste, jasne włosy, krótkie, nie sięgające ramion, które okalały jej głowę; były miękkie jak jedwab i kręcone, przypomniały wełnę owczą. Madame Bławatska skręciła

papierosa, więc podałem jej ognia, żeby znaleźć pretekst do rozpoczęcia rozmowy.”

Kismet.

Z miejsca zapalali ku sobie czystym uwielbieniem, nie zbrukanym seksem. Pułkownik był rozwodnikiem, który odchodził coraz dalej od prawa i szedł coraz głębiej w spirytyzm, a ona była wdową, która lubiła, gdy ją nazywano Jack. Oboje mieli po czterdzieści trzy lata.

Mieli wiele fascynujących przygód w trakcie sprawdzania amerykańskich mediów, których większość uznali za oszustów. Ich ulubionym sposobem straszenia szarlatanów było przyjście na seans organizowany przez oszusta i przywołanie prawdziwego ducha.

Nigdy nie mieszkali razem, ale rzadko spędzali czas oddzielnie: oto idylla rodem z czasów wiktoriańskich albo ery prezydenta Ulyssesa S. Granta, generała wojny domowej: pułkownik Olcott często dotrzymywał towarzystwa Madame Bławatskiej, kiedy pisała w nocy. I opowiada nam, że w trakcie pracy bez przerwy paliła, rolując papierosy jedną ręką. Równocześnie wielkie kule światła toczyły się po meblach albo przeskakiwały z miejsca na miejsca, a „od czasu do czasu w pokoju rozlegał się absolutnie cudowny dźwięk przypominający bicie dzwonów.”

Wierzę w to.

Madame Bławatska tak pisze:

Zostałam wysłana do Ameryki z misją. Tam znalazłam Olcotta zakochanego w duchach, który później równie pokochał Mistrzów. Polecono mi, bym mu powiedziała, że zjawiska spirytystyczne bez filozofii okultystycznej są niebezpieczne i sprowadzają na manowce. Udowodniłam

mu, że wszystkie media robią to dzięki duchom, a inni potrafią to czynić wedle własnej woli bez żadnych duchów; że każdy, kto potrafi w fizycznym ciele korzystać z właściwości swego ciała astralnego, może odczytywać myśli, powodować stukanie i wywoływać zjawiska fizyczne; a ja mam tę umiejętność od czwartego roku życia.

W 1875 roku założyli rozsądne i altruistyczne Towarzystwo Teozoficzne. Potem Bławatska i Olcott podróżowali na Daleki Wschód, gdzie pułkownik nauczył się robić kilka drobniejszych cudów. Madame Bławatska nigdy nie powróciła do Ameryki i Rosji. Ostatnie pięć lat życia spędziła z przyjaciółmi w Europie i Anglii, dużo pisząc i nie budząc wokół siebie większego rozgłosu.

Umarła w Londynie w 1891 roku. Była pierwszą Rosjanką, która otrzymała obywatelstwo amerykańskie.

■fr

Mam w ręku list od Joya Millssa, prezesa amerykańskiego oddziału Towarzystwa Teozoficznego, który tak do mnie pisze:

Wielka szkoda, że ciągle publikowane są fałszywe informacje dotyczące Madame Bławatskiej, także współcześni badacze mogą czasem nieświadomie powtarzać zarzuty i oskarżenia, które nie tylko są złośliwe, ale wręcz zupełnie nieprawdziwe. Dlatego chętnie pomagamy każdemu, kto chce poznać prawdę o życiu i nauczaniu tej wyjątkowej kobiety ubiegłego stulecia.

Mogę odpowiedzieć tylko tyle, że podszedłem do Madame Bławatskiej właściwie od wewnątrz, bo słuchałem jej i tych, którzy ją kochali. Mógłbym równie dobrze uznać, że jej życie było bulwarową komedią, z łatwością cytować jej licznych wrogów, który uważali ją za pozbawioną wdzięku oszustkę.

Jedno jest najzupełniej pewne: Madame Bławatska przyniosła Ameryce mądrość ze Wschodu, która była i jest nadal bardzo potrzebna. Jeśli zniekształciła lub wymyśliła część tej mądrości, nie zrobiła nic gorszego od innych nauczycieli. Widzę w niej tylko jeden rodzaj chciwości: pragnienie, by jej uwierzono.

Dlatego mówię: „Chwała Madame Bławatskiej i niech odpoczywa w pokoju”. Zachwyciło mnie i rozbawiło, że na krótko została Amerykanką. Oczywiście to biurokratyczny szczegół. Chociaż szalona, była wyjątkowo urocza: uważała, że wszystkie istoty ludzkie są jej braćmi i siostrami, a ona była obywatelką świata. Między innymi napisała:

Nie pozwólmy, by ostre słońce osuszyło choć jedną łzę bólu, Nim sami wytrzymemy ją z oczu cierpiącego.

Dzięki.

a starych mapach wykonanych przez pierwszych, białych i odkrywców zachodniego wybrzeża Afryki znajduje się „Królestwo Biafry”. Teraz nikt nie jest pewny, jakie było to królestwo, i jakie tam rządziły prawa, jak wyglądały ich dzieła sztuki, narzędzia. Nie przetrwały żadne opowieści o królach i królowych. i Jeżeli chodzi o „Republikę Biafry”, to wiemy o niej dużo. i Ten kraj ma więcej mieszkańców niż Irlandia i Norwegia razem wzięte. Trzydziestego maja 1967 roku ogłosiła swoją niezależność. Siedemnastego stycznia 1970 roku bezwarunkowo poddała się Nigerii, krajowi, od którego próbowała się odłączyć. Na świecie miała paru przyjaciół, a pośród aktywnych wrogów była Rosja i Wielka Brytania. Wrogowie z przyjemnością nazywali ją „plemieniem”. Ładne mi plemię.

Biafrańczycy w większości byli chrześcijanami, mówili melodyjnie po angielsku, a ich ekonomia opierała się na niezależnych, drobnych przedsiębiorstwach. Bezwartościowe

‘ biafrańskie pieniądze były w obiegu do samego końca. i Biafrański hymn narodowy został napisany do melodii

„Finlandia” Jana Sibeliusa. Równikowi Biafrańczycy podziwiali arktycznych Finów, ponieważ zdobyli i zachowali wolność wbrew okrutnym przeciwnościom losu.

Oczywiście Biafra utraciła wolność i na własne oczy oglądałem, jak przegrywała na wszystkich frontach. Nocą trzeciego stycznia wyleciałem z Gabonu z workami pszenicy, fasoli i mleka w proszku na pokładzie DC-6 z wygaszonymi światłami, wynajętego przez Caritas - katolicką organizację dobroczynną. W sześć nocy później znalazłem się na pokładzie pustego DC-4 wynajętego przez francuski Czerwony Krzyż. Był

to ostatni samolot, który opuścił Biafrę i do którego nie strzelano.

W trakcie pobytu widziałem sztukę wyrażającą duchową świadomość Biafrańczyków u samego kresu istnienia kraju. Akcja działa się w zamierzonych czasach w domu czarownika. Od wielu miesięcy nie pojawiał się Księżyc i zboże nie wzeszło. Brakowało jedzenia. Złożono ofiarę bogini płodności, ale ofiara nie została przyjęta. Bogini miała ku temu powód: ludzie nie byli dostatecznie odważni i wolni od egoizmu.

Przed rozpoczęciem sztuki na starej marimbie zagrano hymn narodowy. Możliwe, że podobne marimby rozbrzmiewały na dworze króla Biafry. Czarny mężczyzna grający na instrumencie był do połowy nagi i siedział po turecku na scenie. Był kompozytorem, a także zrobił doktorat na London School of Economics.

Ładny mi szczep.

Pojechałem do Biafry z pisarzem, moim starym przyjacielem, Vancem Bourjaily i panną Miriam Reik, która miała być naszym przewodnikiem. Była prezesem komitetu probiafrańskiego, który zawiózł wielu amerykańskich pisarzy do Biafry. Miała opłacić naszą podróż.

Spotkałem ją po raz pierwszy na Lotnisku Kennedy'ego. Mieliśmy razem polecieć do Paryża. Był Sylwester. Kupiłem jej coś do picia, chociaż protestowała i chciała zapłacić z funduszu komitetu. Dowiedziałem się, że zrobiła doktorat z literatury angielskiej, była także pianistką i córką Theodora Reika, słynnego psychoanalityka.

Jej ojciec zmarł trzy dni wcześniej.

Powiedziałem Miriam, jak jest mi przykro z powodu śmierci ojca i jak bardzo podobała mi się jego książka, którą przeczytałem: „Listening

with the Third Ear” („Słuchanie trzecim uchem”).

Był wrażliwym Żydem, który uciekł z Austrii, gdy to jeszcze było łatwe. Jego kolejna, znana książka nosi tytuł „Masochizm in Modern Man” („Masochizm u człowieka współczesnego”).

I kiedy ją poprosiłem, żeby mi opowiedziała więcej o Komitecie, z którego zaproszenia korzystam, wyznała mi prawdę: komitet to ona, składa się bowiem z jednej osoby. A tak przy okazji, to jest wysoka, ładną trzydziestodwuletnią kobietą. Powiedziała, że założyła własny komitet, bo aż ją mdliło, gdy patrzyła na inne amerykańskie organizacje pomagające Biafrze. Jej zdaniem, w tych organizacjach aż się roi od ludzi wykoślawionych przez poczucie winy, którego próbują się choć w części pozbyć za sprawą sentymentalnej dobroczynności. Ją samą zaś poruszyła wielkość Biafrańczyków, a nie ich budzące litość cierpienia.

Miała nadzieję, że od kogoś dostaną więcej broni, więcej tych najnowocześniejszych maszyn do zabijania.

Jedzie do Biafry po raz trzeci w ciągu roku. Niczego się nie boi. Ładny mi komitet.

Podziwiam Miriam, chociaż nie jestem jej wdzięczny za wyprawę, którą mi zafundowała. Zupełnie jakbym pojechał na darmową wycieczkę do Oświęcimia, kiedy piece jeszcze pracowały na całego. Teraz przez cały czas okropnie się czuję.

Będę najlepiej jak potrafię brał przykład z Miriam. Moim głównym celem nie będzie wzruszenie czytelników, by płakali krokodylimi łzami nad opowieścią o niewinnych, czarnych dzieciach, które marły jak muchy, o gwałtach, grabieżach, morderstwach i temu podobnych. W zamian

opowiem o godnym podziwu kraju, który istniał przez blisko trzy lata.

De mortuis nil nisi bonum. Zmarłych należy wspominać tylko dobrze.

Spytałem jednego Biafrańczyka, jak długo istniał jego kraj.

- Trzy Boże Narodzenia i trochę - odpowiedział.

Nie był głodnym dzieckiem. Był głodnym mężczyzną. Był żywym kościotrupem, ale chodził jak człowiek.

W Paryżu Miriam Reik i ja spotkaliśmy się z Vancem Bourjaily, polecieliśmy razem do Gabonu, a potem do Biafry. Można się tam było dostać samolotem i tylko nocą. Na siedzeniach w tyle kabiny zajęło miejsca zaledwie ośmiu pasażerów. Na pozostałe fotele rzucono worki z żywnością. Pochodziła z Ameryki.

Lecieliśmy nad wodą, widzieliśmy pod sobą rosyjskie trawlerzy. Rejestrowały każdy samolot lecący do Biafry. Rosjanie pomagali na wiele sposobów: dali Nigeryjczykom bombowce iljuszyn, MIG-i oraz ciężką artylerię. A Brytyczycy również dali Nigeryjczykom broń oraz doradców, a także czołgi, samochody opancerzone, karabiny maszynowe, moździerze oraz niewyczerpane zapasy amunicji.

Ameryka była neutralna.

Kiedy zbliżyliśmy się do jedyne go, czynnego lotniska w Biafrze, które było kawałkiem autostrady, zapaliły się światła. Światła przypomniały dwa rzędy robaczek świętojańskich. Jego położenie utrzymywano w tajemnicy.

Gdy koła samolotu dotknęły pasa, światła na lotnisku zgasły i pilot zapalił reflektory. Samolot zwolnił, zjechał z pasa, wyłączył reflektory i wszystko znów utonęło w atramentowej ciemności.

W tłumie otaczającym samolot znalazły się tylko dwie białe twarze. Jedna należała do zakonnika ze zgromadzenia Misjonarzy Ducha Świętego. Druga do lekarza z francuskiego Czerwonego Krzyża. Lekarz prowadził szpital dla dzieci cierpiących na kwashiorkor, żalosne dzieci pozbawione białka.

Ojciec.

Lekarz.

Kiedy to piszę, Nigeria aresztowała wszystkich zakonników ze zgromadzenia Misjonarzy Ducha Świętego, którzy do końca zostali ze swymi ludźmi w Biafrze. Księża głównie pochodzili z Irlandii. Byli powszechnie kochani. Tam, gdzie budowali kościół, także stawiali szkołę.

Dzieci i prości ludzie sądzili, że wszyscy biali są księżmi, dlatego często witali Vance'a czy mnie uśmiechem i mówili: „Witaj, ojczy”.

Ojcowie zostali deportowani. Popelnili przestępstwo: współczucie w czasie wojny.

Następnego ranka peugeotem z kierowcą zawiózł nas do szpitala tego Francuza. Już sama nazwa wioski brzmiała jak łkanie dziecka: Awo-Omama.

- Amerykanie może i mało wiedzą o samej Biafrze, ale dużo wiedzą o dzieciach - powiedziałem do wykształconego Biafrańczyka.

- Jesteśmy wdzięczni - odparł. - Ale wołałbym, żeby wiedzieli o nas trochę więcej. Myślą, że jesteśmy konającym narodem. Nic takiego. Jesteśmy energicznym, nowoczesnym krajem, który właśnie się rodzi! Mamy lekarzy. Mamy szpitale. Mamy rządowy program opieki zdrowotnej. Jeśli tyle u nas chorób, to dlatego, że nasi wrogowie użyli

wszelkich dyplomatycznych i militarnych środków w jednym tylko celu: byśmy umarli z głodu.

Jeśli zaś chodzi o kwashiorkor, to jest to rzadka choroba spowodowana brakiem białka. Łatwo ją było leczyć - aż do chwili blokady Biafry.

Najbardziej cierpią dzieci uchodźców wygnanych z domów, a potem zepchniętych z dróg w busz przez MIG-i i kolumny wojska. Biafrańczycy nie są ludźmi dżungli. To ludzie żyjący w wioskach: rolnicy, nauczyciele, lekarze, urzędnicy i kupcy. Nie mieli broni do polowań. W buszu żywili dzieci korzonkami i owocami, jakie udało im się znaleźć. W końcu najczęściej posiłki składały się z wody i powietrza.

Tak więc dzieci zapadały na kwashiorkor, która już teraz nie jest rzadką chorobą.

Włosy dziecka robią się czerwone. Skóra pęka jak na dojrzałym pomidorze. Następuje obrzęk odbytnicy. Ręce i nogi robią się cienkie jak patyczki do lodów.

Vance, Miriam i ja chodziliśmy między gromadami takich dzieci w Awo-Omama. Odkryliśmy, że jeśli pozwoliliśmy, by ręce wolno zwisały wzdłuż tułowia, dziecko chwyciło za palce: mieliśmy po pięćdziesiąt dzieci na każdej ręce. Palec obcego w cudowny sposób sprawiał, że maleństwo na chwilę przestawało płakać.

Nadleciał MIG, wystrzelił parę serii, tym razem nie trafił, chociaż szpital był już wielokrotnie atakowany. Nasz przewodnik uznał, że pilot był Egipcjaninem albo Niemcem z NRD.

Spytałem biafrańską pielęgniarkę, czego najbardziej potrzebuje szpital.

- Żywności - odparła.

Biafra miała swojego George'a Washingtona - na trzy Boże Narodzenia i trochę. To Odumegwu Ojukwu. Podobnie jak George Washington, generał Ojukwu był jednym z najbogatszych ludzi ze swego pokolenia. Skończył Sandhurst, brytyjski odpowiednik West Point.

Nasza trójka spędziła z nim godzinę. Na koniec uścisnął nam dłonie. Podziękował za przybycie.

- Jeśli pójdziemy naprzód, umrzemy - powiedział. - Jeśli się cofniemy, umrzemy. Dlatego idziemy naprzód.

Jest o dziesięć lat młodszy ode mnie i Vance'a. Moim zdaniem to absolutnie czarujący człowiek. Wielu ludzi teraz z niego drwi. Uważają, że powinien umrzeć ze swoimi żołnierzami.

Może tak.

Gdyby umarł, to byłby jeszcze jednym trupem pośród milionów.

W trakcie spotkania ten spokojny, zwalisty mężczyzna palił bez przerwy. Papierosy były warte fortunę w Biafrze. Miał na sobie panterkę, chociaż siedział w klimatyzowanym salonie na fotelu obitym aksamitem.

- Powiniennem was ostrzec, że jesteście pod ostrzałem ich artylerii - powiedział.

Charakteryzował się wiesielczym poczuciem humoru; wokoło wszystko się waliło, a on zachowywał spokojną pewność siebie i charyzmę. Miał świetne poczucie humoru.

Potem, gdy spotkaliśmy jego zastępcę, generała Philipa Effion-ga, okazało się, że również cechuje go wiesielcze poczucie humoru.

- Effiong słusznie jest jego zastępcą - powiedział Vance. - Po

generale, to najdowcipniejszy człowiek w Biafrze.

Dowcipy.

Miriam w pewnym momencie zdenerwowały moje wypowiedzi i rzuciła z naganą:

- Otwierasz usta tylko po to, by żartować.

Miała rację. Żartowanie było moją odpowiedzią na oglądane cierpienia, na które nic nie mogłem poradzić.

Ojukwu i Effiong żartowali na temat zbrodni, za którą Biafranczyzy byli karani tak straszliwie przez tak wiele krajów. Oto ich zbrodnia: próbowali sami stać się krajem.

- Nazywają nas kropką na mapie - powiedział generał Ojukwu. - I nikt do końca nie wie, gdzie to jest.

Wewnątrz tej kropki było siedmiuset prawników, pięciuset lekarzy, trzystu inżynierów, osiem milionów poetów, dwóch pierwszorzędnych pisarzy i Bóg jeden wie, kto jeszcze - około jednej trzeciej wszystkich czarnych intelektualistów w Afryce. Ładna mi kropka.

Ci intelektualiści rozproszyli się kiedyś po całej Nigerii, gdzie im zazdrozczono, linczowano ich i masakrowano. Dlatego powrócili do ojczyzny, do kropki.

A kropka teraz zniknęła. Hej, presto!

Kiedy spotkaliśmy się z generałem Ojukwu, jego żołnierze szli do walki z trzydziestoma pięcioma nabojami do strzelb. W magazynach nie było już zapasów. Od tygodni żyli na jednej filiżance gari dziennie. Oto przepis na gari: dodaj wodę do roztartych korzeni kasawy.

A teraz żołnierze nie mieli nawet gari.

General Ojukwu opisał nam typowy atak Nigeryjczyków.

- Przez dwadzieścia cztery godziny wałą z artylerii w jedno miejsce, potem wysyłają tam samochód opancerzony. Jeśli ktoś do niego strzeli, wycofuje się i znów zaczyna się ostrzał artyleryjski przez następną dobę. Kiedy idzie piechota, to przed nią wysyłają osłonę z uchodźców.

Zapytaliśmy go, co się dzieje z uchodźcami, którzy wpadli w ręce Nigeryjczyków. Nie potrafił żartować na ten temat. Powiedział ciężkim głosem, że mężczyźni, kobiety i dzieci dzieleni są na trzy grupy, które są oddzielnie wyprowadzane.

- Tak jak i wy, nie wiem, co się dzieje potem... - tu przerwał. Po chwili dokończył zdanie. - ...z mężczyznami, kobietami i dziećmi.

Otrzymaliśmy oddzielne pokoje z łazienkami w dawnej wyższej szkole pedagogicznej w Owerri, stolicy Biafry. Miasto zostało zdobyte przez Nigeryjczyków, a potem odbili je Biafranczycy, co było ich wielkim zwycięstwem w tej wojnie.

Zabrano nas do obozu wojskowego w pobliżu Owerri. Żołnierze nie mieli amunicji. W czasie pozorowanego ataku strzelcy wołali:

- Pif-paf!

A żołnierze pochyleni nad karabinami maszynowymi:

- Ta-ta-ta!

Oficer, który nas oprowadzał, również absolwent Sandhurst, tak powiedział:

- Wiecie, że nie byłoby tego całego zamieszania, gdyby nie ropa naftowa. - Mówił o wielkich pokładach ciągnących się pod naszymi stopami.

Zapytaliśmy go, do kogo należą i spodziewałem się, że gromko

oznajmi, że teraz są Biafrańczyków. Ale się pomyliłem.

- Nigdy jej nie nacjonalizowaliśmy - stwierdził. - Nadal należy do British Petroleum i Shella.

W jego głosie nie było goryczy. Nie spotkałem zgorzkniałego Biafrańczyka.

Myślę, że to generał Ojukwu podał nam podwód, dla którego Biafranczycy potrafili znieść tak wiele przez tak długi czas bez goryczy: wszyscy mają emocjonalną i duchową siłę, którą daje olbrzymia rodzina. Poprosiliśmy generała, by opowiedział nam o swojej rodzinie i odparł, że liczy trzy tysiące osób. Znał każdą z nich po imieniu i z widzenia, a także z reputacji.

Bardziej typowa biafrańska rodzina liczy paręset dusz. I nie ma domów dziecka ani domów starców czy państwowych organizacji charytatywnych - na początku wojny rząd nie organizował pomocy dla uchodźców. Rodziny zajmowały się swoimi członkami to zupełnie naturalne.

Rodziny były związane z ziemią. Nie znalazłbyś Biafrańczyka tak biednego, że nie miałby ogródka.

Urocze.

Rodziny spotykały się często - mężczyźni i kobiety razem - by głosować w jej sprawach. Gdy nadeszła wojna, nie było poboru do wojska. Rodziny zadecydowały, kto powinien się zaciągnąć.

W szczęśliwszych czasach rodziny głosowały, kto powinien iść na uniwersytet, co ma studiować i gdzie. A potem wszyscy składali się na ubranie, przejazd i chesne dla kandydata. Pierwszą osobą z tych okolic, której rodzina opłacała pełne studia, był lekarz; otrzymał dyplom w 1938

roku. Od tej chwili rozpoczęła się mania zdobywania wyższego wykształcenia wszelakiego typu.

Ta mania zapewne bardziej przyczyniła się do zguby Biafrańczyków niż złoża ropy naftowej. Kiedy Nigeria otrzymała niepodległość w 1960 roku, a składała się z dwóch kolonii brytyjskich i Biafra była jej częścią - Biafrańczycy dostali najlepsze stanowiska w przemyśle, administracji, szpitalach i szkołach, bo byli świetnie wykształceni.

Zostali za to znienawidzeni - to zupełnie naturalne.

W Owerri na początku było spokojnie. Dopiero po paru dniach zorientowaliśmy się, że nie tylko Owerri, ale cała Biafra niedługo upadnie. Już w dniu naszego przyjazdu pobliskie biura rządowe przygotowywały się do przeprowadzki. Nauczyłem się czegoś nowego: stolice mogą upaść w niemal zupełniej ciszy.

Nikt nas nie ostrzegł. Każdy z naszych rozmówców się uśmiechał. Najczęściej widzieliśmy uśmiech na twarzy dr. B.N. Unachukwu, szefa protokołu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Pomyślcie tylko o tym: Biafrze tak bardzo brakowało sojuszników, że w końcu szef protokołu nie miał nic lepszego do roboty, jak uwijać się wokół dwóch pisarzy i nauczycielki angielskiego.

Przygotowałem serię spotkań z ministrami, naukowcami i pedagogami. Co rano przysyłał samochód z kierowcą i przewodnikiem. Wreszcie do nas dotarło, że z każdym dniem jego uśmiech i uśmiechy innych stawały się coraz dziwniejsze.

Piątego dnia w Biafrze nie było dr. Unachukwu, kierowcy i przewodnika.

Czekaliśmy długo na werandzie. Opodał przechodził Chinua Achebe,

młody pisarz. Spytaliśmy, czy coś wie. Powiedział, że nie słucha już wiadomości. Nie uśmiechał się. Zdawał się słuchać melancholijnej i pięknej melodii dobiegającej z daleka.

Miałem jego książkę „Things Fali Apart” („Rzeczy się rozlatują”). Podpisał mi ją.

- Zaprosiłbym was do domu - powiedział - ale już go nie mamy.

Przejechała ciężarówka pełna sprzętów biurowych. Wszystkie ciężarówki miały na bokach wypisane imię. Ta się nazywała „Wolna w gniewie”.

- Muszą być jakieś wiadomości - nalegałem.

- Wiadomości? - powtórzył. Zamyślił się, po czym odezwał się z rozmarzeniem. - Właśnie znaleźli zbiorową mogiłę tuż za murem więzienia. - Wyjaśnił, że krążyły pogłoski o tym, jak Nigeryjczycy w trakcie okupacji Owerri zastrzelili wielu cywilów. Teraz odnaleziono ich groby.

- Groby - powiedział Chinua Achebe. Zupełnie go nie interesowały.

- Co teraz piszesz? - spytała Miriam.

- Piszę? - powtórzył. Było oczywiste, że nic nie pisze, tylko po prostu czeka na koniec. - Pieśń pogrzebową w ibo - odparł. Ibo to jego język ojczysty.

Podeszła do nas wyjątkowo śliczna dziewczyna, przedstawiła się jako Rosemary Egonsu Ezirim. Była zoologiem. Pracowała nad prowadzeniem hodowli ryb w strumieniach.

- Chwilowo zawieszono prace nad tym projektem - powiedziała - więc piszę wiersze.

- Wszystkie projekty zostały czasowo zawieszono - dodał Chinou - więc wszyscy piszemy wiersze.

Obok nas zatrzymał się Leonard Hali z brytyjskiego „Guar-diana”.

- Czy wiecie, że to, co się dzieje w Biafrze najbardziej przypomina los Żydów w getcie warszawskim? - spytał.

Miał rację. Żydzi w Warszawie rozumieli, że bez względu na to, co zrobią, i tak zostaną zabici, więc umarli walczyć.

Biafrańczycy powtarzali zewnętrznemu światu, że Nigeria chce ich zabić, ale na świecie to nie robiło wrażenia.

- Trudno dowieść ludobójstwa - powiedział Hali. - Jeśli jacyś Biafrańczycy ocaleją, to nie popełniono ludobójstwa. Jeśli wszyscy zginą, to kto wystąpi z oskarżeniem?

Podszedł do nas uchodźca i klepiąc się jedną ręką po brzuchu wyciągnął drugą w błagalnym geście. Przewrócił białkami oczu.

- *No chop* - powiedzieliśmy, co znaczyło „Nie ma jedzenia”. Tak się odpowiada żebrakom.

Potem zdrowa dziewczyna zaproponowała nam słoik miodu za trzy funty.

Jak już mówiłem, ekonomia do końca opierała się na małych, niezależnych przedsiębiorstwach.

Dzień płynął leniwie.

Zapytaliśmy Rosemary o okrągły, pomarańczowy znaczek, który miała przypięty. Po obrzeżu biegł napis: „Córki Biafry, obudźcie się! Do boju!” W środku był rysunek strzelby.

Rosemary wyjaśniła, że córki Biafry pomagają armii w najróżniejszy sposób, także zajmując się rannymi i prowadząc wojnę partyzancką.

- Kiedy możemy, idziemy na pierwszą linię frontu - powiedziała. - Przynosimy żołnierzom drobne prezenty. Jeśli nie odnosili sukcesów, ganimy ich, a oni obiecują poprawę. Mówimy im, że będą wiedzieli, kiedy zrobi się zupełnie źle, bo wtedy kobiety przyjdą do okopów walczyć. Kobiety są znacznie silniejsze i bardziej odważne niż mężczyźni. Możliwe.

- Chinua, co ci możemy przysłać, gdy wrócimy do domu? - spytał Vance.

- Książki - odparł Chinua.

- Rosemary, gdzie mieszkasz? - zapytałem.

- W bursie niedaleko stąd. Chcielibyście zobaczyć?

Poszliśmy z Vance, żeby rozprostować nogi. Po drodze zachwycaliśmy się betonowym kortem do saūasha zbudowanym bez wątpienia za kolonializmu. Pociski działek przeciwpancernych podziurawiły go jak ser szwajcarski. W drzwiach stała dziewczynka o czerwonych włosach. Wyglądała na śpiącą i mrużyła oczy przed światłem.

- Witaj, ojcie - powiedziała.

Chyba całe Owerri wyległo na spacer, ludzie szli gęsiego po obu stronach ulicy. Sznury mieszkańców chodziły w przeciwnych kierunkach i okręzały miasto. Większość szła bez celu. Byliśmy po prostu niespokojnym środkiem kropki na mapie nazwanej Biafra, a kropka nieustannie malała.

Minęliśmy rząd schludnych, parterowych domów. Mieszkali tutaj urzędnicy. Przed każdym z domów stał samochód: VW, opel, peugeot. Należały do mieszkańców. Nie zabrakło benzyny, bo Biafrańcy sprytnie zbudowali rafinerię w buszu. Nie wystarczało jednak

akumulatorów. Większość prywatnych samochodów zapalała na popych.

Przed jednym z domów stał opel kombi, cały załadowany pudełkami, a na dachu przymocowano łóżeczko i wózek dziecienny. Właściciel sprawdzał węzły na sznurach, a żona stała obok z niemowlęciem na ręku. Jechali na rodzinną wycieczkę donikąd.

Popchnęliśmy im samochód.

Żołnierz nam zasalutował i obdarzył olśniewającym uśmiechem.

- *Comment ca va!* - zapytał.

Uznał nas za Francuzów. I dlatego nas lubił. Francja po cichu podesłała trochę broni do Biafry. Podobnie Rodezja, RPA i, jak podejrzewam, Izrael.

- Przyjmiemy wszystko i od każdego - powiedział nam generał Ojukwu. - Bez względu na to, dlaczego nam dają. A co wy byście zrobili na naszym miejscu?

Rosemary mieszkała w pokoju dwanaście stóp na dwanaście razem z pięciorgiem młodszego rodzeństwa, które przyjechało ją odwiedzić na Boże Narodzenie. Rosemary i jej siedemnastoletnia siostra spały w łóżku, reszta rozlokowała się na matach na podłodze i wszyscy cholernie świetnie się bawili.

Było mnóstwo jedzenia. Na parapecie leżało około dwudziestu funtów słodkich ziemniaków. I ćwiartka oleju palmowego do ich smażenia.

Tak się składa, że olej palmowy był jednym z dwóch towarów, dla którego dawno temu biali skolonizowali te tereny. Drugi towar był znacznie cenniejszy od oleju palmowego. To niewolnicy.

Pomyślcie tylko: niewolnicy.

Zapytaliśmy siostrę Rosemary, jak długo zajmuje jej upięcie włosów i czy potrafi to zrobić bez pomocy. Z jej głowy sterczało chyba ze czternaście warkoczyków, a przedziałki między nimi tworzyły romby. Jej fryzura była wspaniale skomplikowana niczym rosyjskie jajko wielkanocne Faberge.

- Och nie, sama za nic bym sobie nie poradziła - odparła. Jej krewni czesali ją co rano. Wyjaśniła, że zajmuje im to godzinę.

Krewni.

Niewinne, śliczne kaczątko po raz pierwszy w wielkim mieście. Jej wieś jeszcze nie została najechna. Jej wielka, kochająca się rodzina jeszcze nie rozpierzchła się na cztery wiatry. Tam był pokój i dobrobyt.

- Chyba nikt w Biafrze nie ma większego szczęścia od nas - powiedziała.

Siostra Rosemary jeszcze miała krągłą figurę nastolatki.

A teraz, kiedy to piszę, usłyszałem przez radio, że armia nigeryjska po wkroczeniu dokonała wielu gwałtów, a pewną opierającą się kobietę oblano benzyną i podpalono.

Tylko raz zapłakałem nad Biafrą. W trzy dni po powrocie do domu, o drugiej nad ranem. Przez półtorej minuty wydawałem groteskowe dźwięki przypominające szczekanie i to było wszystko.

Miriam mi mówi, że jeszcze nie płakała. Twarda z niej sztuka.

Vance płakał przynajmniej raz, kiedy jeszcze byliśmy w Biafrze. Gdy małe dzieci chwyciły go za palce i przestały płakać, Vance zalał się łzami.

W bursie Rosemary umieszczono rannych żołnierzy. Wychodząc z jej pokoju potknąłem się na progu, ranny żołnierz leżący na korytarzu powiedział rażno:

- Przepraszam, *sah*

Tą formę grzecznościową słyszałem wyłącznie w Biafrze. Kiedy zrobiłem coś niezgrabnie, albo nieporadnie, Biafrańczyk zawsze mówił: „Przepraszam, *sah*” Było mu rzeczywiście przykro. Stał po mojej stronie przeciw światu najeżonemu pułapkami.

Vance wyszedł na korytarz i upuścił osłonę obiektywu aparatu fotograficznego.

- Przepraszam, *sahl* - znów powiedział żołnierz.

Spytaliśmy go, czy na froncie było okropnie.

- Tak, *sah* - odparł. - Ale przypominałeś sobie, że jesteś odważnym żołnierzem biafrańskim i zostawałeś.

Tego wieczoru dr Ifegwu Eke, minister oświaty, i jego żona wydawali kolację na naszą cześć. Pobrali się cztery dni temu. On zrobił doktorat na Harvardzie. Ona na uniwersytecie w Kolumbii. Przyszło pięcioro gości. Wszyscy mieli doktoraty.

Spotkanie odbywało się w parterowym domu. Zasłony zaciągnięte. W pokoju stał nowoczesny, duński regał, na którym umieszczono prymitywne rzeźby afrykańskie. Ze stereofonicznego fonografu wielkości szafy płynęły utwory grane przez orkiestrę Mantovaniego. Pamiętam tytuł jednej z ckliwych melodii: „Urodził się wolny”.

Podano wytworne kanapeczki. Sączono brandy dla rozluźnienia języków. Pośród dań na szwedzkim stole znalazło się mięso z małej antylopy. Było okropnie, podobnie jak bywa okropnie na innych przyjęciach: każdy z gości mówił o wszystkim, byle nie o tym, co mu rzeczywiście leżało na sercu.

Po mojej prawej stronie siedział dr. S.J.S. Cooney, który zrobił

dyplom w Oksfordzie i teraz zarządzał prowincją Opobo. Był wykończony, miał zaczerwienione oczy. Prowincja Opobo parę miesięcy temu wpadła w ręce Nigeryjczyków.

Inni goście miło gawędzili, więc grzebałem w mózgu szukając tematu, na który mógłbym pogwarzyć z dr. Cookeyem. Ale do głowy przychodziła mi tylko okropna rzeczywistość. Na przykład miałem ochotę go zapytać, czy możliwe, że tak wielu Biafrań-czyków zginęło z powodu arogancji miejscowych intelektualistów? Aż mnie świerzbiał język, by spytać, czy okazałem się głupi, bo uległem czarowi generała Ojukwu. A może jest kolejnym wielkim wodzem, który nigdy się nie podda i kiedy jego ludzie umierają dla niego, staje się coraz bardziej święty i świetlany?

Więc zmieniłem się w beton. Na resztę wieczoru stałem się betonem, podobnie jak i dr Cookey.

Po przyjęciu poszliśmy z Vance do pokoju Miriam na drinka. Tej nocy wysiadły generatory spalinowe w Owerri, więc zapaliliśmy świeczkę.

Miriam zrobiła uwagę na temat mojego zachowania w trakcie przyjęcia.

- Przykro mi, ale nie przyjechałem do Biafry na wytworne kanapeczki - powiedziałem.

Co jedliśmy w Biafrze? Jako goście rządu dostawaliśmy mięso, słodkie ziemniaki, zupy i owoce. To było żenujące. Ile razy mówiliśmy wygłodniałemu żebrakowi *No chop*, to nie była właściwie prawda. Mieliliśmy mnóstwo *chop*, ale w żołądkach.

Tej nocy ktoś zapukał do drzwi pokoju Miriam. Weszło trzech mężczyzn. Byliśmy zdumieni. Zjawił się generał Philip Effiong, drugi pod względem poczucia humoru człowiek w Biafrze. U boku miał

dygoczącego adiutanta, który salutował mu dziesięć razy na minutę, chociaż generał błagał go, by tego nie robił. Trzecim okazał się uroczy, elegancko ubrany cywil w białych spodniach, sandałach i purpurowym dashiki - Mikę Ikenze, sekretarz prasowy generała Ojukwu.

Młody generał zachowywał się hałaśliwie, był złośliwy i zawadiacki - widać uderzyły mu do głowy fatalne wieści z frontu. Dlaczego przyszedł się z nami spotkać? Moim zdaniem nie mógł powiedzieć rodakom, jak źle wygląda sytuacja, a musiał o tym z kimś porozmawiać. Byliśmy jedynymi cudzoziemcami w okolicy.

Mówił przez trzy godziny. Nigeryjczycy przełamali wszelki opór. Szybko posuwają się do przodu rozcinając kropkę-Biafrę na tuziny kropeczek. W niektórych kropeczkach w buszu ukryły się setki tysięcy Biafrańczyków, którzy nic nie jedli od dwóch tygodni.

Co się stało z odważnymi biafrańskimi żołnierzami? Słaniali się z głodu. Podali ofiarami szoku po nalotach: wyszli z ukryć i włóczyli się bez celu.

Generał Effiong wyrzucił ręce w górę.

- To koniec! - zawołał i zaśmiał się upiornym, łamiącym serce śmiechem. - Jeśli Biafra ma się stać maleńkim przypisem w księdze historii ludzkości, to niech ten przypis brzmi następująco: „Próbowali dać światu pierwszy, nowoczesny rząd afrykański. Ponieśli porażkę”. Zdaniem reszty świata Nigeria jest bez skazy - ciągnął generał. - Obiecuję wam: Nigeria tak gorzko rozczaruje świat, że przeminie jedno pokolenie, nim świat dojdzie do siebie po tym szoku.

Rzecz jasna się mylił. Światem równie trudno wstrząsnąć, jak samouszczelniającym się zbiornikiem gazu.

Dopiero następnego dnia usłyszeliśmy karabiny. Dokładnie o piątej na południu rozległy się grzmoty. Ale to człowiek był ich sprawcą. W pobliżu nie padały żadne pociski.

Ptaki zamilkły. Po pięciu minutach znów się rozszczebiały.

Biura rządu opustoszały. Podobnie i parterowe domy. Czekaliśmy na dr. Unachukwu, żeby zabrał nas na lotnisko Uli, jedyną drogę ucieczki. Zwykli ludzie musieli zostać do końca: kupując, sprzedając i żebrząc oraz czesząc sobie nawzajem włosy.

Oni także zamilkli, słysząc karabiny. Z werand widzieliśmy wiele osób. Nie wrócili do rozmów. Zebrali dobytek i włożyli go na głowy. Bez słowa wyszli z Owerri, byle dalej od strzałów.

Dr. Unachukwu, nasz oficjalny gospodarz, ciągle się nie zjawiał. W Owerri zrobiło się dziwnie. Zostaliśmy sami. Nie usłyszeliśmy kolejnych wystrzałów. Mądrym wystarczyło to, co już usłyszeli.

Generatory nadal pracowały. To była kolejna rzecz, której nauczyłem się o miastach upadających w milczeniu: żeby na dłużej oszukać wroga, zostaw zapalone światła.

Zjawił się dr Unachukwu. Rwał się do ucieczki, ale ciągle się uśmiechał. Siedział za kierownicą własnego mercedesa. Tył był zapchany pudłami i walizkami. Na stosie bagaży leżał jego ośmioletni syn.

15

*PRZEMÓWIENIE DO ABSOLWENTÓW
BENNINGTON COLLEGE,
WYGŁOSZONE W 1970 ROKU*

Napisałem to wszystko szybko. Odkryłem, że złamałem obietnicę, by mówić raczej o wielkości, niż o budzącym litość cierpieniu Biafrańczyków. Byłem w ciężkiej żałobie po dzieciach. Powiedziałem o kobiecie oblanej benzyną.

Jeśli zaś chodzi o wielkość narodu, to zapewne prawda, że wszystkie narody w chwili śmierci są wielkie, a nawet święte.

Biafrańczycy nigdy wcześniej nie walczyli. Tym razem bili się dobrze. Nigdy więcej nie będą tego robić.

Już nigdy nie zagrają „Finlandii” na starej marimbie.

Pokój.

Moi sąsiedzi pytają mnie, co mogą jeszcze teraz zrobić dla Biafry albo co powinni byli zrobić wcześniej.

Tak im odpowiadam:

- Nic. To była i jest wewnętrzna sprawa Nigerii, nad którą możecie najwyżej wyrazić ubolewanie.

Niektórzy się zastanawiają, czy żeby nie zostać w tyle za modą, powinni teraz znienawidzić Nigeryjczyków. Mówię im:

- Nie.

M.

Lam nadzieję, że będziecie bardzo szczęśliwi jako członkowie amerykańskiej klasy ludzi wykształconych. Ja jestem ciągle odrzucany.

Podczas niedawnego Dnia Ziemi w Nowym Jorku wspomniałem, jak rzadko zapraszają całkowitego pesymistę, by przemawiał wiosną. Przepowiadałem wtedy, że wszystko pójdzie na gorsze i tak się też stało.

Moim zdaniem kłopot polega na tym, że większość rządzących nami

ludzi, tych, którzy mają nasze pieniądze i władzę, to albo prawnicy, albo wojskowi. Prawnicy chcą gadaniem rozwiązać nasze problemy. Wojskowi chcą, żebyśmy znaleźli winnych i palnęli im kulkę w łeb. To nie są najlepsze rozwiązania, szczególnie gdy chodzi o usuwanie odpadów i kontrolę urodzin.

Domagam się, by zarząd Bennington College założył na jego terenie oddział Korpusu Szkolenia Oficerów Rezerwy. Ponieważ wojskowi mają takie mnóstwo naszych pieniędzy, to koniecznie musimy się więcej o nich dowiedzieć. Wielkim błędem jest usuwanie ich z miasteczek uniwersyteckich i trzymanie w gettach w rodzaju Fort Benning czy Fort Bragg. Niech dumnie wypełniają swe obowiązki pośród wykształconych ludzi.

Kiedy byłem na Uniwersytecie Cornell, najbardziej intelektualnie pobudzały mnie zajęcia w KSOR - ćwiczenia w używaniu broni, musztra, a zwłaszcza sposób odnoszenia się oficerów. Dzięki przeszkoleniu, jakie otrzymałem w Cornell, pod koniec drugiej wojny światowej awansowałem do stopnia kaprała. Jak wiecie, po wojnie zrobiłem fortunę jako pacyfista.

Powinniście mieć tutaj nie tylko wojskowych, ale także broń, zwłaszcza tę, która służy do kontrolowania tłumów, jak karabiny maszynowe i czołgi. Młodzi ludzie chętnie tworzą tłum. Powinni więc jedno zrobić dla siebie: zrozumieć, z jaką łatwością karabiny maszynowe i czołgi potrafią zapanować nad tłumem.

Oto podstawowa zasada tycząca czołgów, którą musicie znać: tylko jeden człowiek zdołał pokonać czołg, był to John Wayne i na dodatek siedział w czołgu.

A teraz słówko o karabinach maszynowych: działają podobnie jak

węże ogrodowe, tylko że rozpylają śmierć. Zbliżając się do nich trzeba zachować ostrożność.

Karabiny maszynowe i czołgi uczą nas wszystkich jednego: wpasuj się w układ.

Czy jestem naprawdę takim wielkim pesymistą? Trzy lata temu wykładałem na Uniwersytecie Iowa. Miałem setki studentów. Jeśli się orientuję, żaden z moich byłych uczniów nie uznał za właściwe postarać się o potomstwo. Wcześniej tak zaprzestano powszechnie reprodukcji w Tasmanii około 1800 roku. Tasmańczycy przestali płodzić dzieci, kochać się i tak dalej, gdy biali kolonizatorzy, kryminaliści angielscy, polowali na nich dla sportu.

W czasie dzieciństwa w Indianapolis byłem optymistą. Ci z was, którzy widzieli Indianapolis, rozumieją, że niełatwo być tam optymistą. W ciągu każdego roku najpierw odbywał się wyścig na pięćset mil, potem trzysta sześćdziesiąt cztery dni spędzano na grze w minigolfa i znów rozgrywał się wyścig.

Mój brat Bernard, o dziewięć lat ode mnie starszy, był na dobrej drodze, by stać się poważnym naukowcem. Odkrył, że dzięki cząsteczkom jodku srebrnego pewne rodzaje chmur opadają w formie deszczu lub śniegu. Pod jego wpływem przez jakiś czas bardzo się entuzjazmowałem nauką. Myślałem, że naukowcy poznają zasady działania wszystkiego i praca stanie się lżejsza. Byłem absolutnie przekonany, że nim skończę dwadzieścia jeden lat, jakiś uczonec, może mój brat, zrobi Bogu Wszechmogącemu kolorowe zdjęcie i sprzeda je do pisma „Popular Mechanics”.

Prawda naukowa miała nas uczynić absolutnie szczęśliwymi, a życie

wygodnym.

Kiedy miałem dwadzieścia jeden lat zrzuciliśmy prawdę naukową na Hiroszimę. Wszyscy zostali zabici. Właśnie wróciłem z Drezna, gdzie byłem więźniem wojennym i patrzyłem, jak miasto spłonęło do fundamentów. A świat właśnie się dowiedział, jak potworne były niemieckie obozy koncentracyjne. Więc pogadałem od serca ze sobą.

- Hej, kapralu Vonnegut - powiedziałem do siebie. - Może się myliłeś będąc optymistą. Może pesymizm jest właściwszą postawą.

Od tego czasu jestem konsekwentnie pesymistą z paroma wyjątkami. Oczywiście, żeby namówić moją żonę do przyjęcia oświadczyn, musiałem jej obiecać świetlaną przyszłość. Potem znów musiałem jej kłamać na temat przyszłości za każdym razem, kiedy uznałem, że powinna mieć dziecko. I za każdym razem, gdy groziła, że ode mnie odejdzie, bo jestem zbyt wielkim pesymistą.

Wiele razy uratowałem nasze małżeństwo wołając:

- Poczekaj! Widzę światło w głębi tunelu!

Szkoda, że dziś nie potrafię wnieść światła do waszych tuneli. Moja żona błagała mnie, żebym je przyniósł, ale nie ma takiego światła. Wszystko potoczy się niewyobrażalnie źle i nigdy się nie polepszy. Jeślibym wam teraz skłamał, od razu byście to wyczuli i to stałoby się kolejnym powodem do przygnębienia. A i bez tego mamy dość powodów do przygnębienia.

Chciałbym nadać motto waszemu rocznikowi i całemu pokoleniu. Pochodzi z mojej ulubionej sztuki szekspirowskiej, „Król Henryk IV” część trzecia. Jak pamiętacie, w tracie pierwszej sceny drugiego aktu Edward, hrabia March, który potem zostanie królem Edwardem IV,

wchodzi z Ryszardem, który potem zostanie księciem Gloucester. Są synami księcia York. Przybywają na czele wojsk na równinę w pobliżu Mortimer's Cross w hrabstwie Hereford i otrzymują wiadomość, że ich ojcu odcięto głowę. Oto właśnie motto, które chcę wam dać, a pochodzi z kwestii Ryszarda: „Płacz zmniejsza ludzkich boleści głębiej”. *

Powtórzę: „Płacz zmniejsza ludzkich boleści głębiej.”

W tej samej sztuce, która dała mi tak wiele pociechy, znajdujemy ten werset: „Najlichszy robak mścić się chce, deptany”. ** Nie muszę wam mówić, że wypowiada ją lord Clifford w scenie drugiej aktu drugiego. Moim zdaniem to właśnie oznacza być optymistą, ale spieszę dodać, że można tak nadepnąć na robaka, że gdy już podniesiecie nogę, absolutnie nie będzie się mógł zemścić.

Wiele razy robiłem to doświadczenie dla moich dzieci. Już dorosły. I bez pomocy tatusia mogą deptać po robakach. Ale przez chwilę udawajmy, że robaki mogą i rzeczywiście się obracają. I zadajmy sobie pytanie: „Jaki byłby dobry, nowy kierunek zwrotu dla robaka cywilizacji?”

No cóż, jeśli może, powinien iść do góry. W górę lepiej niż w dół, tak się przynajmniej powszechnie uważa. I bylibyśmy znacznie bezpieczniejsi, gdyby rząd zabrał pieniądze naukowcom i dał je astrologom oraz chiromantom. Kiedyś myślałem, że nauka nas ocali i rzeczywiście, próbowała to zrobić. Ale nie przetrwamy kolejnego potężnego wybuchu, bez względu na to, czy będzie za, czy przeciw demokracji. Przesady są naszą ostatnią nadzieją. Jeśli chcecie stać się przyjaciółmi cywilizacji,

* „Król Henryk IV”, część trzecia, akt drugi, scena pierwsza,

przełożył Leon Ulrich.

** „Król Henryk IV, część trzecia, akt drugi, scena druga, przełożył Leon Ulrich. W dosłownym przekładzie ten werset brzmi: „Najlichszy robak obróci się przeciw depczącemu”. zostańcie wrogami prawdy i entuzjastami niewinnych bania-luków.

Wiem, że wydano miliony dolarów, by wykształcić tak wspaniałą grupę absolwentów, a wasi nauczyciele przede wszystkim mieli nadzieję, że gdy skończą was uczyć, nie będziecie już przesądni. Przykro mi, ale muszę im popsuć szyki. Błagam was: uwierzcie w najbardziej idiotyczny zabobon: że ludzkość jest centrum wszechświata i spełnia, bądź niweczy, największe marzenia Boga Wszechmogącego.

Jeśli potraficie w to uwierzyć i sprawicie, że inni pójdą w wasze ślady, to może jest dla nas nadzieja. Istoty ludzkie może przestaną traktować się nawzajem jak śmiecie, może zaczną się cenić i chronić. Wtedy chyba znów będzie można płodzić dzieci.

Sądząc po moim przykładzie, to wielu z was i tak będzie miało dzieci. Cytując poetę Schillera: „Przeciw głupocie i bogowie walczą na próżno”.

A jeśli chodzi o astrologię i chiromancję, to są dobre, bo dzięki nim człowiek nabiera chęci do życia i tryska entuzjazmem. Czynią z ludzi komunistów w najlepszym tego słowa znaczeniu, bo przecież każdy się urodził i ma dłoń.

Weźmy z pozoru szarego człowieczka urodzonego trzeciego sierpnia. To Lew. Jest dumny, hojny, ufny, energetyczny, władczy i wpływowy! Wszystkie Lwy są takie! Rządzi nim Słońce! Jego kamienie to rubiny i brylanty! Kolor - pomarańczowy! Metal - złoto! I to ma być nikt?

Na partnera w interesach, żonę lub przyjaciela, pasuje do niego Strzelec lub Baran. Czy są tu jakieś Strzelce lub Barany? Uwaga! Oto nadchodzi przeznaczenie!

Czy ten człowiek wyglądający na samotnego jest rzeczywiście sam jak palec? Skądże znowu! Pod tym samym znakiem zodiaku urodzili się: T.E. Lawrence, Herbert Hoover Alfred Hitchcock, Dorothy Parker, Jacqueline Onassis, Henry Ford, księżniczka Małgorzata i George Bernard Shaw! Słyszeliście o nich wszyscy.

Patrzcie, jak się rumieni ze szczęścia. Poproś, niech ci pokaże swe zdumiewające dłonie. Jakąż ma fantastyczną linię serca! Dziewczęta, strzeżcie się. Czy kiedykolwiek widzieliście takie wzgórze księżycy? Rany! To dopiero ktoś!

I tak dotarliśmy do sztuki, która, podobnie jak astrologia, dzięki oszustwu chce sprawić, by istoty ludzkie wyglądały na wspanialsze, niż są. Tancerze pokazują nam istoty ludzkie poruszające się znacznie wdzięczniej, niż ludzie rzeczywiście się ruszają. Filmy, książki i teatr pokazują nam ludzi rozmawiających znacznie ciekawiej, niż rzeczywiście mówią i w ich losach byle jakie przeżycie wydaje się niesłychanie istotne. Śpiewacy i muzycy pokazują nam istoty ludzkie wydające dźwięki znacznie piękniejsze, niż rzeczywiście wydają. Architekci dają nam świątynie, w których z pewnością dzieje się coś cudownego. A tak naprawdę tam się prawie nic nie dzieje. I tak dalej.

Sztuka stawia człowieka w centrum wszechświata, bez względu na to, czy tam rzeczywiście przynależy, czy też nie. Z drugiej zaś strony wiedza wojskowa traktuje człowieka, jego dzieci i miasta jak śmiecie. Nauka na usługach wojska ma zapewne rację, twierdząc, że człowiek jest

niczym wobec wielkości wszechświata. Mimo to ja się z tym nie zgadzam i błagam was, też protestujcie, darząc sztukę szacunkiem.

Mój przyjaciel, który jest krytykiem, postanowił napisać o moich książkach. Przeczytał wszystkie, co mu zajęło około dwóch godzin i piętnastu minut, a gdy skończył, wpadł w złość.

- Wiesz, co ty robisz? - zapytał.

- Nie, a cóż ja takiego robię? - spytałem.

- Chowam słodkie pigułki pod gorzką osłoną.

Właśnie to chciałbym teraz uczynić: sprawić, by gorycz się rozpuściła, a w waszych ustach zostało coś w rodzaju czekoladowaniliowej papki. Ale coraz trudniej mi przygotować takie delicje, zwłaszcza odkąd nasi wojskowi naukowcy zaczęli strzelać do swych rodaków. Na dodatek w styczniu pojechałem do Biafry, ubaw po pachy. No i w Indochinach ciągnie się ta przezabawna wojna.

Ale jednak dam wam tyle papki, ile mi jej tylko zostało.

Wielokrotnie powtarzano, że człowiek znacznie lepiej rozumie technikę niż samego siebie, i że zdobędziemy pokój, dobrobyt i sprawiedliwość, gdy nadrobimy zaległości w poznaniu siebie. To nieprawda. Niektórzy ludzie mają nadzieję na wielkie odkrycia socjologiczne, odpowiednik $F = ma$ lub $E = mc^2$ w psychologii. Inni sądzą, że powinniśmy dalej ulegać ewolucji, stać się lepszymi małpami o większych mózgach. Nie potrzebujemy więcej miejsca na informacje. Po cóż nam większe mózgi. Trzeba nam tylko jednego: byśmy się stali mniej egoistyczni, niż jesteśmy teraz.

Mamy wiele rozsądnych pomysłów, jak postępować, by sytuacja na Ziemi się polepszyła. Na przykład: nie rób drugiemu, co tobie niemiłe.

Blisko siedemset lat temu Tomasz z Akwinu spisał kilka rad dla ludzi, jak powinni żyć i nie sądzę, by ośmieszyły je komputery, wyprawy na Księżyc i telewizory. Zaleca siedem uczynków miłosiernych wobec duszy, które są następujące: nieumiejętnych upominać, wątpięcym dobrze radzić, strapionych pocieszać, grzesznych upominać, krzywdy cierpliwie znosić, urazy chętnie darować i modlić się za żywych i umarłych.

Także zalecał siedem uczynków miłosiernych wobec ciała. Oto one: głodnych nakarmić, spragnionych napoić, nagich przyodziać, podróżnych w dom przyjąć, chorych nawiedzać, więźniów pocieszać i zmarłych pogrzebać.

Wielkim oszustwem naszych czasów jest przekonanie, że wiedza zastąpiła religię. Wiedza jedynie nadwątlila prawdziwość historii o Adamie i Ewie oraz o Jonaszu i wielorybie. Reszta trzyma się dobrze, zwłaszcza lekcje o sprawiedliwości i dobroci. Ludzie, którzy uważają te przesłania za nieistotne w dwudziestym wieku, po prostu używają nauki jako pretekstu dla chciwości i brutalności.

Przyjaciele, wiedza nie ma z tym nic wspólnego.

Kolejne oszustwo to przekonanie, że wasi rówieśnicy mają zbawić świat. Przemawiałem na rozdaniu dyplomów w małej szkole dla dziewcząt na przylądku Cod, gdzie mieszkam. Powiedziałem im, że są stanowczo zbyt młode, by zbawiać świat i po otrzymaniu świadectw powinny pływać, żeglować, chodzić po górach i świetnie się bawić.

Często słyszę, jak rodzice mówią do swych idealistycznie nastawionych dzieci:

- Dobrze, skoro widzicie tyle zła na świecie, to idźcie i coś z tym zróbcie. Macie nasze pełne poparcie! Idźcie zbawić świat.

Jesteście o cztery lata starsi od tych dziewcząt, ale nadal bardzo młodzi. Wmawianie wam, że teraz od was zależy zbawienie świata, to oszustwo. Nie od was to zależy. Nie macie na to ani pieniędzy, ani władzy. Nie wyglądacie na osoby śmiertelnie dojrzałe, chociaż może tacy jesteście. Nawet nie wiecie, jak się obchodzić z dynamitem. To starsi powinni zbawiać świat. Wy możecie im najwyżej pomóc.

Nie bierzcie na barki ciężaru całego świata. Pozwólcie sobie na tyle swawoli, ile się należy ludziom w waszym wieku. A tak a propos, to „swawola” wedle regulaminu służby marynarki wojennej była drobnym przestępstwem. Jakież urocze przestępstwo. Oznaczało uporczywy brak powagi. Och, jak bym chciał zostać wydalony ze służby nie za jednorazową swawolę, ale za wielokrotne jej popełnienie.

Wielu z was tego lata będzie wykonywało niesłychanie poważne zadania: zdobywanie zwolenników dla porządnych senatorów i kongresmanów, pomoc biednym, niewykształconym i strasznie starym. Dobrze. Ale też swawolcie.

Wasz czas na zbawianie świata przyjdzie, gdy będziecie mieli władzę, nabierzcie obycia i ludzie przestaną kpić z waszego młodzieńczego wyglądu. Proponuję, byście działali na rzecz socjalistycznej formy rządu. Wolny rynek jest zbyt twardy dla starych, chorych, nieśmiałych, biednych, głupich i ludzi, których nikt nie lubi. Oni sobie po prostu nie radzą na wolnym rynku. Brakuje im tego czegoś, co na przykład Nelson Rockefeller ma w nadmiarze.

Dlatego podzielmy bogactwo bardziej sprawiedliwie. Niech każdy ma dość jedzenia, porządny dach nad głową i opiekę lekarską, gdy jej potrzebuje. Przestańmy wydawać pieniądze na broń, która i tak, dzięki

Bogu, nie przynosi zwycięstwa, a zacznijmy wydawać na siebie nawzajem. Mówienie o umiarkowanym dobrobycie dla wszystkich to nie mrzonki. Osiągnęli go w Szwecji. My możemy osiągnąć go tutaj. Dwight David Eisenhower raz zauważył, że Szwecja z wieloma utopijnymi pomysłami ma wysoki procent alkoholizmu, samobójstw i wykroczeń młodocianych. Mimo to chciałbym, żeby Ameryka spróbowała socjalizmu. Jeśli zaczniemy pić na umór i popełniać samobójstwa, a dzieci będą się zachowywać po wariacku, możemy wrócić do starego, poczciwego wolnego rynku.

16

TORTURA I BEK

Jedy byłem młodym czytelnikiem przygód Robin Hooda, „Białego Bractwa” Arthura Conan Doyle’a i temu podobnych książek, tak często napotykałem czasownik „beczeć”, że sprawdziłem w słowniku jego znaczenie. W tych opowieściach robili to źli ludzie, kiedy byli surowo karani przez dobrych. Znaczy to, rzecz jasna, łkać głośno i bez opamiętania. W tych książkach nigdy nie robił tego dobry człowiek.

Ale w prawdziwym życiu niełatwo zmusić zdrowego mężczyznę do beczenia, bez względu na to, jak bardzo byłby podły. Dlatego dobrzy ludzie wynaleźli urządzenia, które ułatwiają łkanie bez opamiętania: malezyjski trzewik, koło do łamania, dziewica norymberska, pediwinis, krzesło elektryczne, krzyż, śruba do miażdżenia kciuków. O niej napomyka się w opublikowanych fragmentach tajnej historii Pentagonu

tyczących wojny wietnamskiej. Zastępca Sekretarza Obrony, John McNaughton pisze o każdym kolejnym bombardowaniu Północy, jako o „...kolejnym przykręceniu śruby”.

To proste: jesteśmy katami i kiedyś mieliśmy nadzieję, że wygramy w Indochinach oraz innych krajach, bo skonstruowaliśmy najkosztowniejsze narzędzia tortur. Przypomina mi się hiszpańska armada, gdzie na żaglowcach mieściły się izby tortur. Aby zmuszać w nich protestanckich Anglików do beczenia.

Anglicy odmówili.

A teraz odmówili komuniści w Wietkongu i Wietnamczycy z Północy. Bóg jeden wie, że wielu z nich indywidualnie beczało bez opamiętania: oblewani galaretowatą benzyną, posypywani białym fosforem, wpychani do tygryskich klatek i skrapiani sokiem z limony. Ale jako społeczeństwo walczyli dalej.

O ile wiem, to straszliwy ból nigdy nie skłonił społeczeństwa do poddania. Społeczeństwo trzeba zniewolić lub zabić albo zaproponować mu coś, co sobie ceni. Kiedy w czasie drugiej wojny światowej torturowano Niemcy, spieszę dodać, że słusznie, to wzrastała produkcja przemysłu i determinacja obywateli. Wedle Alberta Speera, Hitler nie musiał nawet zawracać sobie głowy zachwytem nad ruinami czy pocieszaniem ocalałych. Biafrańczyków równocześnie torturowali Nigeryjczycy, Rosjanie i Brytyjczycy. Ich dzieci umarły z głodu. Dorośli wychudli na szkielety. Ale walczyli dalej.

Człowiek więc się teraz zastanawia, skąd naszym wodzom przyszło do głowy, że masowe tortury wyjdą nam na dobre w Indochinach. Nigdy i nigdzie nie przyniosły pożądanych efektów. Moim zdaniem liderzy

zaczepnęli ten pomysł z literatury młodzieżowej i dzieciennego lęku przed torturami.

Dzieci dużo rozmawiają o torturach. Często wymyślają nowe, ich zdaniem, metody. Pamiętam, jak w dzieciństwie zapytał mnie kolega: „Powiedzieć ci o naprawdę dobrej torturze?” Parę dni temu słyszałem, jak jedno dziecko mówi do drugiego: „Znasz taką fajną męczarnię?” A potem opisało niezwykle skomplikowane urządzenie do zadawania bólu. Krzyż byłby tańszy, a przy tym bardziej skuteczny.

Ale dzieci wierzą, że ból jest skuteczną metodą kontrolowania ludzi; nic podobnego, chyba że na krótką metę i tylko wobec jednostki. Błędnie wierzą, że ból wpływa na zmianę poglądów. Teraz tajne dzieje Pentagonu pokazują, że podobnie myśli wielu Amerykanów na wysokich stanowiskach, nawet profesorowie na uniwersytetach. Powinni się wstydić swojej niewiedzy.

Torturowanie z powietrza było chyba jedyną dostępną nam metodą prowadzenia walki, skoro eksterminacja czy uwięzienie Wietnamczyków z Północy rozpoczęłyby trzecią wojnę światową. I wtedy nas torturowano by z powietrza.

Przykro mi, że uciekliśmy się do tortur. Przykro mi, żeśmy w ogóle czegokolwiek próbowali. To nie przynosi efektów. Ludzie to uparte i odważne zwierzęta. Jeśli muszą, to potrafią znieść przerażający ból. Wietnamczycy z Północy i partyzanci z Wietkongu musieli.

Świetny popis.

Amerykańska armada w Indochinach jest równie ograniczona umysłowo i bezużyteczna, jak hiszpańska armada w Anglii, tylko bardziej okrutna. W przegranej wojnie Hiszpanii wzięło udział dwadzieścia siedem

tysięcy ludzi. Podobno w Wietnamie mamy jeszcze więcej narkomanów. Niech żyje zwycięstwo.

Nie ma znaczenia, kto jest amerykańskim odpowiednikiem hiszpańskiego króla Filipa II. Nie ma znaczenia, kto kłamie. Wszyscy powinni się na razie zamknąć. Niech zapanuje śmiertelna cisza, gdy nasza armada żegluje do domu.

17

*PRZEMÓWIENIE W NARODOWYM
INSTYTUCIE SZTUK I LITERATURY,
WYGŁOSZONE W 1971 ROKU*

raz pierwszy byłem tutaj w ubiegłym roku. „O rany, jakie tutaj są grube mury”, pomyślałem wtedy. (Mój ojciec był architektem, dziadek też.)

Kiedy poproszono mnie o wygłoszenie tego przemówienia, wyjaśniono mi, że nie muszę być poważny. Poczuję się dotknięty. Nie prosiłem o pozwolenie na wygłupy, a jednak mi go udzielono.

Powagą mogę dorównać każdej z obecnych tu osób, rzecz jasna poza oczywistymi wyjątkami. I zaraz tego dowiodę. Prawda, będę mówił o szczęściu, ale także o antropologii, biochemii i nieszczęściu.

Chciałbym zwrócić państwu szczególną uwagę na pracę dr. M. Sydneya Margolesa, endokrynologa z Los Angeles, który dzięki analizie moczu potrafi rozróżnić mężczyznę homoseksualnego od

heteroseksualnego. Nawet nie musi ich widzieć. Jakież inne, słodkie tajemnice życia są czystą chemią? Moim zdaniem wszystkie. Biochemia jest wszystkim. Rozważania artystów o ludzkim losie to bzdura.

Szczyście to chemia. Nim się tego dowiedziałem, szukałem szczyście przez pytania i odpowiedzi. (Gdybym mógł jeszcze raz przeżyć moje życie, nauczyłbym się robić analizę moczu.) Kiedy mój ojciec był już starym człowiekiem, zapytałem go:

- Ojczy, jaki był najszczyśliwszy dzień twego życia?

- To była niedziela - odparł.

Opowiedział, jak to wkrótce po ślubie kupił nowego olds-mobile. Działo się to przed pierwszą wojną światową w Indianapolis, w stanie Indiana. (Oldsmobile nie był wtedy upragnionym autem domorosłych mechaników samochodowych.) Jak już mówiłem, mój ojciec był architektem, a także malarzem. I mój ojciec, młody architekt i malarz, w niedzielne popołudnie wziął młodą żonę w nowym samochodzie na tor wyścigu na 500 mil. Włamał się przez bramę. Wjechał na tor, który jest zbudowany z cegieł. I jeździli z matką w kółko.

To był szczyśliwy dzień. Opowiadał mi o najszczyśliwszym dniu w życiu już jako wdowiec, bo moja matka popełniła samobójstwo.

Mój ojciec opowiedział mi także, jaki był, jego zdaniem, najszczyśliwszy dzień w życiu jego ojca. Mój dziadek ze strony ojca był chyba najszczyśliwszy jako chłopiec w Indianie, siedząc z przyjacielem na zderzaku z przodu jadącej lokomotywy. Ciuchcia wlokła się z Indianapolis do Louisville, po drodze jeszcze trafiały się dzikie tereny, a mosty były zrobione z drewna.

Gdy zapadała noc, na niebie lśniły iskry sypiące się z komina lokomotywy. Cóż może być przyjemniejszego? Nic.

Mój ojciec i dziadek byli dobrymi artystami. Żałuję, że ich tutaj teraz nie ma. Zaslugują na wasze ciepłe towarzystwo w tym zimnym grobowcu.

(Zaslugują na wasze zimne towarzystwo w tym ciepłym grobowcu.)

Miesiąc temu mój syn spytał mnie, jaki był najszcześniejszy dzień w moim życiu. Prawdę mówiąc zawołał w głąb mego grobu. To przemówienie jest pełne grobów. Mój syn uważa mnie za już praktycznie martwego, ponieważ co dzień palę tak dużo pali mallów. (Ma rację.)

Spojrzałem w górę z mego dołu i tak odpowiedziałem: - Jak dotąd najszcześniejszą chwilą mego życia był pewien dzień w październiku 1945 roku. Właśnie zostałem zwolniony z armii amerykańskiej, organizacji godnej szacunku za czasów Walta Disneya. Zostałem przyjęty na wydział antropologii Uniwersytetu Chicago. Nareszcie! powiedziałem sobie. Człowieku, będę studiował!

Zacząłem od antropologii. Uczono mnie, jak zmierzyć rozmiar mózgu istoty ludzkiej, która umarła dawno temu i zupełnie wyschła. Wierciłem dziurę w czaszce i wypełniałem ją oczyszczonym ryżem. Potem przesypywałem ryż do cylindra z po-działką. Nudziło mnie to.

Przeniosłem się na archeologię i dowiedziałem się znanej mi już rzeczy: że od zarania dziejów człowiek lepiał i tłukł garnki. Poszedłem więc do opiekuna roku i wyznałem, że nauka mnie nie olśniła i tęsknię za poezją. Byłem przygnębiony. Wiedziałem, że jeśli zajmę się poezją, żona i ojciec będą mnie chcieli zabić.

Opiekun się uśmiechnął.

- A może byś chciał studiować poezję, która udaje naukę?

- spytał.

- Czy taka istnieje? - spytałem.

- Witaj w katedrze antropologii społecznej lub kulturowej

- podał mi rękę i uścisnął. Dodał, że zajmują się tym już Ruth Benedict i Margaret Mead oraz paru wrażliwych panów.

Jednym z nich był dr Robert Redfield, kierownik wydziału antropologii w Chicago. Stał się moim najlepszym nauczycielem. W ogóle mnie nie zauważał. Czasem patrzył na mnie, jakbym był jakimś małym, futerkowym zwierzątkiem, które wpadło do kosza na śmiecie w jego gabinecie. (Tak przy okazji, to podkradłem to porównanie od George'a Plimptona. Bóg go kocha.)

Dr Redfield już nie żyje. Być może w przyszłości jakiś antropolog napelni jego czaszkę oczyszczonym ryżem i potem wysypie ziarna do cylindra z podziałką. Za życia jego głowę wypełniało urocze marzenie, które nazywał „społecznością ludową”. Opublikował tekst o nim w „The American Journal of Sociology”, t. 52, 1947, s 293-308.

Stwierdza, że społeczeństwa prymitywne są zdumiewająco zróżnicowane. Błaga nas jednak, byśmy przyznali, że łączą je te same cechy. Na przykład są tak małe, że wszyscy się dobrze znają i te więzi trwają przez całe życie. Członkowie utrzymują bliski kontakt ze sobą i niewielu innymi ludźmi.

Członkowie komunikują się tylko werbalnie. Jedyne przez wspomnienia można dosięgnąć myśli i doświadczeń przeszłości. Ludzi

starych ceni się za ich wspomnienia. Niewiele się zmienia. Jednostka zna i wierzy w to, co znają i w co wierzą wszyscy. Nie dochodzi do wyraźnego podziału pracy. Wszyscy robią mniej więcej to samo.

I tak dalej. Dr. Redfield zachęcał nas, byśmy takie grupy ludzi nazywali „społecznością ludową” i często tak robię. Dam teraz Państwu próbkę prozy dr. Redfielda i okazję zakosztowania jego nostalgii za formacją, w której niegdyś żyły wszystkie rasy ludzkie.

Dr Redfield pisze, że w społeczności ludowej:

„...zachowanie jest osobiste, a nie bezosobowe. »Osoba« może być zdefiniowana jako ten podmiot społeczny, który zachowuje się tak jak ja; ma wszelkie uczucia i zainteresowanie, które i ja podzielam; osoba jest mną w innej formie, ma przyrodzone cechy i zalety oraz spełnia dla mnie funkcję wykraczającą poza czysty utylitaryzm. Z drugiej zaś strony »rzecz« to podmiot społeczny, który nie oczekuje po mnie sympatii i który reaguje na mnie jedynie mechanicznie; jego wartość dla mnie polega tylko na jego użyteczności. W społeczności ludowej wszystkie istoty ludzkie przyjęte do niej są traktowane jako osoby; nikt nie zachowuje się bezosobowo (»urzeczowianie ludzi«) wobec innych członków małego świata tej społeczności.

Ponadto w społeczności ludowej wiele innych rzeczy jest traktowanych osobowo. Sposób zachowanie, który podsuwa wewnętrzne doświadczenie jednostki - jej pragnienia, lęki, wrażliwości i najróżniejsze zainteresowania - jest rzutowany na wszystkie obiekty, które stają na jej drodze. Dlatego również natura jest traktowana osobowo: jej elementy, jak drzewa, skały, woda, fragmenty pejzażu, zwierzęta, a zwłaszcza to wszystko w środowisku, co przez swój wygląd lub zachowanie sugeruje

posiadanie cech ludzkich - to wszystko otrzymuje cechy człowieka.”

Twierdzę, że mamy w sobie mnóstwo substancji chemicznych, które zmuszają nas, byśmy przynależeli do społeczności ludowej, a jeśli nam się to nie uda, to przez cały czas czujemy się okropnie. Jesteśmy zaprogramowani chemicznie, by żyć w społeczności ludowej, tak jak ryby są chemicznie zdeterminowane, by żyć w czystej wodzie - tylko że dla nas już zabrakło takich grup.

Macie wielkie szczęście, że się tu dziś znaleźliście, bo mogę wam wszystko dokładnie wytłumaczyć. Zygmunt Freud przyznał, że nie wie, czego chcą kobiety. Znam odpowiedź na to pytanie. „Cosmopolitan” pisze, że chcą orgazmów, co w najlepszym razie może być odpowiedzią cząstkową. Oto czego rzeczywiście pragną kobiety: żyć w społeczności ludowej, w której każdy jest życzliwym krewnym, a każdy czyn i przedmiot święty. Substancje chemiczne sprawiają, że one tego pragną. Substancje chemiczne sprawiają, że wszyscy tego pragniemy.

Substancje chemiczne powodują, że się wściekamy, gdy inni traktują nas jak rzeczy, a nie jak ludzi. Gdy przydarza nam się coś, co by nam się nie przytrafiło w społeczności ludowej, substancje chemiczne sprawiają, że czujemy się jak ryby wyciągnięte z wody. Chemia domaga się naszego powrotu do wody. Jeśli obecnie robimy się coraz bardziej zwariowani i absurdalni... no cóż, podobnie przez krótki czas zachowują się ryby na piasku.

Jeśli obecnie robimy się coraz bardziej apatyczni... no cóż, podobnie przez krótki czas zachowują się ryby na piasku. Nasze dzieci często przypominają apatyczne ryby, tylko że ryby nie mogą grać na gitarze. Co

stara się osiągnąć większość naszych dzieci? Próbują stworzyć formę społeczności ludowej, którą nazywają „komuną”. Ponoszą porażkę. Konflikt pokoleń to argument w dyskusji między tymi, którzy wierzą, że istnienie społeczności ludowych jest nadal możliwe i tych, którzy się z tym nie zgadzają.

Starsi tworzą kluby, korporacje i temu podobne. Ich twórcy udają, że pasjonuje ich wąski aspekt życia. Członkowie Klubu Lwów udają zainteresowanie leczeniem i zapobieganiem chorobom oczu. W rzeczywistości to samotni neandertalczyki posłuszni pierwszemu prawu życia, które mówi: „Istoty ludzkie odczuwają rosnące zadowolenie, gdy wrastają w jednomyślne, braterskie środowisko społeczności ludowej.”

Moim zdaniem członków Amerykańskiej Akademii Sztuk i Literatury oraz Narodowego Instytutu Sztuk i Literatury nic a nic nie obchodzi ani sztuki piękne, ani literatura. Oni także, działając pod wpływem substancji chemicznych, starają się stworzyć pełen ciepła i przesądów klan, wioskę lub plemię. Jednego im życzę: „Powodzenia, chłopcy i dziewczęta”.

■fr

Są jeszcze inne, dobre kluby. Do Cnego Zakonu Mojżesza mogą należeć wszyscy biali, ochrzczeni mężczyźni. Podziwiam Amerykańskich Tatusiów Wojennych. Żeby stać się jednym z nich, trzeba mieć przyjaciela albo krewnego, który służył w amerykańskiej armii w ciągu ostatnich stu dziewięćdziesięciu pięciu lat. Powiedziano mi, że lepiej, by przyjaciel lub krewny nie został wywalony z wojska na zбитy pysk.

Lepiej także być głupim. Mój ojciec i dziadek nie byli, więc nie

zapisali się do Zakonu Mojżesza czy innej organizacji. Wybrali samotność. Samotność może przynosić równie dużo pociechy, co narkotyki lub bractwo, ponieważ w pobliżu nie ma innych ludzi, którzy by przypominali samotnikowi, w jak niewielkim stopniu jego otoczenie przypomina społeczność ludową. W najszcześniejszym dniu swego życia mój ojciec miał przy sobie tylko młodą żonę. Moi rodzice byli wtedy jednym ciałem. W swój najszcześniejszy dzień w życiu dziadek miał ze sobą tylko przyjaciela. Niewiele ze sobą mówili, bo lokomotywa bardzo hałasowała.

Jeśli chodzi o mój najszcześniejszy dzień, to byłem szczęśliwy, bo wierzyłem, że wydział antropologii Uniwersytetu Chicago to mała, jednomyślna rodzina, do której pozwolono mi się przyłączyć. To nie była prawda.

a

Jak już wspomniałem, w ramach mojej chemiczno-antropologicznej teorii mogę wszystko wytłumaczyć. Dziś tylko dwóch mężczyzn mniej niż ja zdumiewa się nad ludzkim losem: Billy Graham i Maharishi. Jeśli moja teoria jest błędna, to i tak nie ma najmniejszego znaczenia, bo powiedziano mi, że nie muszę wygłaszać poważnej mowy.

Równocześnie, bez względu na to, czy się mylę, czy też nie, i tak nasz los, jak i los dzieł sztuki, jest przesądzony. Mam na to słowo astronoma. Kiedyś wyczerpie się energia naszego Słońca. Gdy z rdzenia przestanie płynąć żar, Słońce zapadnie się w siebie. Proces ten się zakończy, kiedy Słońce stanie się kulą o średnicy mniej więcej czterdziestu mil. Zmieściłaby się między tą salą i Bridgeport.

Słońce chciałoby się zapadać jeszcze bardziej, ale nie pozwolą na to jądra atomowe. Mówiąc prościej, nieprzeparta siła napotka nieruchomy

obiekt. Nastąpi ogromny wybuch. Nasze Słońce stanie się supernową, błysk dorówna światłu, jakim zdaniem uczonych lśniła Gwiazda Betlejemska. Dzień Ziemi tego nie powstrzyma.

Gdzieś w tym błysku będą szczątki oldsmobile z 1912 roku, zderzak z lokomotywy, Uniwersytet Chicago i strzép z mego wystąpienia.

Dziękuję Państwu.

18

REFLEKSJE O MOJEJ ŚMIERCI

Włój wuj Alex właśnie napisał do mnie, bo obliczył, że przeżył tysiąc miesięcy. Innym razem porównał umieranie do gaszenia świecy. Koniec spalania. Wuj Alex ma rację.

Moja siostra tuż przed śmiercią powiedziała: „Nie boli”. Była zdziwiona. Moja matka załatwiła się tabletkami nasennymi, co również jest bezbolesne. Ojciec myślał, że od niego odeszła. Miał rację.

W dwadzieścia lat później ojciec zawiadomił troje dzieci, że umiera na raka płuc, wcale nie cierpi i jest spokojny. Już czas, powiedział. Wszyscy mieszkaliśmy na Wschodzie, on zaś na Środkowym Zachodzie, więc posłał każdemu z nas po tysiąc dolarów, żebyśmy mogli odwiedzać go kiedy zechcemy w trakcie spokojnego umierania.

Tak się złożyło, że umarł dopiero w osiemnaście miesięcy po wysłaniu czeków. Wierzyciele zgarnęli pieniądze mojej siostry. Była bez grosza i sama też umierała, chociaż jeszcze o tym nie wiedziała. Zainwestowałem swój tysiąc w prom pływający między Hyannis a

Nantucket i wszystko straciłem. Uznano go za zagrożenie dla ruchu rzeczno. Mój roztargniony brat gdzieś zgubił swój czek. Może go znalazł. W każdym razie i tak jeździliśmy do ojca.

A ojciec zmarł na chorobę nazywaną przez pielęgniarki „przyjaciółką starych ludzi”, czyli na zapalenie płuc. Cholera, wcale nie myślę ciągle o śmierci, chyba że mnie o to specjalnie proszą, jak tym razem. Mam przyjaciela aktora, który często myśli o śmierci, bo w ten sposób wprawia się w ponury nastrój, gdy ma się tak zachowywać na scenie. Wspomina psa, który zdechł dawno temu. Najlepsze życzenia.

Kiedy myślę o swojej śmierci, nie pocieszam się tym, że moje potomstwo, książki i cała ta reszta, będą żyły dalej. Każdy, kto ma odrobinę oleju w głowie, wie, że niedługo szlag trafi cały system słoneczny. Ale w głębi serca wierzę, że popełniamy błąd sądząc, jakoby te chwile mijały bezpowrotnie. Ta chwila i każda inna trwa na wieki.

19

W SPOSÓB, KTÓRY ZAWSTYDZI BOGA SAMEGO

Fdybym był gościem z innej planety, to tak bym powiedział w 1972 roku o mieszkańcach Stanów Zjednoczonych:

- To okrutne stworzenia, którym wydaje się, że są delikatne. W ostatnich czasach eksperymentowały z niewolnictwem i ludobójstwem. - Nazwałbym ludobójstwem rabowanie i zabijanie Indian amerykańskich. - Dwie prawdziwe partie polityczne w Ameryce to Wygrani i Przegrani. Ludzie nie przyznają się do tego. Twierdzą, że należą do dwóch

wyimaginowanych partii: Republikanów i Demokratów. W obu tych rzekomych partiach rządzą Wygrani. Kiedy Republikanie walczą z Demokratami, jedno jest pewne: zwyciężą Wygrani. W przeszłości do Partii Demokratycznej należało więcej ludzi, bo ich wodzowie nie gardzili tak otwarcie Przegrany, jak Republikanie. Przegrani mogą się zapisać do urojonej partii. Mogą też głosować.

Przegrani mają tysiące religii, często pławiących się we łzawym współczuciu - ciągnąłbym dalej. - Jedyna religia Wygranych to brutalna interpretacja darwinizmu, wedle której wolą wszechświata jest, by przeżyli najsilniejsi.

Partia Republikańska przyciąga najbardziej bezlitosnych darwinistów i regularnie usuwa ze swych szeregów ludzi podejrzanych o łzawe współczucie. Teraz na przykład izoluje i skreśla posła z Izby Reprezentantów Paula N. McCloskeya, który otwarcie atakował wojnę w Wietnamie, a nawet łkał nad zabijaniem i okaleczaniem Wietnamczyków.

Wietnamczycy to biedni rolnicy żyjący daleko stąd. Wygrani w Ameryce załatwili, żeby od lat dzień w dzień strzelać do nich i zrzucać na nich bomby. To nie szaleństwo albo głupota, jak sugerowali niektórzy. W ten sposób Wygrani uczą się braku litości. Rozumieją, że już niemal się wyczerpały naturalne zasoby planety i litość wkrótce stanie się formą samobójstwa.

Wygrani robią próbę generalną funkcjonowania Przyszłego Świata.

Jest dowcipny Wygrany, milioner nazwiskiem William F. Buckley Jr. - ciągnąłbym dalej - który regularnie pojawia się w telewizji i na łamach

prasy. Zabawnie kłóci się z ludźmi uważającymi, że Wygrani powinni jeszcze bardziej pomagać Przegranym. W trakcie dyskusji niemal zawsze zachowuje się jak twardy krzykacz i patrzy z góry na oponentów.

Jako gość z innej planety nic bym nie stracił na pozycji towarzyskiej zakładając, że Buckley sam nie rozumie skrytego znaczenia swego uśmiechu. A potem bym poznał jego myśli: „O, tak, mój dobry człowieku. Rozumiem, co tak nieporadnie mówisz. Ale w głębi serca dobrze znasz podstawową zasadę Wygranych - żeby przetrwać, trzeba traktować Przegranych bezlitośnie”.

Może pod uśmiechem Buckleya nie kryje się takie przekonanie. Ale jestem pewny, że to było fundamentalne przeświadczenie, na którym, niczym na skale, zbudowano przesłanie Krajowej Konwencji Republikanów w Miami Beach na Florydzie w 1972 roku.

Reszta to banały i cyrk.

Słuchajcie: poszedłem na prywatny lunch Wygranych w Miami Beach, kiedy Konwencja pierdziała w kółko kilkanaście mil dalej. Był tam Nelson Rockefeller. John Kenneth Galbraith. William F. Buckley Jr. Arthur O. Sulzberger. Jacob Javits. Clare Boothe Luce. Art Buchwald. Barbara Walters. Wszyscy tam byli. Przynależność do Republikanów czy Demokratów stanowiła przezabawny zbieg okoliczności, z którego nikt się nie musiał tłumaczyć.

Spytałem dr. Galbraitha, co robi na konwencji republikańskiej. Wyjaśnił, że zaproponowano mu niemoralnie wysoką sumę pieniędzy za starcie z Buckleyem rano przed kamerami NBC.

Barbara Walters zaprosiła mnie, żebym wystąpił w programie „Today”. Odparłem, że nie mam nic do powiedzenia. Konwencja odebrała

mi mowę. Tak starannie pilnowano duchowych i fizycznych poczynań uczestników, że nie usłyszałem ani nie zobaczyłem niczego, co by nie znalazło się wcześniej w materiałach dla prasy.

- Zupełnie, jakby w Disneylandzie wprowadzono stan wojenny - powiedziałem.

- Nie musisz wiele mówić - nalegała.

- Ale coś muszę powiedzieć.

- Powiedz: „Cześć”.

Cześć.

Art Buchwald stwierdził, że przyjechał na konwencję spotkać się z kumplami, głównie ludźmi z prasy. Opowiedział gościom siedzącym przy stoliku o rubryce, którą prowadzi. We wstępie umieścił następujący żart: ludzie wpłacili tak dużo na fundusz wyborczy Partii Republikańskiej, że zostały im dwa miliardy dolarów. Partia postanowiła więc zafundować przyjemność wszystkim Amerykanom. Oto ten prezent: tydzień darmowego bombardowania Wietnamu.

Zapytałem Clare Boothe Luce, co myśli o wysiłkach grupy młodych ludzi, którzy próbowali obudzić współczucie dla Wietnamczyków. Tu, w Miami Beach, przebrali się za Wietnamczyków oraz nosili kukły wyglądające jak ludzie spaleni żywcem, pozbawieni członków i temu podobne.

Pani Luce wolałaby, żeby młodzież wzięła samochody i wypełniła je czymś przypominającym krew. Powiedziała, że w wypadkach samochodowych straciła dwóch członków rodziny. Jej zdaniem auta to najwięksi mordercy naszych czasów. Młodzi ludzie powinni protestować przeciw nim.

Jeśli zaś chodzi o pojedynek Nixona z McGovernem, to wszyscy są pewni zwycięstwa Nixona. Jak się zorientowałem, chociaż nikt tego nie powiedział głośno, McGovern jest obiektem bardzo wytwornego żartu. Był Wygranym, którego zachęcili inni Wygrani, żeby się zidentyfikował z Przegranymi i zakopał się po szyję w końskim łajnie populizmu.

Przegriani nienawidzą głosowania na Przegranych. Wiedzą przecież, kim są Przegrani.

Dlatego wygra Nixon.

te

Tak więc w trakcie konwencji można było jedynie odkryć, jak bardzo Republikanie jako jednostki litują się nad Wietnamczykami i niedożywionymi, mieszkającym w slumsach Amerykanami.

Oto naukowa obserwacja: gdy delegaci byli zwykłymi stworzeniami, zostawionymi mniej więcej w izolacji i spokoju, na spotkaniach nie słyszeli gromko obwieszczanych mocarstwowych planów oraz nie groził im wrogi tłum, to osiągnęli zadowalający poziom współczucia.

Ale już od wielu lat mamy do czynienia ze zjawiskiem opisanym przez Pawłowa: wrogi tłum nieodmiennie zgłasza humanitarne żądania i choć przez większość czasu nie jest nawet wrogi, ale gdzie tylko idzie, sunie za nim armia policjantów, aby ochronić przed nim sympatycznych ludzi.

W ten sposób w głowach okropnie sympatycznych ludzi wytworzył się odruch Pawłowa: kiedy pojawia się więcej niż dwóch ludzi z humanitarnymi poglądami, należy wezwać policję.

■fr

Jeśli policja nie pojawi się natychmiast albo jeśli humanita-rianie

zachowują się w sposób godny szacunku lub piękny czy chwytający za serce, sympatycznym ludziom pozostało jeszcze jedno rozwiązanie.

Mogą zignorować humanitarian.

To właśnie zrobili sympatyczni ludzie, gdy dwudziestego drugiego sierpnia 1972 roku po południu, przed hotelem „Fontainebleau”, odbyła się jedna z bardziej godnych szacunku parad wojskowych w dziejach Ameryki. Ta data nie przejdzie do historii, bo sympatyczni ludzie tego nie chcą.

Setki amerykańskich strzelców, zabójców z wojny wietnamskiej, uformowało się w plutony, zachowując między nimi stosowny odstęp. Wielu miało na sobie dziwaczne szmaty, mundury polowe zakładane do potyczek w dżungli. Szli w milczeniu i zgarbieni, maszerowali, jak na zmęczonych, głodnych weteranów przystało. Często byli długowłosi, więc wyglądali na pięknych kawalerzystów, morderców Indian z minionej epoki.

Niektórzy byli na wózkach. Wielu rannych. John Wayne, strzelec nad strzelcami, był gdzieś w Miami Beach. Ale się nie pokazał, gdy prawdziwi strzelcy przyszli do miasta. To był Billy Kid pomnożony tysiącokrotnie i ustawiony w plutony przed „Fontainebleau”, który nawet nie szeptał.

Usiedli w milczeniu, co było przestępstwem. Blokowali ruch uliczny. Niektórzy wzdychali. Inni się drapali.

Chcieli powiedzieć jedno: „Skończmy z zabijaniem.”

Potem wrócili do domu.

Ilu miłych ludzi wyszło z hotelu albo podeszło do okien, by na nich patrzeć? Prawie nikt. To była sprawa policji.

Jeśli zaś chodzi o bezsensowne działania szarych delegatów, to głównie słuchali przemówień złożonych z olśniewających półprawd albo modlitw wybitnych teologów, polowali na autografy i umykali przed wrogimi tłumami. Saul Steinberg, najbardziej inteligentny artysta naszych czasów powinien, razem z Renatą Adler i Richardem Roverem, obmalować to dla „The New Yorkera”.

To były same chmurki i zakrętasy.

Jeśli chodzi o modlitwy, to słyszałem, że wielu znanych Republikanów i wybitnych teologów modliło się w trakcie nabożeństwa w niedzielę przed rozpoczęciem konwencji. Dwudziesty sierpnia 1972 roku to kolejna data, którą chciałbym zobaczyć w podręcznikach historii amerykańskiej. Za chwilę wyjaśnię, dlaczego się tam powinna znaleźć.

Uważnie słuchałem wszystkich kazań i modlitw. Chciałem się dowiedzieć ile tylko można o republikańskim Bogu. Wyszedłem z następującym obrazem: jest mniej więcej wielkości Góry Waszyngtona i bardzo powoli wpada w gniew.

Było wiele krótkich kazań, ale główne, na prośbę samego Richarda M. Nixona, wygłosił dr. D. Elton Trueblood, filozof religii kwaków, profesor w Large of Earlham College w Richmond, stan Indiana. Earlham, podobnie jak Whittier College, który skończył pan Nixon, jest szkołą kwaków.

Kazanie dr. Trueblooda w pewnym momencie mnie zdumiało, bo wydawało mi się, że słyszę jak mówi, iż władza amerykańskich polityków pochodzi bezpośrednio od Boga. Niektórzy dziennikarze odnieśli takie samo wrażenie. Improwizował, więc wcześniej nie rozdano tekstu kazania.

Ale później porosiłem go o wywiad i nagrałem rozmowę, która

przebiegała następująco:

- Po pańskim kazaniu dziś rano słyszałem, jak ktoś mówił, że wywiódł pan władzę prezydenta wprost od Boga - powiedziałem. - Zwykle jesteśmy uczeni, że władza prezydenta pochodzi od ludzi. Skoro jest pan teologiem...

- Nie wspomniałem o prezydencie - odparł Trueblood. - Powiedziałem, że władza należy do Boga, a nie do nas, i wszystko, co robimy, będzie przez Niego osądzone. W ten sposób można osiągnąć patriotyzm wolny od bałwochwalstwa.

- Gdybyśmy mieli to narysować na podobieństwo obiegu elektrycznego, to diagram wyglądałby następująco: prezydent otrzymuje władzę od ludzi, a ludzie od Boga? Czy tak?

- Nie - zaprzeczył teolog. - Ja bym to wyraził inaczej: tylko Bóg jest władcą. Przyjmuję doktrynę Lutra o dwóch królestwach: Kościele i Państwie, obu podlegających Bogu. Tak więc, wszystko, co robimy w państwie podlega Sądowi Bożemu.

- Czyli prezydent równocześnie odpowiada i przed ludźmi, i przed Bogiem?

- Ale oczywiście bardziej przed Bogiem niż przed ludźmi - odparł dr. Trueblood.

Spisałem to dokładnie i nic nie usunąłem, bo jak sądzę, dowodzi mojej tezy, że dwudziestego sierpnia 1972 roku Krajowa Konwencja Republikańska została otwarta kazaniem pod tytułem „Boskie Prawo Prezydenta”.

Także do dysponowania wodą.

Powiedziałem dr. Truebloodowi, że sądziłem, że kwakrowie są pacyfistami i zdumiała mnie siła, z jaką prowadzi wojnę Richard M. Nixon, który wywodzi się z tego środowiska.

Odparł, że podobnie jak wielu Amerykanów, mam uproszczone poglądy na temat tego, czym jest religia kwaków.

- Dlaczego, gdy jeżdżę z kazaniami, spodziewają się, że będę wyglądał jak facet z pudełka „Owsianki Kwaków”?

- spytał.

- Czy więc na tym etapie historii Ameryki kwakrowie są zupełnie tacy sami jak inni ludzie?

Dr. Trueblood z całego serca się z tym zgodził.

- I podobnie jak inni, bardzo różnimy się między sobą

- zapewnił mnie. - Każdy, kto wierzy w istnienie typowego kwakra, jest po prostu głupi.

Powiedziałem, że wielu miłujących pokój ludzi wie, iż prezydent słucha jego zdania i zapewne wielu go prosiło: „Na Boga, doktorze Trueblood, niech mu pan powie, żeby skończyć wojnę”.

- Tak - odparł - bardzo często robią to w wysoce nieprzyjemny sposób, wydając o prezydencie pochopny osąd. A ja im odpowiadam: „Posłuchajcie, on próbuje ją skończyć. Nie przeszkadzajcie mu swoim faryzeizmem”. Rozumie pan, że nie zupełnie się nimi nie przejmuję.

I ten filozof kwaków ma jeszcze gorszą wiadomość dla ludzi o miękkim sercu. Zamierza wysłać prezydentowi mało znany cytat z dzieł Abrahama Lincolna, z którym pan Nixon się identyfikuje cierpiąc nad koniecznością prowadzenia wojny.

Oto on:

„Zaiste, przechodzimy ogromną próbę, ciężką próbę. Znalazłszy się na tym wielce odpowiedzialnym stanowisku i będąc pokornym narzędziem w rękach naszego Ojca Niebieskiego, którym to narzędziem jestem tak samo, jak my wszyscy, aby spełniać Jego wspaniałe dzieła, postanowiłem, że wszystkie moje prace i czyny będą zgodnie z Jego Wolą. I dlatego szukam pomocy u Niego.

Ale jeśli starając się jak najlepiej postępować w życiu, które mi dał, stwierdzę, że moje wysiłki poszły na marne, muszę wierzyć, iż dla nieznanych mi powodów, Jego wola jest inna.

Gdyby to ode mnie zależało, ta wojna nigdy by się nie zaczęła. Gdyby to ode mnie zależało, ta wojna już by się dawno skończyła. Ale widzimy, że nadal trwa i musimy wierzyć, iż On na nią dozwala w Swej mądrości, dla tajemnych i nie znanych nam celów, i chociaż nie potrafimy tego pojąć naszym ograniczonym umysłem, to możemy jedno: wierzyć, że Ten, który stworzył świat, nadal nim włada.”

Bardzo bym nie chciał, żeby ten fragment wpadł w ręce prezydenta. Moim zdaniem pan Nixon dzięki swemu wyjątkowemu brakowi poczucia humoru nie rozumie, że wprowadza w życie brutalne, długoterminowe plany przeżycia Wygranych kosztem Przegranych, grubasów kosztem chudzielców. Teraz, kiedy się całkowicie przekonałem, jak jego duchowi doradcy są przerażająco banalni, wydaje mi się zupełnie możliwe, że on wierzy, że bez względu na to, co robi, służy Bogu.

O właśnie, gdybym był gościem z innej planety, to tak bym wyjaśnił złą wolę pana Nixona wobec Przegranych: wszystko przez to, że w trakcie

wielkiego kryzysu jego rodzina była biedna i upokorzyło ich zepchnięcie do grona innych biedaków. Zupełnie jakby Nixon został przez pomyłkę zamknięty w schronisku dla psów.

Prezydent teraz pokazuje, że nie cierpi wszystkiego, co dotyczy biednych ludzi, wśród których tak niesprawiedliwie się znalazł dawno temu.

Skoro zwycięstwo było pewne, w trakcie konwencji Republikanom szumiało w głowach ze szczęścia. Kandydat przeciwników zagrzebał się po szyję w populizmie, gdy tymczasem ich własny tkwił po uszy w Bogu. Nic nie pozostało do zrobienia, więc główny punkt programu każdego dnia stanowiły przyjęcia, na których można było otrzymać autografy żony i córek prezydenta.

Te miłe, ładne kobiety były skromne i nieśmiałe. Ich zachowanie zdawało się mówić: „Powinniście zdobywać autografy obecnych tutaj, naprawdę sławnych gwiazd filmowych”. Jakie naprawdę sławne gwiazdy zjawily się na konwencji? Jedna z nich to Ethel Merman.

Tak to trzeciego dnia konwencji wysiadłem z windy w hotelu „Fontainbleau”. Nawet ja rozdawałem autografy. Dałem jeden demonstrantowi jeszcze w trakcie protestu. Zajmowałem się także gromadzeniem szacownej kolekcji modlitw i kazań. Właśnie wziąłem egzemplarz zapisu wypowiedzi George’a G. Seibelsa Jr., burmistrza Birmingham w Alabamie, z tego samego nabożeństwa niedzielnego, na którym przemawiał dr. Trueblood.

Burmistrz Seibels sam mi ją dał, a całość jest napisana drukowanymi

literami.

JESTEM WAM BARDZO WDZIĘCZNY ZA TEN NIEZWYKŁY ZASZCZYT, SKORO TO JA WŁAŚNIE MOGĘ WYGŁOSIĆ HASŁO: JEDEN NARÓD W BOGU”, ZDANIE BARDZO DROGIE MI, JAK I MILIONOM AMERYKANÓW WSZYSTKICH WYZNAŃ, RAS I KOLORÓW SKÓRY. DLATEGO SŁUSZNIE ZACZYNAMY NASZĄ KONWENCJĘ NABOŻEŃSTWEM W TEN DZIEŃ SABATU.

Właśnie natknąłem się na jedną z setek panien na wydaniu, które na własny koszt przyleciały do Miami. Są żywym dowodem na to, że młodzież zwariowała na punkcie pana Nixona. Słyszałem, jak poprzedniego popołudnia piszczały z zachwytu na widok Ethel Merman w trakcie przyjęcia dla młodzieży i sław.

- Jestem z „Harper’s” - powiedziałem. -1 chciałbym zapytać, czy pani zdaniem ateista mógłby być dobrym prezydentem Stanów Zjednoczonych?

- Nie sądzę - odparła.

- Dlaczego?

- No cóż... Cały kraj jest zbudowany na Bogu.

- A czy Żyd mógłby być dobrym prezydentem?

- Wiem o tym za mało, by udzielić odpowiedzi.

To było śliczne, białe dziecko. Z trudem oderwałem od niej oczy i kogo zobaczyłem? W zapchanym meblami hallu hotelowym siedzieli sobie Indianie. Dziewięciu potężnych mężczyzn.

Między nimi jeden chłopiec.

Wyglądali jakby zamienili się w czerwone drewno. Nie rozmawiali

ze sobą. Nie obracali głowami, żeby popatrzeć na przechodzących.

Siedzieli wokół niskiego stolika. Leżały na nim powielone egzemplarze tekstu, który przywieźli z daleka. Pochodzili z wielu szczepów.

Jak się później dowiedziałem, tekst był zaadresowany następująco: „Do Richarda M. Nixona, prezydenta USA”.

A oto jego fragment:

„Przybyliśmy tu w sposób, który zawstydzi Boga samego. Kraj bowiem, który pozwala, by cała grupa ludzi egzystowała w warunkach zaprzeczających głoszonym przez niego ideałom, w warunkach, które co dzień uwłaczają sprawiedliwości i humanitaryzmowi, z pewnością jest pełen nienawiści, chciwości i znieczulicy.”

Nie podszedłem prosto do Indian. Wcześniej pogadałem z kolegą dziennikarzem. Powtórzył mi, co dr. Daniel Ellsberg, który ogłosił dokumenty pentagońskie, powiedział o dr. Henrym Kissingerze, wyjątkowo szczęśliwym doradcy prezydenta do spraw międzynarodowych. Oto jego opinia: „Henry zawarł najlepszą umowę, jaką kiedykolwiek Faust spisał z Mefistofelesem”.

Moim zdaniem to czarująca uwaga. Tak się złożyło, że Ellsberg był na konwencji. Nikt nie zwracał na niego uwagi, chociaż reprezentuje to wszystko, co dobrzy republikanie uznają za zdradzieckie i nikczemne. To dlatego, że wyglądał zupełnie jak ochroniarz.

Powiedziałem przyjacielowi, że oglądałem dr. Kissingera w telewizji, gdy obdarowywał dwie dziewczyneczki w białych sukieneczkach autografem i uśmiechem surowego krytyka. Ucieszyłem się, że Ellsberg wspomniał o Mefistofelesie, ta scena bowiem wydała mi

się iście szatańska.

Powiedziałem, że dziewczynki symbolizują to, co najbardziej pogodne i pełne obietnic w życiu. Każdy na stanowisku dr. Kissingera miałby dziś mnóstwo do czynienia z przypadkowymi, bezsensownymi zgonami w Wietnamie - nawet ze śmiercią dziewczynek w bieli po naszej stronie. A więc zło łączy się z tym stanowiskiem. Dlatego, moim zdaniem, to ohydne, że człowiek na takim stanowisku obdziela uśmiechami surowego krytyka i autografami.

Dostrzegłem właśnie Abbie Hoffmana, błaznującego rewolucjonistę. Tego dnia przynajmniej tuzin razy został zatrzymany przez ochroniarzy wyglądających zupełnie jak dr Ellsberg. Dlatego przypominał zmęczonego błazna. Przepustkę miał w porządku. Zbierał materiały do napisania książki.

- Kogo pan reprezentuje? - zapytano go.

- „Field and Stream” - odparł.

Poczułem, że już nie będzie więcej błaznował. Wielu ludzi zabawnych z natury, którzy chcą pomóc Przegrany, już nie błaznuje. Wreszcie odkryli, że sztuczki kłownów ani nie zwalniają ruchów, ani nie psują trybów okrutnej maszyny społecznej. Wręcz służą jako smar.

Co jakiś czas ktoś mi mówi, jaka to ironia historii, że błazni często okazywali się najbardziej efektywnymi rewolucjonistami. To nieprawda. Okrutna machina społeczna w przeszłości tak bardzo potrzebowała smaru, że wręcz sama ich wytwarzała. Pomyślcie o hiszpańskiej inkwizycji.

Kiedy inkwizytorzy mieli kogoś spalić żywcem na rynku, najpierw golili go dokładnie. Torturowali tak długo, że gadał bzdury, ubierali w

szpiczastą, kretyńską czapkę i idiotyczny, papierowy płaszcz. Twarz ofiary malowano lub zakrywano maską.

Oto on! Błazen!

Cała rzecz polegała oczywiście na tym, żeby ofiara wyglądała śmiesznie, a nie żałośnie. W okrutnej machinie społecznej litość jest jak rdza.

Nie twierdzę, że amerykańscy Wygrani mają zamiar palić żywcem na rynkach amerykańskich Przegranych - chociaż nie byłoby to nic nowego. Twierdzę, że Wygrani dążą do zaniedbywania Przegranych, co jest również okrutne.

A zaniedbywanie staje się łatwiejsze, gdy tylko ofiary czy ludzie ich reprezentujący wyglądają jak kłowni. Gdyby ludzie wyglądający na błaznów nie przyjechali do Miami Beach rozrabiać w trakcie konwencji, wystarczyłoby tych błaznów, którzy występowali na kartach komiksów i tekstów publikowanych na potrzeby kampanii - lesbijki w wysokich skórzanych butach, mizdrzący się homoseksualiści, zaćpani, szalejący hippisi, prostytutki jadące cadillakami do urzędu zatrudnienia; wielkie, grube, murzyńskie mamuśki z trzynaściorgiem dzieci i ani śladu po tatusiu.

Oto wiadomość z „First Monday”, oficjalnej broszury partyjnej:

„Lider yuppich Jerry Rubin, poplecznik senatora George’a McGoverna już »przystał« wierzyć, że ludzie powinni zabijać rodziców, by okazać swe zaangażowanie w dokonanie zmian.”

I tak dalej.

A ci Indianie w hotelu „Fontainbleau” trwali bez słowa i bez ruchu,

bo ich bracia umierali z powodu zaniedbania i świetnie wiedzieli, że nawet jeśli kichną, to jacyś ludzie wykorzystają to, by skreślić ich jako błązających czerwonoskórych.

I przez swoją przerażoną godność narazili się na to, że popadną w komizm.

■w-

Indianie zostali zmiażdżeni przez Białych podczas niesprawiedliwych wojen napędzanych chciwością. Dano im do wyboru śmierć lub bezwarunkowe poddanie, czyli życie w straszliwych warunkach. Ci, którzy wybrali życie, przez niektórych uważane za rzecz świętą, teraz proszą o miłosierdzie. Przeciętna wieku wynosiła zaledwie czterdzieści sześć lat. Niemowlęta umierały ze straszliwą regularnością. Ukradziono im prawa do korzystania ze źródeł wody. Najlepsi ogłupieli od gruźlicy, narkotyków i wody. W rządowych szkołach nie uznawano indiańskich zasad moralności, podobnie jak ignoruje się je w prawodawstwie białego człowieka. Jedną z rzeczy, o którą Indianie przyszli błagać prezydenta Nixona, a nigdy nikogo o nic nie błagali, to by w oczach prawa ich religie zostały uznane za wyznania godne szacunku.

Powiedzieli mi, że w myśl obecnego prawa ich religie stanowią ciemne przesady warte funta kłaków.

Oto moje zdanie: ich religie po prostu nie mogą być bardziej chaotyczne niż chrześcijaństwo wymyślane na nowo każdego dnia przez dr. D. Eltona Trueblooda, profesora w Large.

■fr

Najwięcej rozmawiałem z Małym Ronem z plemienia Chipe-wa. Powiedział, że przybył razem z innymi delegatami z całego kraju do Ramingo Park w Miami Beach, gdzie Przegrani i ich przyjaciele zbudowali miasteczko namiotowe. Natychmiast się stamtąd wyprowadzili, bo kłowni byli przerażający i budzący obrzydzenie.

Pojechali do rezerwatu Indian w Hollywood, parę mil na północ od Miami, gdzie szanowano godność i święte zasady Indian. Nie chcą, by reprezentowali ich jacyś zarośnięci, biali młodzieńcy, którzy są gotowi podpalić flagę i oddać na nią mocz w imieniu wszystkich uciskanych ludzi.

Mały Ron opowiedział mi bardzo zabawne indiańskie anegdoty bez cienia uśmiechu. Przybyli razem do „Fontainebleau” z petycją do pana Nixona i nikt zajmujący ważną pozycję nie chciał jej przyjąć. Zostali zignorowani.

Ale wtedy zobaczyli ludzi ustawiających się w kolejki. Córki prezydenta miały rozdawać autografy. Więc Indianie też ustawili się w kolejkę i cierpliwie czekali. Indianie są słynni ze swej cierpliwości.

Kiedy wreszcie dotarli przed oblicze Patrici czy Julie - nie byli pewni której córki - dali jej petycję dla taty.

A tego wieczoru jej tato, gdy przyjmował nominację, powiedział między innymi: „Nie pożądamy ziemi innych. Nie dążymy do panowania nad innymi. Pragniemy pokoju nie tylko dla siebie, ale dla wszystkich ludzi na świecie”. Tak samo powiedział w rosyjskiej telewizji w maju.

Jako gość z innej planety stwierdziłbym, że to było tylko coś w

rodzaju prawdy. Myślę o tych wszystkich Wygranych na prywatnych przyjęciach dla Wygranych, na które poszedłem, i o ich sposobie życia i trosce, jaką otaczają swoje finanse. Chcą jeździć po całej planecie, żyć, gdzie im się spodoba i kupować, co tylko im wpadnie w oko.

Cóż może być bardziej ludzkie?

Chcą być arystokratami całej planety, wszędzie witanymi serdecznie.

Powtórzę: cóż może być bardziej ludzkie?

W zbliżeniu Ameryki i Chin chyba najbardziej cieszy ich to, że być może wkrótce znów będą mogli tam podróżować. To również budzi mój zachwyty.

Jeśli naprawdę spodoba się nam jakaś część Chin, to może zbudujemy tam domek albo motel, albo punkt sprzedaży Colonel Sanders Kentucky Fried Chicken.

Nie pożądamy ziemi innych. Tylko chcielibyśmy trochę kupić albo wydzierżawić - a wtedy wszyscy się wzbogacą.

Gdybym był gościem z innej planety, to wysyłając wiadomości na temat Ziemi, nie nazywałbym Amerykanów Amerykanami. Dałbym im nazwę, która od razu wiele by o nich mówiła: nazwałbym ich Pośrednikami.

a

Republikanów nazwałbym Lepszymi Pośrednikami, a Demokratów Gorszymi. W trakcie niedzielnego nabożeństwa Lepszych Pośredników zafascynowała mnie jedna rzecz: że wśród mówców znalazł się pułkownik Frank Borman. Sprawiał wrażenie równie zmęczonego cyrkiem w przestrzeni, jak Abbie Hoffman błaznowaniem. Zrobił swoje, czyli przeczytał o dziele Stworzenie z Księgi Rodzaju i tyle.

W trakcie konwencji Lepszych Pośredników brakło zachwyków w stylu Kennedy'ego nad wspaniałymi perspektywami Ameryki w przestrzeni kosmicznej.

Skoro na konwencję przybyło mnóstwo Republikanów dość głupich, by wierzyć, że McGovern jest rzeczywiście entuzjastą narkotyków, amnestii i aborcji, mogą spokojnie zakładać, że byli równie głupi, by w pewnej chwili oczekiwać świetnych posiadłości na Księżycu za grosze.

Wysłali tam paru dobrych Republikanów, żeby się rozejrzeli, skorzystali z okazji, pomodlili, zagrali parę partii golfa i teraz już wiedzą lepiej. Nawet Przegrani, z całą swoją pomysłowością wywodzącą się z lenistwa, nie potrafiliby przeżyć na Księżycu.

Więc nadszedł czas, by się znów poważnie zastanowić nad wydajnym wykorzystaniem Ziemi.

Dlaczegoż by się znów nie zaprzyjaźnić z Chińczykami, naszymi starymi znajomymi?

Może niegrzecznie postąpiłem, łącząc dr. Kissingera z szatanem. W tak religijnym kraju, jak nasz, nie można lekko traktować takich oskarżeń.

W niedzielę burmistrz Birmingham tak mówił o naszym narodzie:

Z NASZĄ PRACĄ, SUKCESAMI I PORAŻKAMI, TERAZ I W PRZYSZŁOŚCI, ZAWSZE BĘDZIE, JEŚLI BÓG POZWOLI JEDEN NARÓD W BOGU”.

W końcu dr Kissinger doprowadził do pojednania potęg mimo straszliwych podziałów między nimi. Ale rząd, któremu służy, źle traktuje

kraje, które są słabe albo „cichego serca”, by użyć określenia z Biblii króla Jerzego.

Lepsi Pośrednicy reprezentowani przez dr. Kissingera zawarli z paroma prawdziwie przerażającymi mocarzami na naszej planecie okrutną umowę ustalającą, co można, a czego nie wolno robić z ziemią ludzi „cichego serca”.

Plan Nixona-Kissingera, plan Wygranych, plan neometternicho-wski zdobycia trwałego pokoju jest prosty. Tak pojedyncze osoby, jak i wielkie narody, Przegrani i Wygrani, powinni przestrzegać jego podstawowego aksjomatu. W Wietnamie, Bangladeszu, Biafrze, obozach dla palestyńskich uchodźców, w naszych własnych gettach, w obozach pracy dla imigrantów, w rezerwatach dla Indian, w domach opieki dla upośledzonych, niedorozwiniętych i starych udowodniliśmy, że ten aksjomat jest skuteczny.

Oto on: ignoruj agonię.

■fr

Słusznie i bez ironii mógłbym nazwać Amerykanów Uzdrowicielami zamiast Pośrednikami. W trakcie konwencji rozmawiałem z Artem Linkletterem, który z zapałem oddaje się uzdrawianiu, a jest zupełnie typowym Amerykaninem.

Powiedział, że niedawno odwiedził Południową Koreę, gdzie parę lat temu pracował, by wynagrodzić krzywdy zadane dzieciom przez wojnę. Wyrosli na zdrowych i szczęśliwych ludzi. Pojechał także do Wietnamu, by pomóc dzieciom ze świeższymi ranami.

(W tym momencie muszę zrobić dygresję i stworzyć akronim, który mi się przyda: CZKAP. Podobny akronim, CAP, został ułożony w trakcie drugiej wojny światowej, równocześnie z OKAP. Znaczyły „Członek Armijnego Pieprznika” i „Okoliczności Klasyczne. Absolutny Pieprznik”. Mój niech znaczy „Członek Komunistyczno-Amerykańskiego Pieprznika”.)

Dzieci, którym Art Linkletter i wielu innych Amerykanów, pomagają lub chcą pomóc, to z pewnością ofiary CZKAP-u.

Skrzywdzeni ludzie obok, nasi nie zasługujący na to biedacy, w żadnym razie nie są ofiarami CZKAPU-u. Sami im wyrządziliśmy krzywdę. Mamy mało pieniędzy. Stać nas tylko na to, by im odrobinę pomóc, ale nawet to utaczanie krwi serdecznej boli Wygranych.

Mój bliski przyjaciel Dexter Leen, handlowiec w branży obuwniczej w Hyannis na przylądku Cod, zwykł co niedziela czytać „The New York Timesa”, potem wpadać do mnie i na podstawie lektury twierdzić, że wszystko powoli, ale stopniowo idzie ku lepszemu. Pamiętam, jak kiedyś rozmawialiśmy o naszej znajomej, która fatalnie prowadziła samochód. Było to w czasach, gdy wszystkie samochody miały figurki z przodu na masce i jak twierdził Dexter, ona jadąc nigdy nie odrywała od niej wzroku.

Wydaje mi się, że patrzeć na wiadomości z jednego dnia albo paru dni czy paru lat przypomina gapienie się na ozdobę na chłodnicy stutza bearcata. Dlatego wielu z nas chciałoby spotkać gościa z innej planety, który miałby szersze spojrzenie na nasz codzienny trud i mógłby nam podsunąć parę uwag na temat tego, co się rzeczywiście dzieje.

Moim zdaniem powiedziałby nam, że żaden prawdziwy Wygrany nie

boi się Boga ani nie wierzy w karę po śmierci. A Ziemianie przywiązują taką wielką wagę do prawdy, żeby im uwierzono, kiedy kłamią. Na przykład, ponieważ prezydent Nixon słynie z miłości do prawdy, więc mógł kłamać na potęgę wygłaszając podczas konwencji przemówienia po przyjęciu nominacji. Ta gra nazywa się „Przetrwanie”. Reszta to puste gadki.

Ten gość mógłby nam pogratulować dobrej znajomości leczenia ran zadanych planecie i ostrzec przed zrobieniem jej okropnej, nienaprawialnej krzywdy przy handlowaniu gruntami.

W formie pożegnania nasz gość mógłby zacytować to, co zdaje się być przesłaniem Karola Darwina. Może powinniśmy wyryć te słowa w kamieniu, dużymi literami, jak wystąpienie burmistrza Birmingham:

| WYGRANI WALCZĄ |
Z PRZEGRANYMI
I NIE MA WYJŚCIA.
FATALNE
PERSPEKTYWY

NA POKÓJ. 20

MYŚLI NIE DO POMYŚLENIA, SŁOWA NIE DO WYPOWIEDZENIA

ITrohibicja sprzedaży napojów alkoholowych w tym kraju była nazywana, między innymi, „szlachetnym eksperymentem”. Przyczyniła się

walnie do zniszczenia szacunku dla policjantów, którzy mieli wprowadzić w życie głupie i niepopularne prawa. Wojna w Wietnamie może być nazwana „szlachetnym eksperymentem II”, skoro jest podobnie ograniczonym ćwiczeniem w cnocie. Pozostawiła w nas utajoną i niesprawiedliwą pogardę dla naszych żołnierzy, a zwłaszcza lotników. Z upływem czasu ta pogarda będzie coraz mniej skryta.

W zaciszu domowym ludzie myślą rzeczy nie do pomyślenia i mówią słowa nie do wypowiedzenia, wyrzucają je z siebie bez złych intencji. Rozsądna kobieta powiedziała mi właśnie w prywatnej rozmowie, że naprawdę jej nie obchodzi, co się stanie z częścią naszych jeńców wojennych. Żałowała schwytych żołnierzy oraz lotników złapanych, gdy spieszyli oddziałom na pomoc. Ale inaczej odniosła się do lotników zestrzelonych w czasie bombardowania ludności cywilnej ze stratosfery; jej zdaniem nie powinni tego robić.

- Nie chciałam nosić bransoletki z nazwiskiem jednego z nich - powiedziała. - Ani modlić się o jego rychły powrót do domu. Przykro mi, ale nie.

Przypomniałem jej, że lotnicy za odmowę bombardowania obiektu mogą dostać wyrok więzienia.

- Powinni podać się do dymisji - odparła.

Poprzedniego wieczoru w telewizji oglądaliśmy filmy o ostatnio schwytych lotnikach i jej zdaniem wcale nie byli szlachetni.

- Poszli na ochotnika - ciągnęła. - Nie musieli tego robić. Są zdrowi, inteligentni i w kraju dobrze się im wiedzie. W życiu cywilnym mogli mnóstwo osiągnąć - argumentowała dalej. - Gdybym była Joaną Baez, to nie pojechałabym do nich z prezentami bożonarodzeniowymi i nie

śpiewałabym im piosenek.

Tak więc w zaciszu domu nie umiała już wierzyć w romantyzm, z jakim w przeszłości gorąco broniliśmy naszych żołnierzy: sentymentalne przekonanie, że są niewinnymi żołnierzami.

Zmieniliśmy naszych żołnierzy w potwory, bo daliśmy im potworne rzeczy do zrobienia.

Bardzo źle.

To dopiero eksperyment.

Dzięki Szlachetnemu Eksperymentowi I, którym była prohibicja, powstała odporna na wszystko i pozbawiona serca nowa klasa: gangsterzy-biznesmeni, i można się spodziewać, że przez co najmniej sto lat będą toczyć nasze społeczeństwo jak robak. Ciekawe, czy po Szlachetnym Eksperymentacie II zostanie nam podobna, natrętna dolegliwość. Kiedy gangsterzy raczkowali, zachęcaliśmy ich i podziwiali, a teraz wydaje mi się, że znów dodajemy ducha bezwzględny wojownikom w naszym otoczeniu.

Tak bym o tym pisał, gdybym tworzył literaturę science fiction:

„Działo się to w zepsutym, cynicznym kraju, gdzie roman-tyczność była martwa jak gwóźdź w drzwiach, tam powstała klasa krwiożerczych, świetnie opłacanych wojowników. I tak dalej. Nim się ludzie obejrzeli, a...”

I tak dalej.

Nie sądzę, by do tego doszło. Ale uważam, że nadal będziemy wybierać na wysokie stanowiska kołtuńskich, upartych ignorantów. Ich ślepy entuzjazm, który wyssali z mlekiem matek, doprowadzi nas do kolejnych, szlachetnych eksperymentów.

Ludzkość znów nie weźmie w nich udziału, bo większość nie pojmie ich sensu, a poza tym będą bolesne i bezużyteczne. W oczach szlachetnych eksperymentatorów ludzkość będzie przypominała popsutą maszynę. Kazań naszym policjantom i żołnierzom mocno w nią walić, to zaczną dobrze chodzić.

Eksperymentatorzy znów zmuszą naszych policjantów i żołnierzy, żeby się publicznie okryli niesławą. Wielka szkoda.

21

*PRZEMÓWIENIE NA PONOWNE OTWARCIE BIBLIOTEKI W
WHEATON COLLEGE*

Rok 1973

v_Fratuluję temu ukochanemu college'owi posiadania biblioteki. Jeśli nauczyciel czegoś zapomni, nie będzie musiał udawać, że jednak to wie. Może przyjść do biblioteki i sprawdzić albo skłonić studenta do sprawdzenia. W Wheaton nikt nie musi wymyślać faktów, chyba że jest zbyt leniwy, by żyć.

Spalenie biblioteki w Wheaton nie było intelektualną katastrofą dorównującą spaleniu biblioteki w Aleksandrii, Egipt. Znajdowało się tam wiele jedynych istniejących egzemplarzy dzieł. Od tego czasu nasza cywilizacja rozwinęła manię robienia duplikatów. Skoro istnieje tak wiele duplikatów, można więc powiedzieć, że nasza kultura jest ognioodporna.

Moim zdaniem bez obawy zaprzeczenia sobie mogę stwierdzić, że w

naszych książkach nie ma tylu bzdur, co w utraconych tomach aleksandryjskich. W tamtych czasach ludzie wierzyli w różne rzeczy, które po prostu nie były prawdą. Godna litości epoka.

Aleksandryjczycy wierzyli, że Świat jest centrum wszechświata. Nie wiedzieli, że maciupeńkie stworki i nieszczęśliwe dzieciństwo powodują wiele chorób. Walczyli nożami. To wszystko znajduje się w waszej bibliotece - opisy ludzi tamtych czasów. My też w niej jesteśmy. Co dzień pojawiają się nowe książki o nas. Jacy jesteśmy? Mieszanina dobra i zła.

Fascynuje mnie dobro i zło we mnie samym i w każdym człowieku, ale nie umiem już skłonić ludzi do rozmowy o tym. Wstydzą się za mnie.

Fascynuje mnie dobro i zło w waszej bibliotece.

Jeśli chodzi o dobroć, to moim amerykańskim rówieśnikom zdawało się, że w czasie drugiej wojny światowej byli bardzo, bardzo dobrzy. Dlatego, że zaangażowaliśmy się w sprawiedliwą wojnę. Większość ludzi nie doświadczyła tego wzniosłego uczucia. Niemal każda wojna kończy się jak należy: weterani czują się zdradzeni, niepotrzebni i winni, bo im się mówi, że zło kryło się po obu stronach barykady. Jednak weterani amerykańscy, brytyjscy, kanadyjscy, australijscy, Francuzi walczący po naszej stronie, po drugiej wojnie światowej nie usłyszeli nic takiego. Wprawdzie i tak byśmy twierdzili, że naziści byli źli, bo przecież przystąpiliśmy do walki z nimi. Zawsze tak się działo w czasie wojny, przynajmniej do niedawna, że trzeba było obwieścić szatańskie zło przeciwnika, żebyśmy na polu bitwy walczyli jak szaleni. Wyobraźcie sobie nasze zdumienie, gdy odkryliśmy, że nasi niemieccy wrogowie tym razem rzeczywiście okazali się diabłem wcielonym. W czasie pierwszej wojny światowej oskarżano ich, że z ludzi robili zupę i świece. Podczas

drugiej wojny światowej rzeczywiście to zrobili. Walczyliśmy z czymś zupełnie ohydny.

To było dla nas bardzo złe. W czasie wojny, jak przystało na żołnierzy, byliśmy niczym naiwne dzieciaki. Można było nam wszystko pakować w głowy i natychmiast w to wierzyliśmy. I jedno nam ciągle wkładano: że nasi wrogowie są tak okropni, tak szatańscy, że przez kontrast z nimi musimy być wyjątkowo czysti. To złudzenie czystości, do którego w pewnym stopniu mamy prawo, dziś stało się naszym przekleństwem. Dlatego chcę słać waszą bibliotekę, bo jest pamięcią ludzkości. Przypomina nam, że w pewnym stopniu wszystkie istoty ludzkie są nieczyste.

A mówiąc innymi słowami, to w pewnym stopniu wszystkie istoty ludzkie są chciwe, okrutne i wpadają w gniew bez powodu. Popatrzcie na mnie: za dwa dni skończę pięćdziesiąt lat. Wyobrażam sobie, że w ciągu pół wieku reagowałem na świat wokół mnie sprawiedliwie i z wrażliwością, wybuchając gniewem od czasu do czasu w uzasadnionych wypadkach. Ale ostatnio, dzięki pomocy lekarza, odkryłem, że złościłem się co dwadzieścia dni bez względu na sytuację. Stawałem się okrutny i wpadałem we wściekłość bez powodu. To jest zło we mnie. Jeśli kogoś z was przestraszyłem, to spieszę uspokoić, że Wezuwiusz ma wybuchnąć za sześć dni.

Nie jestem czysty. Nie jesteśmy czysti. Nasz naród też taki nie jest. I twierdzą uparcie, że amerykańska tragedia, najlepiej zilustrowana masakrą ludności cywilnej w My Lai, zasadza się na złudzeniu wywołanym drugą wojną światową: podczas walki zła z dobrem zawsze i zupełnie naturalnie stajemy po stronie dobra. Właśnie dlatego tak bez zahamowań korzystamy

z broni.

Gdy chodzi o broń, to ufamy sobie tak dalece, że w wielu amerykańskich domach trzyma się broń jak zwierzątko pokojowe. Zbyt wielu z nas traktuje strzelby z jowialną zażyłością. Na widok strzelby powinniśmy trząść portkami. To maszyny do zabijania. Wszystkie. Powinniśmy się ich obawiać, tak samo jak boimy się raka, cyjanku i krzesła elektrycznego.

Mój ojciec kolekcjonował strzelby. Trzymał je dobrze naoliwione. Zamieniał się z innymi wariatami zbierającymi broń - te maszynki do zabijania. W ten sposób udowadniał Indianapolis, stan Indiana, że nie jest mięczakiem, chociaż zajmuje się sztuką, bo pracował jako architekt. Ja po prostu wyjechałem z Indianapolis, co stanowi znaczny postęp w porównaniu z pluciem po kątach i zbieraniem strzelb. A cóż to ma wspólnego z biblioteką w Wheaton? Między innymi to, że znajduje się tu wiele informacji o broni, zarówno w książkach historycznych, jak i powieściach o twórczym używaniu materiałów wybuchowych oraz broni palnej.

Może się okazać, że takie wypaczające umysł historie i opowieści mają równie wiele wspólnego z amerykańskimi narodowymi wadami, co druga wojna światowa. Brak mi kompetencji, by występować w imieniu historyków, którzy koncentrują się na ewolucji ludzkiej przemocy, na analizie przebiegu wojen. Jednak mogę reprezentować powieściopisarzy i chciałbym przeprosić w ich imieniu. Zakończyliśmy wiele książek strzelaniną, konfrontacją i śmiercią, a miliony prostaczków przez pomyłkę wzięły nasze opowieści za modele współczesnego życia. Kończyliśmy nasze powieści konfliktem i śmiercią z lenistwa. Strzelanina to nie sposób

na życie, ale świetny koniec książki. Po Lee Harveyu Oswaldzie, Sirhanie Sirhanie i Arthurze Bermerze, by wymienić tylko paru, stała się czymś więcej niż zakończeniem książki. Dla im podobnych jest najbardziej pociągającym mitem, najszlachetniejszą lekcją moralną naszych czasów.

Jakie inne szkody wyrządzili pisarze? No cóż, znów trzeba zastrzec, że zrobili to nieświadomie, próbując rozwiązać pewne trudności techniczne nieodłącznie związane z ich rzemiosłem. Strzelanina to sposób na zakończenia powieści, co jest trudną sztuką. Inna niełatwa rzecz to utrzymanie zainteresowania czytelnika czy widza przez dłuższy czas. Odkryto, że widzowie chętniej śledzą akcję, jeśli nie muszą się przejmować w takim samym stopniu wszystkim postaciami. Dlatego autorzy budowali fabułę o bohaterach, których los był ważny oraz innych osobach, które było równie łatwo podmienić jak chusteczki higieniczne. Niektóre głuptasy również i to przyjęły za model w życiu. Łamiącym serce przykładem pomieszania fikcji z prawdziwym życiem było zarżnięcie bez różnicy wszystkich aktorów, występujących w rolach trzecioplanowych, podczas buntu w więzieniu w Attica, stan Nowy Jork. Postacie pierwszoplanowe były gdzie indziej, więc wysłano policję stanową, która strzelała ostro z broni automatycznej bez szkody dla przedstawienia.

■fr

Jakie inne, szalone pomysły podsuwamy ludziom przypadkowo? Wielu ciemnaków sądzi, że namawiamy do seksu. To oskarżenie trafiło pod niewłaściwy adres. Kto inny jest winny. Nie wymienię nazwisk. Dawno temu napisała do mnie moja teściowa, która mieszka w bloku dla

średniozamożnych wdów w Indianapolis. Poprosiła mnie, żebym ze względów ekonomicznych przestał używać w powieściach przekleństw. Napisała, że rozumie, iż dzięki brzydkim wyrazom miałem nadzieję sprzedać więcej egzemplarzy, ale osiągnąłem efekt wręcz przeciwny

- przynajmniej w jej bloku. Jej przyjaciółki nie kupowały moich książek właśnie z powodu przekleństw. W powieści, o której wspominała, umieściłem amerykańskiego żołnierza mówiącego tak jak mówią amerykańscy żołnierze i cieszyłem się, że wolno mi to robić.

W pewnym sensie też cieszę się z wolności szokowania starszych pań. A dziesięć czy więcej lat temu, kiedy studenci i niektórzy pisarze upierali się przy prawie do używania każdego cholernego słowa, na jakie mieli ochotę, wielu lękliwych ludzi uważało to za formę ataku. Mieli rację. Jestem pewien, że podstawowym celem wielu fanatyków wolności słowa było dowalić świętoszkom. To nieodmiennie świetna zabawa. Ale dzięki legalizacji tych wszystkich śmiesznych, czułych i brzydkich słówek narodziło się coś pięknego. Nie tylko zdobyliśmy wolność wymieniania każdej części ciała, na którą mamy ochotę, ale dzięki temu polepszyło się nasze zdrowie psychiczne i tak świetnie rozumie siebie, że staliśmy się maszynami. Ale możemy rozmawiać o wszystkim! Kiedy uczyłem się grzeczności pod okiem mej matki - niech jej dusza odpoczywa w pokoju i niech jej oko odpoczywa w pokoju

- zapamiętałem, że nie wolno mi obrażać ludzi omawiając wydalanie, rozmnażanie, religię oraz pochodzenie majątku danej osoby. Teraz możemy dyskutować na te wszystkie tematy. Dobry gust już nas nie kępuje. I teraz widzę, że do seksu i wydalania podczepiły się znacznie bardziej nikczemne tabu: hipokryzja na temat religii i bogactwa zdobytego

niemoralnie. Jeśli mamy szczerze mówić o tym, czym jest Ameryka i czym się może stać, to nasza dyskusja będzie szczytem złego wychowania albo wcale się nie odbędzie.

Zapewne pisarze tu i ówdzie przemycili do waszej biblioteki parę komunizujących idei. Wszyscy to robią przy sposobności. Chowają je wszędzie jak wielkanocne jajka czekoladowe, których się mozolnie szuka. Sam chciałbym, żeby praca i bogactwo były dzielone bardziej sprawiedliwie. „Każdemu wedle jego możliwości. Każdemu wedle jego potrzeb.” Cóż może być bardziej amerykańskie od tego? Cóż może być bardziej purytańskie? Fantastycznie pasuje, by je wypisać na Plymouth Rock.

Ale nie jestem ani marksistą, ani maoistą. Jestem artystą i moi najbliżsi przyjaciele to artyści, a w marksizmie i maoizmie czy pod władzą jakiegokolwiek monolitycznego dyktatora, wszyscy zostalibyśmy starci na miazgę. Nie chcę być starty na miazgę. Odwrotnie niż niektórzy moi koledzy, nie spodziewam się, że za jakiś czas Ameryka mnie zmiażdży. To konserwatywny kraj. Funkcjonuje bez zmian, na dobre czy złe. Będzie dalej źle traktował niebiałych ludzi. Zawsze tak robił. Dalej nie ograniczy swobody pisarzy, bez względu na ich poglądy. Mam szczęście, bo urodziłem się biały i wybrałem taki fach. To miejsce dla mnie.

Jeśli chodzi o plany ulepszenia Ameryki, to wymyśliłem jeden. Duże rodziny w stabilnym środowisku lepiej niż rząd opiekują się swymi członkami. Jeśli chodzi o ostatnie wybory, to byłem po stronie McGoverna i zasłużyliśmy na porażkę.

Tutaj świat się nie kończy. Może świat kończy się w Wietnamie.

Moim zdaniem w każdym człowieku drzemie wielkość. Wydaje mi się zupełnie możliwe, że nawet ta ofiara losu, Richard Nixon, może się stać wielkim człowiekiem. Musiałby zniszczyć zło w sobie, co trzeba przyznać, jest u niego wbrew konstrukcji. To również nasze zadanie.

W jednym z ostatnich felietonów William F. Buckley napisał, że bardzo się ucieszę z politycznej przegranej Nixona, ponieważ zbudowałem karierę na pogardzaniu Ameryką. To dowodzi, że nie czytał wielu moich książek. Powiedział także, że zarabiam pieniądze na mówieniu o miłości. Tymczasem wielce podejrzliwie podchodzę do miłości i moja pełna biografia to udowodni. Kiedy ktoś do mnie mówi: „Kocham cię”, czuję się, jakby mi przystawiono pistolet do głowy. Czy w takiej sytuacji można powiedzieć coś innego, niż to, czego domaga się osoba trzymająca broń? „Też cię kocham.” Niech szlag trafi miłość i niech żyje coś innego, czego ani nie potrafię nazwać, ani opisać. Powróćmy znów do dobra i zła, i waszej biblioteki. Zebrane tu książki, filmy, kasety, taśmy i obrazy pochodzącej z lepszej części istot ludzkich, które często, w normalnym życiu, są pod wieloma względami godne nagany. Najlepszy znany mi przykład dobra wywodzącego się ze zła, to całe humanistyczne piarstwo Louis-Ferdinanda Celinę’a, francuskiego lekarza i pisarza, który po drugiej wojnie światowej stanął przed sądem jako zbrodniarz wojenny. Louis-Ferdinand Celinę to jego pseudonim. Naprawdę nazywał się Louis-Ferdinand Destouches. Był synem biedaków. Większość dorosłego życia spędził jako kiepsko opłacany doktor leczący ubogich. Czytałem jego wczesne powieści nic nie wiedząc o jego zjadliwym antysemityzmie. Tam go brak. Treść tych książek przekonała mnie i wielu innych, że mamy do czynienia z wielkim człowiekiem.

Rzeczywiście miałem do czynienia z wielkością w tym człowieku, z dobrocią, którą znajdował przeszukawszy dokładnie siebie. Niech tak będzie. Już nie żyje. Kocham dobrą część jego natury. Umarł śmiercią naturalną pierwszego czerwca 1961 roku. Ciekawa rzecz, bo Ernest Hemingway zastrzelił się tego samego dnia.

To jest koniec mojego przemówienia. Dziękuję.

22

ZAPROŚCIE RITĘ RAIT DO AMERYKI!

ę, żeby Rita Rait (wymawiane jak Wright) jak najszybciej została zaproszona przez nasz rząd i parę uniwersytetów do Stanów Zjednoczonych. W Związku Radzieckim propaguje i tłumaczy między innymi Williama Faulknera, J.D. Salinger, Johna Updike'a, Franza Kafkę, Annę Frank, Roberta Burnsa.

Pani Rait nigdy tu nie była i chciałaby przyjechać, a ja chcę, by ludzie pokazali jej kraj Faulknera i kraj Salinger i urządzili jej fantastyczny pobyt. Łatwo jest ją ucieszyć. W październiku ubiegłego roku patrzyłem, jak wpadła w ekstazę w Paryżu. Działo się to w trakcie jednej z czterech podróży, jakie odbyła poza ojczyznę w ciągu blisko siedemdziesięciu pięciu lat życia. Pokazała mi Wersal, który dla nas obojga był zdumiającą nowością. „Zrobię Ci z niego prezent”, powiedziała. Jej angielski jest wspaniały.

Jej zdrowie również. Także gust literacki. Tłumacze w ZSRR znajdują ich zdaniem dobre książki w obcym języku, a potem muszą namówić rząd do publikacji. I kiedy się zastanowić nad książkami, które dzięki Ricie Rait są czytane przez jej rodaków, trzeba przyznać, że nikt nie zrobił tyle dla międzynarodowego porozumienia na głębszym poziomie, co ona. Byłbym zachwycony, gdyby wspomniano o tym w podręcznikach historii.

Żyje już długo i poznała wielu sławnych ludzi. Urodziła się przed rewolucją. Zrobiła dyplom z psychologii u Pawłowa. Pomyślcie tylko o tym. Jest wdową po kapitanie łodzi podwodnej, który niezbyt cenił literaturę. Szanowała jego brak entuzjazmu.

I kiedy tu przyjedzie, jeśli oczywiście przyjedzie, szybko się okaże, jak mało się interesuje i właściwie zupełnie nie zna na polityce i ekonomii. Jej żarliwe oceny różnych radzieckich pisarzy nie mają nic wspólnego z tym, czy są faworyzowani przez władze. Obchodzi ją tylko, czy potrafią dobrze pisać.

Jak i wielu innych ludzi, łatwo ją zawstydzić, i z przyjemnością ją zawstydziałem, mówiąc o pirackich wydaniach książek, praktyce niezwykle powszechnej w ZSRR. Polega na tym, że zagraniczne książki są publikowane bez zgody autorów. Tak się zdarzyło z wieloma moimi powieściami, nawet nie zostałem poinformowany o ich wydaniu. Obrzydliwość polega na tym, że honoraria oparte na Bóg wie jakich zasadach są wpłacane na tajne konta, również Bóg wie gdzie. Plotka głosi, że autor może wydać te pieniądze tylko w ZSRR. Jedno jest prawdą: nie można ich dać Sołżenicynowi. Graham Green próbował to zrobić dawno temu i oczywiście mu się nie udało.

Inne kraje socjalistyczne zawierają bardziej uczciwe i jawne umowy. Powiedziałem Ricie Rait, że tylko Tajwan traktuje zagranicznych pisarzy równie obraźliwie jak ZSRR. Przejęła się.

- Tylko Tajwan - powtórzyła. - Powiem im.

Sądzę, że to zrobiła. Nie bała się powiedzieć im, żeby wydali Kafkę, więc nie wahałaby się i tego im powiedzieć.

A Rosja zapewne kiedyś poprawi swe maniery, jeśli idzie o prawa autorskie. Moim zdaniem możemy poczekać. Ale czekając powinniśmy okazać nasze dobre maniery, zapraszając Ritę Rait, by nas obejrzała, nim zestarzeje się za bardzo, by w ogóle podróżować. Trzeba uporać się z biurokratyczną machiną. Jeśli dobrze zrozumiałem, to znane uniwersytety powinny ją zaprosić na naukowe, poważne spotkania. Nasz Departament Stanu też musi wyrazić zadowolenie z przybycia tak wybitnego gościa. Szukam właściwych urzędów, które wiedzą, jak takie rzeczy załatwiać. Byłbym zachwycony, gdyby ze swej strony właściwie urzędy skontaktowały się ze mną.

Ale jedna uwaga: Rita nie uwielbia Dostojewskiego. Ani nie uważa, że ostatnia powieść *Sołżenicyna* jest tak świetna, jak sądzi wielu cudzoziemców. Ale jego poprzednie powieści przekonały ją, że ZSRR powinien być z niego dumny jako z pisarza. Jakim jest tłumaczem? Znawcy zapewnili mnie, że pierwszej wody. W Rosji „*Buszujący w zbożu*” jest jednym z największych bestsellerów wszech czasów. Podobnie jak osobom piszącym dla „*Timesa*”, nie wolno jej było użyć wyrażenia „*Odp... się*”, ale z dumą znalazła starorosyjski zwrot, który jest tak niezwykły, że nie został oficjalnie uznany za przekleństwo. Nikt nie zaprotestował i książka została wydana tak jak ją przetłumaczyła. Ku jej

zadowoleniu, to niezwykle wyrażenie użyte w kontekście arcydzieła Salinger'a jest, jej zdaniem, tak obraźliwe, jakby sobie tego życzył autor.

23

*WYSTĄPIENIE NA KONFERENCJI PEN W SZTOKHOLMIE, W
1973 ROKU*

W moim kraju dziennikarze i nauczyciele są straszeni bądź wyrzucani z pracy za mówienie pewnych rzeczy. Ale autorzy powieści, sztuk, opowiadań i wierszy nigdy nie byli prześladowani ani zbytnio kneblowani. Nie zwracają na nich uwagi rządy federalne, lokalne czy stanowe, bez względu na ich zuchwalstwa, bluźnierstwa czy ujawnienie tajemnic. Tak się dzieje już od blisko dwustu lat.

Jeśli tyrania zawita do mojego kraju, który już się zestarzał (a moim zdaniem tyrania może się zjawić zawsze i wszędzie), sądzę, że będę nadal pisał, co mi się podoba, bez narażania się na niebezpieczeństwo, o ile będę tworzył beletrystykę. Podejście amerykańskiej władzy do fikcji literackiej od 1776 roku zdaje się zawierać w chyba pierwszym wierszu, którego nauczyłem się na pamięć. Musiał mi go powiedzieć jakiś kolega. Brzmi następująco:

Kije i kamienie

Połamię mi golenie

Ale słowa rzucasz na wiatr

Wiem, że w wielu krajach panuje przekonanie, jakoby beletrystyka mogła znacznie zaszkodzić porządkowi społecznemu. Pod terminem

beletrystyka rozumie wszelką spisana relację z tego, co się dzieje w głowie autora, w przeciwieństwie do codziennych wiadomości. Pisarze w rodzaju Heinricha Bölla, są wtrącani do więzień, wsadzani do domów obłąkanych, skazywani na emigrację, a nawet czasem zabijani - wszystko za umieszczenie szczególnych słów w szczególnym porządku. Politycy, którzy robią takie rzeczy pisarzom, winni się nauczyć na przykładzie amerykańskim, że nie są tylko okrutni. Są także niedorzeczni. Beletrystyka jest nieszkodliwa. To tylko pusta gadanina.

Dowiodła tego wojna w Wietnamie. W rzeczywistości każdy amerykański pisarz był przeciwko naszemu udziałowi w wojnie domowej. Przez lata biliśmy na alarm w powieściach, wierszach, sztukach i opowiadaniach. Zrzuciliśmy na nasze zadowolone z siebie społeczeństwo literacki równoważnik bomby wodorowej.

Opiszę teraz państwu siłę takiej bomby. Ma siłę wybuchu bardzo dużego ciasta z kremem bananowym - ciasta o średnicy dwóch metrów i wysokości dwudziestu centymetrów - zrzuconego z wysokości około dziesięciu metrów lub więcej.

Moim zdaniem powinniśmy teraz użyć tej budzącej lęk broni przeciwko ONZ albo innej organizacji czuwającej nad światowym pokojem, na przykład CIA.

Czego tyrani, mali i duzi, na razie dowiedzieli się z mojego wystąpienia? Że pisarze są nieszkodliwi. Bez obaw można im dać wolność, jaką cieszą się ptaki: niech śpiewają, co im się podoba, skaczą i latają. Brutalne władze na całym świecie powinny nauczyć się na pamięć tego wiersza i z radością recytować go każdego ranka:

Kije i kamienie

Połamię mi golenie

Ale słowa rzucasz na wiatr

Tak oto kończy się oficjalna część mojego wystąpienia.

Ale mam jeszcze parę słów do was, moi koledzy. Proszę, nie powtarzajcie ich poza tą salą. Chociaż to prawda, że nam, amerykańskim pisarzom, nie udało się zmienić biegu wojny, to mamy powody, by podejrzewać, że zatruliśmy umysły tysięcy, a może nawet milionów młodych ludzi w Ameryce. Żywimy nadzieję, że dzięki tej truciznie będą gorzej niż bezużyteczni w niesprawiedliwych wojnach.

Zobaczmy.

Niestety, pozostaje jeszcze wielu Amerykanów, którzy niewiele czytają i mało myślą, oni będą niezwykle użyteczni w prowadzeniu niesprawiedliwych wojen. Na myśl o tym dostajemy mdłości. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

Większość znanych mi pisarzy na całym świecie robi, co w ich mocy. Muszą. Nie mają wyboru. Wszyscy artyści to wyspecjalizowane komórki w wielkim organizmie, jakim jest ludzkość. Te komórki muszą się tak zachowywać, podobnie jak komórki w naszych sercach czy czubkach palców zachowują się zgodnie ze swym przeznaczeniem.

Na tej sali zebrało się trochę wyspecjalizowanych komórek. Nasze zadanie polega na tym, by ludzkość zdała sobie sprawę z siebie samej i ze swej złożoności oraz aby snuć jej marzenia. Nie mamy wyboru.

Ale nasza sytuacja jest bardziej skomplikowana. W tym gronie chyba

możemy przyznać się przed sobą, że naprawdę nie piszemy tego, co piszemy. A przynajmniej nie robimy tego najlepiej. Najlepsze teksty biorą swe elementy składowe, energię i pełnię spoza nas. Tak się składa, że rzeźbiarze czują to silniej od pisarzy. Każdy znany mi rzeźbiarz czuł, że jakiś duch brał we władanie jego ręce.

Skąd pochodzą te zewnętrzne impulsy? Myślę, że z innych, wyspecjalizowanych komórek organizmu. Wszystkie pozostałe komórki dają nam energię i elementy składowe, by dzięki nam wzrosła samoświadomość organizmu i by snuł swe marzenia. przekonaniu jesteśmy niesłuchanie wpływowi, chociaż większość szefów państw, również USA, pewnie nie słyszała o większości z nas. Nasz wpływ jest subtelny i powolny, a głównie odczuwa go młodzież. Łakną mitów, które współgrają z misteriami ich czasów.

Dajemy im te mity.

Będziemy wywierali wpływ, gdy słuchający naszych mitów staną się wpływowi. Ludzie rządzący nami teraz żyją zgodnie z mitami stworzonymi dla nich przez pisarzy za ich młodości. Wyraźnie widać, że nasi liderzy nie kwestionują tych mitów nawet przez chwilę wyrwaną z pełnej zajęć codzienności. Módlmy się, aby ci straszliwie wpływowi pisarze, którzy stworzyli naszych wodzów, byli ludzcy.

Dziękuję.

Ale jeśli cały organizm sądzi, że to, co robimy, jest ważne, to dlaczego nie wywieramy większego wpływu? W moim

M,

Lartwię się o zdrowie dr. Huntera Thompsona. Myślę, że powinienem tak się zachować. Wydaje się, że z grona Nowych Dziennikarzy właśnie on najbardziej cierpi na twórcze szaleństwo i nadwrażliwość, a w tekście umieszcza tu i ówdzie alarmujące informacje o swym zdrowiu. Jego choroby nie są wymyślone. W swej ostatniej książce przytacza opinię lekarza: „Nie widział wcześniej tak fatalnego przypadku nerwicy lękowej. Powiedział, że jestem o krok od całkowitego umysłowego, fizycznego i emocjonalnego załamania”.

Dlaczego nam o tym pisze? Cóż to może być innego, jak tylko wołanie o pomoc? I jak mu możemy pomóc? Oczywiście on sam próbuje sobie pomóc. Zupełnie nie przypomina George’a Orwella, który podobno obojętnie podchodził do walki z chorobą. Thompson, jeśli mu wierzyć, wypróbował całą gamę legalnych i nielegalnych środków, podejmując heroiczne próby polepszenia samopoczucia. W innej książce, „Fear and Loathing in Las Vegas” („Strach i nienawiść w Las Vegas”) pisze, że bagażnik wynajętego czerwonego chevroleta kabrioletu: „...wyglądał jak policyjne laboratorium narkotyczne na kółkach. Mieliśmy dwie torby trawki, siedemdziesiąt pięć drażetek wyciągu z agawy, pięć płatków sprasowanej meskaliny o wy-

* Recenzja książki „Fear and Loathing: On the Campaign Trail ‘72” („Strach i nienawiść: na szlaku kampanii ‘72”) dr. Hubtera S. Thompsona”. sokim stężeniu, pół solniczki kokainy i całą tęczę

wielobarwnych pigulek: uspokajających, na pobudzenie, rozpacz i radość, a także kwartę tequili, kwartę rumu, skrzynkę budweysera, pół kwarty nie oczyszczonego eteru i dwa tuziny amytalu”.

Powtórzę pytanie: jak mu możemy pomóc? Znam go tylko dzięki jego książkom, które są świetne, szlachetne i wrażliwe. Na ich podstawie można stwierdzić, że rzeczywistość go zabija, bo jest tak brzydka i tandetna. W ostatniej książce wyobraził sobie, że rzeczywistość, a potem jego zdrowie, ulegnie poprawie, jeśli urzędy w tym kraju obejmą zacni ludzie i zajmą się sumiennie rozwiązywaniem problemów naszych czasów. Tak pisał zbierając siły do śledzenia ostatniej kampanii prezydenckiej:

„Odbyłem już trzy kampanie prezydenckie, ale minęło dwanaście lat od chwili, gdy patrzyłem na kartę do głosowania i widziałem nazwisko, na które chciałem oddać swój głos... Teraz, kiedy zanosi się na kolejną, pozorowaną wielką potyczkę, już mogę wyczuć smród kolejnego łajdaka.”

Opisywał kampanię dla pisma „Rolling Stone”. Jego koszmary ilustrował Ralph Steadman, który magicznie stał się tak samo integralną częścią pracy Thompsona, jak sir John Tenniel w książkach „Alicja w krainie czarów” i „Po drugiej stronie lustra”. I kiedy kampania się zakończyła, Thompson był bardziej wykończony niż zwykle, stwierdziwszy, że McGovern był zbyt pospolitym Demokratą, za bardzo szedł na kompromis, by porwać Amerykanów marzeniami o wielkości, odrodzeniu i reformie. Dla Thompsona zamykającym wydarzeniem był Super Bowl. Kiedyś był sprawozdawcą sportowym, jak James Reston, którego nazywa „tańczącym kalwinistą”, i jego najlepsze metafory wywodzą się z zawodów sportowych. Tak się składa, że Duane Thomas,

niemy, czarny, bezrobotny obrońca stanowi wedle Thompsona naprawdę wspaniały przykład obywatela amerykańskiego.

I kiedy zakończył się Super Bowl, a także kampania oraz książka o kampanii, Thompson pochopnie zadzwonił z kpinami do Franka Mankiewicza, najbardziej entuzjastycznego stratega McGoverna. i wtedy: „Odłożyłem słuchawkę i napiłem się jeszcze dzinu. Potem włączyłem płytę Doiły Parton i patrzyłem, jak wiatr targa drzewami za balkonem. Koło północy, kiedy przestało padać, założyłem moją specjalną koszulę nocną z Miami Beach i poszedłem wzdłuż La Cienega Boulevard parę przecznic do Klubu Przegranych”.

Wierzą, że Amerykanie z łatwością i w sposób naturalny zachowują się sprawiedliwie i po bratersku. To złudzenie - jeśli jest złudzeniem - stanowi podstawę dobrego samopoczucia intelektualnego Nowego Dziennikarza. Jakiegokolwiek odejście od tej normy jest postrzegane jako zadawanie ran lub choroba. Dlatego obecna atmosfera w Ameryce wydaje im się słynną torturą opisaną przez Orwella, kiedy ofierze krępuje się ręce i głowę umieszcza w klatce. A do klatki wpuszcza się głodnego szczura.

W tej najnowszej książce z serii „Fear and Loathing” („Strach i nienawiść”) jest mnóstwo informacji. Na przykład Thompson sugeruje, że to nie McGovern złożył zabójcze oświadczenie „Na tysiąc procent popieram Toma Eagletona”. Mógł to zrobić Eagleton, twierdząc potem, że powiedział to McGovern. A Thompson gardzi Eagletonem równie mocno jak uwielbia Duane’a Thomasa. Między innymi nazywa senatora „kłamającym oportunistą”, „wynajętym pismakiem”, „jeszcze jedną tanią

dziwką”.

Takie wyzwiska zacytowane w recenzji dają przykład dziennikarstwa równie godnego pogardy jak zaatakowana osoba. Ale w kontekście długiej i zaangażowanej książki potknięcia tego rodzaju wydają się niemal piękne. Co ciekawe, są tak żywiołowe i groteskowe, że nie mogą zaszkodzić Eagletonowi. Wbrew opinii wielu odpowiedzialnych ludzi, jestem niezwykle wdzięczny Nowemu Dziennikarstwu. Moim zdaniem stanowi literacki odpowiednik kubizmu: łamie wszystkie zasady, pokazuje nam obrazy, jakich wcześniej nie malowali dojrzały, dobrze wyszkoleni artyści, a jednak w tych szalonych, nowych obrazach dostrzegamy jaśniejsze nowe aspekty ukochanych, starych prawd.

Mogę to wyrazić bardziej makabrycznie, porównując ich do torturowanych ludzi, którzy rzucają się i mówią rzeczy, jakich by w normalnych warunkach nigdy nie powiedzieli: Nowi Dziennikarze to populiści krzyczący z bólu.

Nie chciałbym twierdzić, że atmosfera w Ameryce jest aż tak przerażająca. Upieram się tylko, że mamy pośród nas ludzi w rodzaju Huntera Thompsona, którzy są nadwrażliwi. Wszyscy inni czują się właściwie dobrze, po prostu dobrze.

Wszystkim zaś, którzy chcą się więcej dowiedzieć o Thompsonie i jego ideach, jego zszarpanym systemie nerwowym, pragnieniu samozniszczenia i całej reszcie, oświadczam, że nie można go streścić. Jest jednym z nielicznych, amerykańskich autorów, których trzeba przeczytać. Ze starannie dobranych śmieci tworzy interesujące, ruchome kolaże. Trzeba to poznać z pierwszej ręki, nie da się ich parafrazować.

Jeśli zaś chodzi o prawdę na temat jego zdrowia, to rozpytałem tu i ówdzie. Powiedziano mi, że sprawia wrażenie silnego i rumianego, nieodmiennie zdrowego na umyśle. Ale moim zdaniem postąpimy zgodnie z jego intencją, jeśli uznamy jego wygląd za rodzaj fasady w duchu Dodana Graya. Od wewnątrz bowiem zjadają go żywcem politycy-hochsztaplerzy.

Ta choroba jest śmiertelna. Nie ma na nią lekarstwa. Jedyne, co możemy zrobić dla biedaka, to nazwać chorobę na jego cześć. Niech od tej chwili o wszystkich, którzy uważają, że Amerykanów można równie łatwo pociągnąć do piękna, jak i do brzydoty, do pracy, jak i do *public relations*, do radości, jak i do goryczy, mówi się, że cierpią na chorobę Huntera Thompsona. Dziś rano jej nie miałem. Pojawia się i znika. Dziś rano nie miałem choroby Huntera Thompsona.

25

WYWIAD DLA „PLAYBOYA”

„PLAYBOY”: Dlaczego Pan pisze, oczywiście poza tym, że w ten sposób dobrze Pan zarabia na życie?

VONNEGUT: Ze względów politycznych. Zgadzam się ze Stalinem, Hitlerem i Mussolinim, że pisarze powinni służyć społeczeństwu. Od dyktatorów różni mnie odpowiedź na pytanie, jak mianowicie powinni to robić. Moim zdaniem przede wszystkim powinni - i biologicznie muszą - być przyczyną zachodzących zmian. Mamy nadzieję, że na lepsze.

P.: Biologicznie?

V.: Pisarze to wyspecjalizowane komórki w organizmie społecznym. To komórki ewolucji. Ludzkość próbuje stać się inna i przez cały czas eksperymentuje z nowymi pomysłami. A pisarze służą do tego, by wprowadzać do społeczeństwa nowe pomysły, a także by symbolicznie odpowiadać życiu. Nie sądzę, że panujemy nad własnymi działaniami.

p.: Co je więc kontroluje?

V.: Pragnienie ludzkości, by się ulepszać.

p.: W darwinowskim sensie?

v.: Nie jestem szczególnie wdzięczny Darwinowi, choć podejrzewam, że miał rację. Pod wpływem jego teorii ludzie stają się bardziej okrutni. Darwinizm mówi im, że chorym należy się choroba, a osoby, które popadły w kłopoty, widać sobie na to zasłużyły. Kiedy ktoś umiera, okrutni darwiniści wyobrażają sobie, że w jakiś sposób cała ludzkość się ulepszyła. A każdy, kto odniósł sukces, dokonał tego, bo jest wyższym zwierzęciem. Tak wygląda społeczny darwinizm ubiegłego stulecia, który nadal kwitnie. Ale dajmy spokój Darwinowi. Pisarze to wyspecjalizowane komórki, które robią swoje; równocześnie przez nas wypowiada się całe społeczeństwo

- tak samo jak komórki zmysłów na powierzchni pańskiego ciała służą całemu ciału. I kiedy coś potężnego zagraża całemu społeczeństwu, najczęściej to my bijemy na alarm. Wedle mojej teorii sztuka pełni rolę kanarka w kopalni. Jak wiadomo, górnicy kiedyś brali ze sobą na dół kanarki, żeby wyczuwały obecność gazu, nim ludzie się pochorują. Artyści z pewnością spełnili tę funkcję przy okazji Wietnamu. Zaświergotali i padli. Ale to nie zrobiło najmniejszej różnicy. Nikt ważny się tym nie przejął. Jednak nadal sądzę, że powinno się cenić artystów

- wszystkich artystów - jako systemy alarmowe. P.: I reformatorów społecznych?

v.: Mam wiele pomysłów, jak bardziej uszczęśliwić i lepiej zadbać o Amerykanów.

P.: W niektórych Pańskich książkach - zwłaszcza w „Syrenach z Tytana” i „Rzeźni numer pięć” - pojawia się poważne przekonanie, że wszystkie chwile w czasie istnieją równocześnie, z czego wynika, że przyszłości nie może zmienić żaden terażniejszy akt woli. Jak się do tego ma pragnienie zmiany na lepsze?

V.: Rozumie Pan oczywiście, że wszystko, co mówię, to bzdety.

P.: Oczywiście.

V.: No cóż, rzeczywiście przeżywamy nasze życie równocześnie. To jest fakt. Pan jest tutaj jako dziecko i starzec. Odwiedziłem niedawno kobietę cierpiącą na chorobę Hodgkina. Ma przed sobą może parę miesięcy, a może kilka lat, i powiedziała mi, że teraz przeżywa swoje życie równocześnie, przeżywając wszystkie jego chwile.

P.: To nadal brzmi paradoksalnie.

v.: Dlatego, że to, co Panu przed chwilą powiedziałem, to bzdety. Ale czy nie widzi Pan, że to użyteczny, pocieszający rodzaj bzdety. To właśnie mam przeciwko kaznodziejom. Nie mówią nic, co by mogło kogoś uszczęśliwić, a tymczasem istnieje mnóstwo zgrabnych, poręcznych kłamstw. I wszystko jest kłamstwem, bo nasze umysły to dwubitowe komputery i nie wydusi się z nich prawd o dużej wartości. Ale jeśli chodzi o poprawę warunków życia ludzi, to nasze umysły sobie z tym radzą. Zgodnie z projektem to właśnie mają robić. I naprawdę mamy wolność tworzenia pocieszających kłamstw. Ale ciągle ich brakuje. Moim

ulubionym pastorem był facet nazwiskiem Bob Nicholson. Wyglądał jak Joseph Cotten i był kawalerem, księdzem kościoła episkopalnego tu, na przyłądku Cod. Po śmierci każdego z parafian sypał się w drobny mak, bo wściekała go śmierć. Dlatego zadaniem wiernych i krewnych zmarłego było poskładanie pastora do kupy i takie nabuzowanie go chrześcijaństwem, żeby wytrzymał nabożeństwo pogrzebowe. Bardzo mi się to podobało: nie wystarczało mu żadne ze zdań, które miał powiedzieć w trakcie standardowego pogrzebu episkopalnego. Potrzebował lepszych kłamstw.

P.: Czy Pan coś wymyślił?

V.: Próbowałem. Każdy próbuje. To była bardzo twórcza sytuacja, gdy sługa boży sypał się w drobny mak.

P.: Które kłamstwa się Panu spodobały?

V.: „Nie zabijaj.” To dobre kłamstwo. Bez względu na to, czy Bóg rzeczywiście to powiedział, czy też nie, nadal jest to świetne kłamstwo. I jeśli dodaje mu siły twierdzenie, że to słowa Boga, to tym lepiej.

P.: Z jakiego kościoła się Pan wywodzi?

V.: Moi przodkowie, którzy przybyli do Stanów Zjednoczonych tuż przed wojną domową, byli ateistami. Tak więc nie buntuję się przeciw zorganizowanej religii, bo nigdy jej nie miałem. Gorszą opinię o wyznaniach zinstytucjonalizowanych wyssałem z mlekiem matki. Zawsze krążyły w mojej rodzinie. Moi przodkowie szaleli na punkcie konstytucji Stanów Zjednoczonych i szansy na zbudowanie majątku i braterstwa ludzi. Chcieli ciężko pracować i byli ateistami.

P.: Czy sądzi Pan, że religie zinstytucjonalizowane mogą kogoś uszczęśliwić?

V.: Tak, oczywiście. W kościele mówi się wiele pocieszających kłamstw - za mało, ale zawsze coś. Żałuję, że kaznodzieje nie kłamią bardziej przekonująco na temat konieczności uczciwości i braterstwa. Nigdy nie słyszałem kazania na temat delikatności czy opanowania; nigdy nie słyszałem, by pastor powiedział, że zabijanie jest złem. Żaden kaznodzieja nigdy nie wspomina o oszukiwaniu w interesach. W roku są pięćdziesiąt dwie niedziele i jakoś nigdy nie pojawiają się te tematy.

P.: Czy uważa Pan którąś religię za lepszą od innych?

V.: Anonimowi Alkoholicy. AA daje rozległą rodzinę, bardzo zbliżoną do braterstwa krwi, bo każdy przeżył taką samą katastrofę. A jednym z czarujących aspektów AA jest to, że przyłącza się do nich wielu ludzi, którzy nie są alkoholikami, tylko ich udają, bo tak wiele zyskują społecznie i duchowo. Ale mówią tam o prawdziwych kłopotach, o których z zasady nie wspomina się w kościele. Ten sam problem pojawia się w ośrodkach pomocy dla byłych więźniów czy rehabilitacji narkomanów: kręci się tam wielu ludzi, którzy chcą tylko towarzystwa, braterstwa czy siostrzeństwa, i szukają dużej rodziny.

P.: Dlaczego?

V.: Pragną wspólnoty. Żyjemy osamotnieni w społeczeństwie, a system funkcjonowania przemysłu powoduje zrywanie więzów. Ludzie muszą się przenosić w ślad za pracą, gdy najbliższa okolica upada ekonomicznie, a dobrobyt panuje gdzie indziej. Już nie żyją w stabilnych wspólnotach, a powinni, bo one krzepią istoty ludzkie. Parę dni temu rozmawiałem w barze w Village z prawnikiem Związku Zawodowego Górników i opowiadał mi, jak niektórzy górnicy z Pensylwanii nie wyniosą się stamtąd za żadne skarby, chociaż kurczą się możliwości

zarobkowania, bo kościół stworzył tam wspólnoty. Szczególny powód stanowi muzyka: mają chóry działające od stu lat, niektóre są wręcz nadzwyczajne, i ludzie nie pojedą do San Diego, żeby budować statki czy samoloty. Zostaną w Pensylwanii, bo tam jest dom. Mój ojciec i dziadek byli architektami - mój dziadek jako pierwszy w Indianie otrzymał zezwolenie na prowadzenie biura i zbudował dom z myślą, że zamieszkają w nim kolejne pokolenia. Oczywiście dziś pewnie mieści się w nim zakład pogrzebowy albo szkoła gry na ukulele. Ale mój ojciec postawił dwa wymarzone domy, w których miały mieszkać następne pokolenia. Chciałbym, żeby każdy Amerykanin miał gdzieś siedzibę rodu.

P.: Ale Pan teraz zajmuje mieszkanie w Nowym Jorku.

V.: Cóż, przyzwyczailem się do braku korzeni, który łączy się z moim zawodem. Ale chciałbym, żeby ludzie przez całe życie mogli być w jednej wspólnotcie, oczywiście podróżować dla poznania świata, ale zawsze wracać. To podnosi na duchu. Kiedy teraz jeżdżę do Indianapolis, dręczy mnie dziecinne pytanie i w końcu je głośno zadaję: „Gdzie jest moje łóżko?” Tu wyrosłem i dziś mieszka tu blisko milion ludzi, ale w całym mieście nie ma miejsca, gdzie byłoby moje łóżko. Więc pytam, gdzie ono jest... i kończę w Holiday Inn. Nie sposób wrócić do domu.

Jak Pan wie, do niedawna istoty ludzkie miały stałą wspólnotę krewnych. Miały z tuzin domów, gdzie się mogły schronić. Kiedy małżonkowie się pokłócili, jedno czy drugie mogło iść trzy domy dalej do kogoś bliskiego i odczekać, aż się uspokoi. Albo kiedy dzieciak tak miał dość rodziców, że nie mógł z nimi wytrzymać, maszerował na jakiś czas do wujka. To już nie jest możliwe. Każda rodzina jest zamknięta w małym pudełku. Sąsiedzi to nie krewni. Brak domów, gdzie ludzie by mogli się

udać i ktoś by się nimi zajął. Nixon się głowi, co się stało z Ameryką („Gdzie się podziały te dawne wartości?”), a odpowiedź jest zupełnie prosta. Jesteśmy samotni. Mamy za mało przyjaciół i krewnych. A mielibyśmy, gdybyśmy żyli w prawdziwych wspólnotach.

P.: Co Pan sądzi o tych, którzy próbują stworzyć alternatywne struktury społeczne, na przykład komuny?

v.: Chcą się cofnąć do układów, w jakich ludzie żyli przez milion lat, co jest inteligentne. Na nieszczęście te wspólnoty długo się nie utrzymują i w końcu rozpadają, bo ich członkowie nie są prawdziwymi krewnymi i za mało ich łączy. Żeby wspólnota funkcjonowała prawidłowo, nie powinieneś się zastanawiać, co myśli ten człowiek obok. Tak jest w prymitywnych społecznościach. W grupie obcych ludzi zebranych razem, gdy na przykład młodzież przenosi się na wieś i próbuje żyć wspólnie, jej członków strasznie dużo dzieli. Ale ich dzieci, jeśli oczywiście zostaną razem dostatecznie długo, by wychować dzieci, będą się lepiej czuły w grupie, będą miały więcej wspólnych przeżyć i opinii, będą bardziej przypominać prawdziwych krewnych.

P.: Czy badał Pan ten problem szczegółowo?

V.: Niestety, nie. Może bym się przekonał, że to nieprawda. To moje małe, pogodne marzenie o szczęśliwszej ludzkości. Nie wytrzymałbym ze swoim pesymizmem, gdybym nie miał jakiegoś małego, pogodnego marzenia. Ono należy do mnie i proszę mi nie mówić, że się mylę: ludzie na pewno będą szczęśliwsi - nie wtedy gdy znajdą lek na raka albo polecą na Marsa czy usuną uprzedzenia rasowe lub zmeliorują jezioro Erie, ale gdy znajdą sposób, by znów żyć w społecznościach prymitywnych. To moja utopia. Tego pragnę dla siebie.

P.: Nie ma Pan wspólnoty?

V.: Och, jest wielu ludzi, którzy ze mną rozmawiają przez telefon. I zawsze mnie miło witają w hotelach sieci Holiday Inn, Quality Motor Court i Ramada Inn.

P.: Ale nie ma Pan krewnych?

V.: Na pęczki, ale porozrzucanych diabli wiedzą gdzie, a każdy snuje swoje własne, wariackie myśli.

P.: Chce Pan być z ludźmi, którzy mieszkają w pobliżu i myślą tak samo jak Pan?

V.: Nie. To nie jest wystarczająco prymitywne. Chcę być z ludźmi, którzy wcale nie myślą, żebym i ja nie musiał tego robić. Zmęczyło mnie myślenie. Zdaje się, że niewiele pomaga. Moim zdaniem ludzki mózg jest zbyt złożony, żeby mógł się przydać w tym szczególnym wszechświecie. Chciałbym żyć z krokodylami i myśleć jak one.

P.: Czy może przemawia przez Pana znużenie po zakończeniu pisania książki?

V.: Nie.

P.: Chociaż wolałby Pan być krokodylem, może porozmawiamy jeszcze o ludziach?

V.: Ludzie są zbyt dobrzy dla tego świata.

P.: Musiał Pan przecież napotkać albo słyszeć o wspólnotach, do których chciałby się Pan przyłączyć?

V.: Artyści wszelakiego rodzaju tworzą coś w rodzaju rozległej rodziny. Przypuszczam, że już w niej jestem. Artyści zwykle się dobrze rozumieją bez długich wyjaśnień. Tu, w Nowym Jorku jest wspólnota, którą podziwiam, ale nie chciałbym się do niej przyłączyć. Założyła ją

moja znajoma. Przestrzega się w niej zasady, że każdy śpi z każdym. To jest inteligentne, bo tworzy coś w rodzaju więzi krwi. Właściwie jest to rodzaj związku przez spermę, ale każda substancja o podobnym, magicznym charakterze naprawdę robi z człowieka coś w rodzaju krewnego. Stworzenie tego zajęło jej mnóstwo czasu, bo wielu ludzi nie potrafi się na tej płaszczyźnie odnosić do innych i nie umieją pokonać zahamowań. Ale to przypomina ceremonię nawiązania braterstwa w „Tomku Sawyerze”, gdy Tomek i Huck przypieczętowali je własną krwią, a więc zaangażowane są życiodajne substancje. Ostatnio widziałem w telewizji program o badaniach nad górnym Nilem; wódz plemienia zatrzymał brytyjską ekspedycję i nie chciał jej przepuścić, póki nie zmieszają swojej krwi z jego. Inna moja znajoma w Nowym Jorku założyła komunę, która opiera się na zwyczaju, że co wieczór jedzą razem dużą miskę spaghetti, chili albo ryżu. To są również życiodajne substancje.

P.: To pragnienie wspólnoty może w jakimś stopniu tłumaczyć fenomen ruchu młodzieżowego, którego fascynuje Jezus-dziwak. I co, Pańskim zdaniem, pociąga ich w tradycyjnym chrześcijaństwie?

V.: Cóż, wybór rdzenia dla sztucznej, rozległej rodziny jest dość dowolny. Wspomniałem już o sztuce, spermie, krwi i spaghetti. Chrześcijaństwo jest równie popularne i nieszkodliwe, a więc dobre. Czy wie pan, co to jest nukleacja? Ja nie, ale udaję, że wiem. Powiedzmy, że to badanie, jak duże musi się coś stać, by dalej rosnąć i nie zginać. Klasycznym przykładem jest rozpalanie ognia w piecu. Jeśli ogień jest poniżej pewnego poziomu, zgaśnie. Jeśli jest większy, będzie rósł, aż zajmie się cały węgiel. Komórki rakowe zapewne nieustannie w nas

powstają i karleją, a potem giną, ponieważ są poniżej pewnego rozmiaru. W Ameryce łatwo tworzyć duże komórki ludzi wiedzących coś o chrześcijaństwie, ponieważ zawsze się o tym wiele wszędzie mówiło. Na przykład nie byłoby łatwo stworzyć dużą komórkę zoroastrian. Ale są wielkie komórki chrześcijaństwa. Są też i wielkie komórki nienawiści rasowej. Bardzo łatwo każdą z nich pobudzić do wzrostu, zwłaszcza w tak wyalienowanym społeczeństwie, jak nasze. Są najróżniejsze rodzaje komórek.

P.: Zatem podziwia Pan chrześcijaństwo tak samo, jak wspólną miskę spaghetti zjadanego co wieczór? Albo cokolwiek innego, co wiąże ze sobą rozległą rodzinę?

V.: Najbardziej podziwiam właśnie chrześcijaństwo, ale takie, które symbolizują łagodni ludzie jedzący ze wspólnej miski.

P.: Mówi Pan o łagodnych ludziach, ale cała ta rozmowa o czubkach wzorujących się na Jezusie i wielkich rodzinach przywodzi na myśl Charlesa Mansona.

V.: O, tak. Stworzył właśnie rozległą rodzinę. Rekrutował głupawe dziewczyny, zwykle bezdomne, a przynajmniej takie, które uważały się za bezdomne, zaś rodzina znaczyła dla nich tak wiele, że zrobiłyby dla niej wszystko. Były prostoduszne i strasznie młode.

P.: Co Pana zdaniem pociągało je w Mansonie?

V.: Zgoda na ojcostwo. Jedną ze słabości naszego społeczeństwa jest to, że tak mało mężczyzn chce być ojcami, brać na siebie odpowiedzialność, organizować i wskazywać, co mają robić inni. Bardzo nieliczni się do tego nadają. Dlatego jeśli ktoś chce objąć przywództwo, najpewniej znajdzie zwolenników, chociaż pewnie nie będzie wiedział, co

z nimi począć. Wedle klasycznego modelu zachowania w naszym społeczeństwie ojciec powinien wyprzeć się ojcostwa, gdy dzieci mają po jakieś szesnaście lat. Zakładam, że Charles Manson nie tylko przejawiał pragnienie bycia i pozostania ojcem, ale także dziadkiem i pradziadkiem. Ludzie, którzy nie mogli znaleźć poczucia stałości we własnych rodzicach, znaleźli ją przy nim.

P.: A jeśli ojciec przypadkiem jest złym człowiekiem, to co? Miałeś pecha, brachu?

V.: Jasne. I cóż to takiego? I tak nim się obejrzysz, już pójdziesz w świat.

R.: Czy ma Pan pomysł, jak zbudować duże rodziny, zdrowsze od wspólnoty Mansona?

V.: Jasne. Niech ich rdzeniem będzie chrześcijaństwo lub spaghetti zamiast mordowania. Przydałoby się to również narodom.

p.: Jak nasz kraj mógłby wpłynąć na wzrost dużych rodzin?

V.: Wprowadzić prawo. Piszę o tym teraz powieść, w której pojawia się Kilgor Trout.

P.: Kilgor Trout to fikcyjny pisarz science fiction występujący w niektórych pańskich powieściach.

V.: Zgadza się. I teraz pisze opowieść o czasach, gdy nasz rząd zrozumiał, że nie troszczy się o ludzi, bo jest zbyt nieporadny i powolny. Chce pomóc ludziom, ale nigdzie nie dociera na czas. Tak się składa, że prezydent odwiedza Nigerię, gdzie duże rodziny były w modzie od początku świata. Naturalnie robi to na nim wrażenie. Wielkie rodziny troszczą się o swoich chorych, starych krewnych, którzy popadli w tarapaty. Zajmują się tym szybko i nie obciążają budżetu rządu. Więc

prezydent Stanów Zjednoczonych wraca do domu i oświadcza, że problem tego kraju polega na tym, że nikt nie ma krewnych w najbliższej okolicy i nie może tak po prostu zwrócić się o pomoc. Każdy musi wypełniać formularze. Dlatego prezydent postanowił, by komputery Biura Opieki Społecznej przydzieliły każdemu tysiące krewnych.

P.: Przypadkowo?

V.: Na chybił trafił. Masz wyrzucić drugie imię i zastąpić je jakimkolwiek, danym przez komputer: imionami greckich bogów, nazwami kolorów, pierwiastków chemicznych, kwiatów, zwierząt. Powieść zaczyna się w chwili, gdy do Ameryki przybywa uchodźca polityczny, który nie tylko musi przysiąc wierność krajowi i całą resztę, ale także przyjąć drugie imię z komputera. Przydzielają mu imię Żonkil. Nazywa się teraz Laszlo Żonkil Blintz. Ma w całym kraju dwadzieścia tysięcy krewnych z tym samym imieniem z Przydziału Rządowego. Otrzymuje książkę telefoniczną Żonkili i prenumeratę miesięcznika rodziny Żonkili, który ma zawierać mnóstwo ogłoszeń o pracy, informacji o rzeczach do kupienia i sprzedania.

P.: Czy jego krewni z Rządowego Przydziału go nie wykorzystają?

V.: Jeśli będą stawiać wygórowane żądania, może im powiedzieć, żeby się wypchali, tak jak się mówi prawdziwym krewnym. W miesięczniku będą artykuły o oszustach i czarnych owcach w rodzinie. Cała radość polega na tym, że nikt nie będzie się czuł samotny i każdy, kto będzie potrzebował siedmiu dolarów do przyszłego wtorku, opieki nad dziećmi przez godzinę czy podrzucenia samochodem do szpitala, otrzyma pomoc. Ile razy jestem sam w motelu w dużym mieście, szukam w książce telefonicznej Vonnegutów i Lieberów i nigdy żadnego nie znalazłem.

Lieber to było panieńskie nazwisko mojej matki. Ale gdybym był Żonkilem, Wiewiórką czy Chromem, miałbym mnóstwo numerów, pod które mógłbym zadzwonić.

P.: A jeśli nie chcieliby z Panem rozmawiać?

V.: To się często zdarza między krewnymi. Ale równie często cieszą się z kontaktu i chcą pomóc, jeśli tylko mogą.

P.: Prawo nie zmuszałoby ich do spełnienia Pańskich żądań?

V.: Nie, u licha. To byliby normalni krewni, tylko że znacznie większa gromada. Gdyby do drzwi zadzwonił jakiś facet i powiedział: „Cześć, jesteś Wiewiórka, ja też jestem Wiewiórka, potrzebuję stu dolarów”, wysłuchałbym go i gdybym miał ochotę, dałbym mu tyle, na ile mnie stać i na ile, moim zdaniem, zasługuje. Równie dobrze nic. To nie zamieniłoby kraju w głupie, dziwaczne towarzystwo. Ludzie mówiliby innym częściej niż teraz, żeby się wypchali. Podszedłby do pana żebrak i powiedział: „Słuchaj koleś, wspomóżesz biednego w potrzebie?”, a pan mógłby go zapytać o drugie imię. On na przykład mówi: „Chrom”, a pan: „Spadaj, jestem Wiewiórka. Proś Chromy o pomoc”.

Oczywiście w końcu Chromy zaczęłyby uważać, że są odrobinę lepsze od Żonkili i mówiłyby między sobą: „Nie rozumiem, co jest z tymi Wiewiórkami” i tak dalej, ale wśród krewnych trafialiby się ludzie najróżniejszego pokroju..Jesteś Szmaragd? Cholera, ja też. Skąd pochodzisz?” Wiem, że coś mnie łączy z Vonnegutami. Na pięćdziesiąte urodziny dostałem kartkę podpisaną przez grupę ludzi o tym nazwisku, pochodzącą z katolickiej gałęzi w Oakland, Kalifornia. Nie wiem, skąd się dowiedzieli o moich urodzinach, ale dostałem tę cudowaną kartkę, chociaż nigdy ich nie spotkałem.

Raz parę lat temu miałem wykład na Uniwersytecie Hawajskim; ktoś do mnie podszedł i spytał: „Znasz Freda Vonneguta?” Powiedziałem, że nie, a on na to, że to nazwisko jest ciągle w gazetach. Kupiłem więc miejscową gazetę i znalazłem ogłoszenie składu z używanymi samochodami, ze zdjęciem Freda i hasłem reklamowym: „Przyjdź i zaproponuj Fredowi Vonnegutowi dobry interes”. Odszukałem go i zjedliśmy razem kolację. Okazało się, że wychował się na Samoa, a jego matka była Finką. Ale spotkanie i nawiązanie kontaktu było frajdą dla nas obu.

P.: Czy związek poprzez nazwisko, który w „Kociej kołysce” nazywa Pan fałszywym *karassem*, tworzy grupę, która identyfikuje się dzięki nieistotnemu czy powierzchownie dzielonemu doświadczeniu?

V.: Nie wiem, ale jeśli się udaje, to bez znaczenia. To zupełnie jak narkotyki wśród młodzieży. Branie narkotyków daje im poczucie wspólnoty. Jeśli stanie się pan narkomanem, to może pan zebrać wokół siebie grupę przyjaciół, których będzie Pan widywał codziennie, bo przez cały czas będzie pan szukał dostępu do narkotyku. I może pan zyskać wspólnotę tam, gdzie by Pan jej normalnie nie znalazł. Wokół marihuany powstała wspólnota, podobnie jak i wokół długich włosów: można było podejść i zaufać nieznanym, bo wyglądali podobnie albo palili trawkę, i tak dalej. To są magiczne amulety dla tych, którzy się dzięki nim rozpoznają, i tak powstaje wspólnota. Narkotyki są ciekawe, bo pokazują jeszcze, że ludzie są cholernie przedsiębiorczy.

P.: Jak to?

V.: No cóż, tysiące ludzi w naszym społeczeństwie odkryło, że są zbyt głupi, za mało atrakcyjni czy wykształceni, by zrobić karierę. Zdali

sobie sprawę, że nie zdobędą ładnego samochodu, domu czy pracy. Jak pan wie, nie każdy może to osiągnąć. Musisz być miły. Przystojny. Mieć znajomości. I zdali sobie sprawę, że jeśli nie zrobisz kariery, to będziesz żył pośród wielkiej brzydoty, a policja zagoni cię tam z powrotem za każdym razem, gdy będziesz próbował uciekać. Więc ludzie, którzy wpadli w tę pułapkę, solidnie rozważyli wszelkie możliwości. Może pomalować pokój? Czy wytruję szczury, jeśli kupię mnóstwo trutki? No, nie. Szczury przetrwają, a pokój, nawet pomalowany, będzie brzydki. Nadal nie starczy ci pieniędzy na kino; nadal nie zdobędziesz przyjaciół, których będziesz lubił albo którym będziesz mógł zaufać.

No to co począć? Możesz zmienić swoją świadomość. Zmienić swoje wnętrze. Narkotyki były absolutnie cudownym eksperymentem dowodzącym przedsiębiorczości i odwagi. Żaden rząd nie odważyłby się na taki eksperyment. Coś takiego mogliby wypróbować lekarze nazistowscy w obozach koncentracyjnych. Wszystkim w bloku C zapakować amfetaminę. Blokowi D dać heroinę. W bloku E wszyscy palą trawkę - i zobaczymy, co się z nimi stanie. Ale ten eksperyment jest prowadzony przez ochotników i już wiemy okropnie dużo o tym, jak się możemy zmienić od wewnątrz. Jeśli nastąpi taki wzrost zaludnienia, że każdy będzie żył w brzydocie, wtedy inteligentnym, ludzkim rozwiązaniem - jedynym możliwym rozwiązaniem - okaże się zmiana wnętrza.

P.: Czy narkotyki są rozwiązaniem dla Pana?

V.: Nie, chociaż popadłem w zależność od amfetaminy przepisywanej przez lekarza, bo bardzo dużo spałem. Zawsze lubiłem się wysypiać, ale w pewnym momencie, po ośmiu godzinach snu w nocy,

zaczęłam sobie ucinąć popołudniową drzemkę. Zauważyłem, że śpiąc od pierwszej do piątej spędzam popołudnie na oglądaniu cudownie kolorowych filmów. Jest to powszechna reakcja na depresję. Spałem tak godzinami i stwierdziłem, że tracę czas, porozmawiałem o tym z lekarką i zapisała mi ritalin. Pomogło. Naprawdę zrobiło na mnie wrażenie. Nie brałem dużo, ale bardzo mnie zdziwiło, że byłem w depresji, a poczułem się lepiej, biorąc tylko to cholerne maleństwo wielkości główki od szpilki. Wcześniej myślałem, że wpływa na mnie Attyka albo wydobywanie ropy w zatoce Hajfong. Nic z tego. Najwyraźniej reagowałem na wewnętrzne reakcje chemiczne. Wystarczyło, żebym brał te maleńkie tabletki. Teraz już przestałem, ale fascynowało mnie, że mogą zmieniać mi nastrój.

P.: Czy poza depresją doświadcza Pan okresów silnego pobudzenia?

V.: Do niedawna wybuchalem mniej więcej co dwadzieścia dni. Przez długi czas sądziłem, że mam najzupełniej uzasadnione powody do tych wybuchów i jestem prowokowany przez otoczenie. Ale ostatnio zdałem sobie sprawę, że od chwili gdy ukończyłem sześć lat, następują regularnie. Moje otoczenie niewiele mogło na to poradzić. Najwyżej przesunąć awanturę w czasie o dzień lub dwa, ale poza tym było to regularne zachowanie.

P.: Użył Pan czasu przeszłego.

V.: Zaczęłam się uczyć, jak sobie z tym radzić. Raz w tygodniu chodzę do lekarki. Rozmawiam z nią o depresji, próbując zrozumieć naturę tego zjawiska. To jest mniej głębokie od psychoanalizy. W dużym stopniu ma podłoże fizjologiczne. W książce, którą właśnie skończyłem, „Śniadanie mistrzów”, motywy działania wszystkich postaci są objaśniane w kategoriach procesów chemicznych zachodzących w ciele. Gównem nas

obchodzi dzieciństwo postaci albo co się wydarzyło wczoraj, chcemy tylko znać wyniki badania krwi. Są podekscytowani, gdy we krwi dominują substancje podniecające, popadają w depresję, gdy biorą górę związki chemiczne zwalniające reakcje. Ale dla mnie ten rok był znacznie lepszy od poprzedniego. Wtedy dopadły mnie depresje, a w tym roku nie. Radzę sobie znacznie lepiej. Przez parę lat byłem przygnębiony, a teraz dzięki pracy nad sobą wychodzę z dołka. Pomagają mi inteligentni ludzie, którzy nie są freudystami.

P.: Na początku „Rzeźni numer pięć” wspomniał Pan, że w nocy daje pan sobie w szyję i dzwoni do starych przyjaciół mieszkających daleko. Nadal Pan to robi?

V.: Nie, już nie. Ale to jest wspaniałe. Można znaleźć osobę w najdalszym zakątku kraju. Uwielbiam zabawiać się przeszłością, jak długo bawią się ze mną żywi ludzie, a nie duchy. Znałem położnika, który w młodości był bardzo biedny. Wyjechał do Kalifornii, zdobył majątek i sławę. Był położnikiem gwiazd. Kiedy przeszedł na emeryturę, wrócił na Środkowy Zachód i odnalazł wszystkie kobiety, z którymi się spotykał, kiedy był nikim. Chciał, by zobaczyły, że teraz jest kimś. „Udało ci się, bracie”, powiedziałem mu. Uważam, że zachował się uroczo. Lubię ludzi, którzy nigdy nie zapominają.

Sam popełniałem takie szaleństwa. W Shortridge High School, do której chodziłem, urządzano zabawę dla wyższych klas i uczestnikom rozdawano zabawne prezenty. Robił to trener drużyny futbolowej - cholernie dobry trener, mieliśmy zabójczą drużynę. Inni oszukiwali, ale on podawał paczki obwieszczając, co jest dla kogo. W tamtych czasach byłem drobnym chudzielcem.

P.: Jak Billy Pilgrim z „Rzeźni numer pięć”?

v.: Tak. Przypominałem żalosego flaminga. I trener polecił mi korespondencyjny kurs kulturystyki Charlesa Atlasa. Aż mi się zrobiło słabo. Moim zdaniem, gdy dorosły robi coś takiego dzieciakowi, to wchodzi na szczyt nieodpowiedzialności. Miałem ochotę pociąć mu opony, ale tylko wymknąłem się z sali i wróciłem do domu. Nigdy nie zapomniałem tego upokorzenia. Pewnej nocy w ubiegłym roku zadzwoniłem do informacji telefonicznej w Indianapolis i poprosiłem o numer trenera. Zatelefonowałem do niego i powiedziałem, kim jestem. A potem przypomniałem mu o prezencie i powiedziałem: „Chcę, by pan wiedział, że teraz wyglądam zupełnie dobrze”. Zgrabne pozbycie się ciężaru. Bije na głowę psychoterapię.

P.: W Pańskich książkach głęboki smutek głuszy wszelką radość. Czy mimo wyraźnie skutecznej autoterapii uważa się Pan za w gruncie rzeczy osobę ponurą?

V.: W dzieciństwie dotknęły mnie ponure wydarzenia, które jak sądzę, wywołały moje przygnębienie. Ale smutek, który teraz odczuwam, wyrósł z frustracji, bo uważam, że możemy bardzo wiele uczynić, i to tanim kosztem, a nic nie robimy. To się wiąże z ideami. Jak wspomniałem, jestem ateistą i nie przepadam za pogrzebami, nie podoba mi się sam pomysł, ale wreszcie zdecydowałem się odwiedzić grób moich rodziców w Indianapolis. Patrzyłem na te sąsiadujące ze sobą nagrobki i żałowałem - tak mocno, że aż słyszałem te słowa w głowie - że nie byli szczęśliwsi. Bez najmniejszego trudu mogli być szczęśliwsi. Dlatego jestem ponury. To mnie przygnębia. Jestem im wdzięczny, bo mnie nauczyli, że zorganizowane religie są antychrześcijańskie, a przesady rasowe głupie i

okrutne. Jestem też wdzięczny za to, że potrafili tak świetnie żartować. Ale od nich również nauczyłem się najgłębszego smutku. Jak pan wie, dzieci uczą się wszystkiego. Rodzą się z pustymi głowami, a dorośli mogą w nie napakować, co zechcą.

P.: Dlaczego Pańscy rodzice byli tacy smutni?

v.: Mogę się tylko domyślać powodów. Moim zdaniem, dlatego, że ta planeta, którą kochali i sądzili, że rozumieją, została zniszczona w czasie pierwszej wojny światowej. Powiedziałem to już wcześniej, że istoty ludzkie są za dobre dla Ziemi; stąd zapewne brał się ich najgłębszy smutek. Oczywiście to bzdura. Błędne przekonania zniszczyły im życie. I niech to szlag trafi, bo bez większego trudu mogli je naprostować.

P.: Czy przypomina Pan swych bohaterów, jak na przykład Eliota Rosewatera, we współodczuwaniu całego smutku świata?

V.: Współczucie innym to rodzaj samozadowolenia. Nie robię tego. Po prostu wiem, że wielu ludzi popadło w okropne tarapaty i nie może z nich wyjść. I dlatego złości mnie brak cierpliwości u tych, którzy sądzą, że innym łatwo się wykaraskać. Moim zdaniem, są osoby potrzebujące znacznej pomocy. Martwię się o głupców i ciemniaków. Ktoś się musi nimi zająć, bo oni nic nie pojmują. Kiedyś próbowałem rozruszać organizację dobroczynną nazwaną Life Engineering („Inżynieria życia”). Działała wedle następujących zasad: „Jeśli nie wiesz, co robić dalej i przyjdiesz do nas, to ci powiemy. Wymagamy jednego, żebyś postąpił wedle naszej rady. Będziesz musiał przyrzec, że to zrobisz, a my ci udzielimy najlepszej rady, na jaką nas stać”. Ale okazało się, że nikt nie dotrzymywał słowa, a nie mieliśmy sposobów egzekwowania tego. Nie mogliśmy przecież ściągnąć z Detroit kilku płatnych morderców.

P.: Humor jest inną metodą radzenia sobie ze smutkiem i akceptowaniem problemów, których nie można rozwiązać. Czy to Pański sposób?

V.: No cóż, próbuję. Ale śmiech jest taką samą reakcją na frustrację, jak łzy, i podobnie jak one, też niczego nie rozwiązuje. Człowiek płacze lub się śmieje, kiedy nic innego nie może zrobić. Freud pisał bardzo mądrze o humorze, co jest o tyle ciekawe, że był zupełnie pozbawiony poczucia humoru. Daje przykład psa, który nie może się wydostać za bramę, żeby ugryźć przechodnia albo walczyć z innym psem. Wtedy kopie w ziemi. To nie rozwiązuje problemu, ale musi coś zrobić. Istoty ludzkie w podobnej sytuacji płaczą lub się śmieją. Kiedyś często przemawiałem publicznie, bo potrzebowałem pieniędzy. Czasem byłem zabawny. Szczyt humoru osiągnąłem w Notre Dame na festiwalu literackim. Występowałem przed wielką widownią tak rozkręconą, że śmiali się ze wszystkiego, co powiedziałem. Gdybym zakasłał albo przełknął ślinę, puściłyby wszystkie hamulce. To jest okropna historia. Ludzie się śmiali, bo cierpieli, dręczył ich ból i bezradność. Byli chorzy i bezradni, bo dwa dni wcześniej zastrzelono Martina Luthera Kinga. W czwartek, w dzień zabójstwa, festiwal został zawieszony, ale następnego dnia toczył się dalej. Był dzień żałoby i ludzie próbowali się pozbierać. A w sobotę przyszła kolej na mój występ. Jak zwykle przygotowałem średnio dowcipny tekst, ale atmosfera żałoby spotęgowała rozbawienie. Wszyscy bardzo chcieli śmiać się lub płakać, bo tylko taki sposób odreagowania im pozostał. Nie można było przywrócić życia Kingowi. Tak więc największe wybuchy śmiechu wywodzą się z największych rozczarowań i największego lęku.

P.: Czy to się właśnie nazywa czarnym humorem? A może cały

humor jest czarny?

V.: W pewnym sensie chyba tak. Ludzie wymienieni przez Bruce'a Jaya Friedmana jako uprawiający czarny humor na pewno różnią się od siebie. Na przykład zupełnie nie przypominam J.P. Donleavy'ego, ale Friedman widzi podobieństwa i zaliczył nas do tej samej kategorii. Krytycy przyjęli ten termin, bo jest poręczny. Wystarczy powiedzieć: „czarny humor” i już wymieniają dwudziestu pisarzy. Znak stenograficzny. Ale już Freud pisał o wisielczym humorze, który jest charakterystyczny dla Europy Środkowej. Tak żartują ludzie znajdujący się w sytuacji politycznej bezradności. Wisielczy humor kwitł wśród narodów monarchii austro-węgierskiej. Żydzi, Serbowie, Chorwaci - małe grupy wtłoczone razem w wielce nieprawdopodobnym imperium. I tym bezradnym, pozbawionym władzy ludziom przydarzały się okropne rzeczy, więc sobie żartowali. Tylko to mogli robić w obliczu frustracji. Humor, określany przez Freuda mianem wisielczy, tutaj nazywamy żydowskim: to dowcipy o słabych, inteligentnych ludziach w beznadziejnej sytuacji. A ja zwykle piszę o bezsilnych ludziach, którzy czują, że w istniejących warunkach nic nie mogą poradzić.

Jeden z moich ulubionych rysunków - chyba Shela Silversteina - przedstawia paru facetów przykutych za ręce i nogi do ośmiostopowego muru. Nad nimi znajduje się maleńkie, zakratowane okienko, przez które mysz się nie prześliznie. Jeden mówi do drugiego: „Oto mój plan...” Umieszczenie kogoś w sytuacji bez wyjścia jest wbrew amerykańskiej zasadzie budowania opowieści, ale moim zdaniem, tak się zwykle dzieje w życiu. Wielu ludzi, zwłaszcza głupców, popadło w straszliwe tarapaty i nigdy z nich się nie wydobęda, bo brak im inteligencji. W naszej kulturze

oczekujemy, że człowiek zawsze potrafi rozwiązać swoje problemy, mnie to uderza jako makabryczne i komiczne. Zakłada się, że gdyby człowiek miał trochę więcej sił, trochę bardziej walczył, to zawsze zdoła rozwiązać problem. Nad taką nieprawdą chce mi się płakać - albo śmiać. Kultura amerykańska nie pozwala mężczyznom na łzy, więc mało płaczą, ale dużo się śmieją. Kiedy myślę o głupim, niewykształconym, czarnym ćpunie w tym mieście i wpadam na jakiegoś optymistę, który twierdzi, że każdy człowiek może się wydostać z dna, jeśli się tylko postara - to mi się chce płakać albo śmiać. Ryczeć jak osioł. Ale nawet ten śmiech się liczy, bo sprawia wrażenie prawdziwego śmiechu.

P.: Co Pana uderza jako rzeczywiście zabawne?

V.: Nic mnie tak naprawdę nie rozbawia do łez. Żartowanie to mój zawód; poślednia forma sztuki. Mam ku temu wrodzony talent. Przypomina ustawianie pułapki na myszy. Kładziesz na podłodze, nakładasz przynętę na haczyk, naciągasz sprężynę i łup! Moje książki to głównie mozaiki złożone z drobnych elementów, a każdy z nich to żart. Może sobie liczyć pięć linijek albo jedenaście. Gdybym pisał tragedie, byłyby jak wielkie przypiływy morza, potężny stały nurt. Ale zamiast tego wzięłem się za dowcipy. Piszę tak wolno między innymi dlatego, że staram się każdy dopracować. Musi być zabawny, bo w przeciwnym razie książka jest stracona. Ale żartowanie stało się tak dalece mechanizmem przystosowania, że gdy zaczynam pracę nad jakimkolwiek tematem, to albo znajduję w nim coś zabawnego, albo go porzucam.

P.: Jak pan zaczął pisać?

v.: W mojej szkole średniej wychodził dziennik publikowany od 1900 roku. Prowadzili tam wtedy kursy dla ludzi, którzy nie szli na studia i

pewnego dnia stwierdzili: „Na Boga, mamy linotypy, moglibyśmy przecież wydawać gazetę”. Zaczęli robić dziennik i nazwali go „Shortridge Echo”. Był tak stary, że moi rodzice też w nim pracowali. Tak więc zamiast pisać dla nauczyciela, a tak robi większość ludzi, pisząc dla jednego czytelnika, pana Greena czy pana Watsona, zacząłem pisać dla dużego grona. I jeśli odwaliłem kiepską robotę, to się nieźle nasłuchałem w ciągu następnej doby. Okazało się, że jestem lepszy niż inni. Każdemu człowiekowi coś przychodzi z łatwością i nie potrafi zrozumieć, dlaczego sprawia trudność innym. U mnie jest to pisanie. U mojego brata matematyka i fizyka. U siostry rysowanie i rzeźbienie.

P.: Czy już wtedy interesował się Pan science fiction?

V.: Jak wiadomo, większość tej literatury była na poziomie brukowym. Od czasu do czasu to czytam, podobnie jak czytam brukowe powieści erotyczne, chłam sprzedawany na lotniskach czy kiepskie kryminały. Większość współczesnych pisarzy science fiction jako dzieciaki wariowało na punkcie brukowej literatury tego typu, wydawali na książki wszystkie pieniądze, zbierali je, zamieniali, zaczytywali się w nich i uwielbiali autorów przez resztę świata uważanych za pismaków. Przykro mi, że nigdy tego nie robiłem. W towarzystwie innych pisarzy science fiction czuję się niezręcznie, bo rozmawiają o tysiącach historii, których nie przeczytałem. Nie sędzę, bym uważał je za poniżej mojego poziomu, po prostu marnowałem życie w inny sposób.

P.: Jak?

V.: Nie wiem. Kiedyś stwierdziłem, że zmarnowałem osiem lat na budowanie modeli samolotów i brandzłowanie, ale to było trochę bardziej skomplikowane. Czytałem książki science fiction, ale bardziej

konserwatywnych autorów: H.G. Wellsa, Roberta Louisa Stevensona, o którym się zapomina, że napisał „Dr. Jekylla i Mr. Hyde’a”. Czytałem George’a Bernarda Shawa, który robi okropnie dużo ekstrapolacji, szczególnie we wstępach. „Back to Methuselah” („Powrót do Matuzalema”) było dla mnie wystarczającą science fiction.

P.: Co Pan sądzi o tym gatunku? Krytycy zwykle twierdzą, że jest tani.

V.: Cóż, stawki w porównaniu z honorariami za inne formy literackie były rzeczywiście bardzo niskie. A ton nadawali pisarze brukowi. Ale ciekawa rzecz, bo gdy IBM wprowadzało na rynek elektryczną maszynę do pisania, nie wiedzieli, czy dobrze utrafili w potrzeby konsumentów. Nie potrafili sobie wyobrazić, żeby ktoś był aż tak bardzo niezadowolony ze zwykłej maszyny. Jak wiadomo są wspaniałe, nigdy nie słyszałem, by komuś się od nich męczyły ręce. Dlatego IBM martwiło się, wypuszczając maszyny elektryczne, bo nie wiedzieli, czy komuś się przydadzą. Ale pierwsze egzemplarze kupili autorzy literatury brukowej, bo chcieli pisać jeszcze szybciej, ponieważ płacono im od słowa. Trzaskali jak karabiny, bo opisy się nie liczyły, a dialogi były drewniane i tak dalej, skoro pisali pierwszą wersję. Tymczasem ją właśnie sprzedawali, bo nie stać ich było na marnowanie czasu przy poprawkach. I tak to się ciągnęło, a młodzi ludzie, decydujący się na karierę pisarza science fiction, wzorowali się na już wydanych książkach. Ich jakość była straszliwa, ale to w jakimś sensie wyzwalało autora, bo mógł szybko puścić w obieg okropnie dużo ciekawych pomysłów.

P.: Co Pana pociągało w tym gatunku?

V.: W tym czasie, tuż po drugiej wojnie światowej, pracowałem dla

General Electric i widziałem jak frezarka wycina wirniki do silników turbinowych. Frezer wycinał niezwykle kosztowną rzecz, właściwą formę Brancusiego. Dlatego do cięcia łopatek zrobili urządzenie sterowane komputerem, które mnie zafascynowało. To był rok 1949, pracujący tam faceci przewidzieli najróżniejsze urządzenia kierowane przez małe pudełka i karty perforowane. „Pianola” to moja odpowiedź na skutki, w sytuacji gdy wszystkim kierują małe pudełka. Sam pomysł wydawał mi się bardzo sensowny. Ustawić małe, klikające pudełka, które podejmują każdą decyzję, to nie jest zły postęp. Ale okazał się fatalny dla istot ludzkich czerpiących godność ze swej pracy.

P.: I dlatego science fiction wydawał się Panu najlepszym sposobem wyrażenia Pańskich myśli na ten temat?

v.: Nie mogłem tego uniknąć, skoro General Electric Company była science fiction. Beztróska ukradłem fabułę z „Brave New World” („Odważny nowy świat”), którego fabuła została beztróska ukradziona z „We” („My”) Jewgienija Zamiatina.

P.: „Rzeźnia numer pięć” głównie dotyczy bombardowania Drezna, które Pan przeżył w czasie drugiej wojny światowej. Dlaczego zdecydował się Pan opisać je w formie powieści science fiction?

V.: To rzecz intuicji. Nigdy nie planuję szczegółowo, co zamierzam robić; po prostu co dzień siadam do pracy. A fragmenty science fiction w „Rzeźni numer pięć” pełnią funkcję podobną, jak błazni u Szekspira. Kiedy Szekspir czuje, że widzowie mają dość poważnych kawałków, trochę popuszcza, wprowadza na scenę błazna, głupiego oberżystę czy kogoś takiego, nim powróci do spraw na serio. A podróże na inną planetę, fantastyka naukowa w niewątpliwie kpiącym tonie, jest równoważnikiem

wprowadzenia co jakiś czas błazna, który ma rozluźnić atmosferę.

P.: Kiedy pisał Pan „Rzeźnię numer pięć” czy próbował Pan się uporać z tym tematem na czysto realistycznym poziomie?

v.: Nie mogłem, bo w dużej mierze znałem tę książkę. Była w mojej głowie i udało mi się ją stamtąd wydobyć, ale rzecz charakterystyczna: w miejscach, gdzie w mojej pamięci winny się znajdować obrazy bombardowania Drezna, są czarne dziury, ja tego nie pamiętam. Sprawdziłem u wielu kumpli wojennych i oni też nie pamiętają. Nie chcieli o tym rozmawiać. Całkowicie wymazali tamte wydarzenia z pamięci. Są najróżniejsze informacje na jego temat, ale jeśli chodzi o mój bank pamięci, to został wyrwany sam rdzeń opowieści. Nic się nie udało wydobyć ani z mojej głowy, ani z głów moich przyjaciół.

P.: Nawet jeśli Pan tego nie pamięta, to czy doświadczenie internowania i nalotów bombowych w Dreźnie jakoś Pana zmieniło?

V.: Nie. Posługuje się Pan banałem. Stanowczo przeceniano ważność Drezna w moim życiu, ponieważ moja książka na ten temat stała się bestsellerem. Gdyby tak się nie złożyło, to doświadczenie wydawałoby się mało ważne w moim życiu. I nie uważam, by życie ludzkie zmieniało się pod wpływem tak krótkich zdarzeń. Drezno było zdumiewające, ale doświadczenie może zdumiewać i nie zmieniać człowieka. Czuję, jakbym spłacił dług, bo na przykład głodowałem w obozie jenieckim. Głód to normalne doświadczenie dla istot ludzkich, ale nie dla istot ludzkich z amerykańskiej klasy średniej. Przez jakieś sześć miesięcy byłem fenomenalnie głodny. Nie starczało żywności - i z mojego punktu widzenia to jest sensacyjne, bo inaczej nigdy bym tego nie doświadczył. Ludzi potracają taksówki albo płuca im wysiadają czy coś podobnego, i to robi

wrażenie. Ale teraz tylko głodowanie przez jakiś czas - ważyłem 175 funtów, gdy poszedłem do wojska, a 134, kiedy wyszedłem z obozu jenieckiego - daje samozadowolenie. Wytrzymałem. Tymczasem jedno z moich dzieci, które jest mniej więcej w moim wieku, dostało gruźlicy w Korpusie Pokoju i przez rok musiało leżeć bez ruchu na szpitalnym łóżku. Obecnie w naszym społeczeństwie na gruźlicę zapadają tylko starcy z marginesu. Tak więc musiał leżeć przez rok bez ruchu w otoczeniu starych alkoholików - i to rzeczywiście go zmieniło. Ma teraz nad czym medytować.

P.: Jaki temat do medytacji podsunęły Panu przeżycia w Dreźnie?

v.: Zapytałem mojego najbliższego przyjaciela, Bernarda V. O'Hare - jest prawnikiem w Pensylwanii i występuje w książce - co znaczyło dla niego doświadczenie drezdeńskie i odparł, że nie wierzy w to, co mówi rząd. Nasze pokolenie rzeczywiście wierzyło w słowa rządu, bo niewiele nam kłamano. Głównie dlatego, że za naszego dzieciństwa nie toczyła się wojna, więc właściwie mówiono nam prawdę. Rząd nie miał powodów do budowania skomplikowanych kłamstw. Ale rząd w czasie wojny z wielu względów staje się rządem kłamliwym. Jeden powód to zmylenie przeciwnika. Kiedy szliśmy na wojnę, sądziliśmy, że nasz rząd szanuje ludzkie życie, stara się nie skrzywdzić ludności cywilnej i temu podobne. No cóż, Drezno nie miało wartości taktycznej, to było miasto cywilów. Ale mimo to alianci bombardowali je tak długo, aż się spaliło i zaczęło topić. I potem zaczęli o tym kłamać. To nami wstrząsnęło. Ale teraz już nikim to nie wstrząsa. Ludzi nie poruszył sam fakt dywanowego nalotu na Hanoi, ale to, że odbył się w Boże Narodzenie. To najbardziej wszystkich oburzyło.

P.: Jako były jeńiec wojenny, co Pan sądzi o jeńcach wojennych powracających z Wietnamu?

V.: Oczywiście nasz rząd zasznurował im usta. Ale nie powinno nas to dziwić. A poza tym wyraźnie widać, że mają w tym swój interes: w tej wojnie byli świetnie opłacanymi technikami. Czterdzieści pięć tysięcy naszych białych krzyży w Wietnamie stanęło na grobach dzieci z rodzin niższych klas. Przytłaczająca większość ofiar wywodziła się z kopalni Pensylwanii i z gett. Ci ludzie nie zdobyli na wojnie mnóstwa pieniędzy ani nie zrobili życiowej kariery. Wojna była dla nich piekłem, a tu wracają członkowie świetnie płatnej kadry i mówią: „Tak, to wspaniały interes”. Niektórzy z nich otrzymywali pensje równe redaktorom naczelnym wielkich pism. To są zawodowi żołnierze, którzy pójdą wszędzie i zawsze będą walczyć.

P.: Nie przejawia Pan szczególnego współczucia dla ich losu.

V.: W pewnych sprawach jestem uparty. Na przykład upieram się przy twierdzeniu, że jest różnica między lotnictwem i piechotą. Lubię piechotę. Jeśli byłaby następna wojna, ale sprawiedliwa, a ja bym był młody, tobym znów poszedł do piechoty. Nie potrafiłbym służyć gdzie indziej. Przed historią z Calleyem, sądziłem, że żołnierze piechoty są z gruntu honorowi, a w czasie wojny podzielali to przekonanie piechurzy z innych krajów. Ta część wojny była godna szacunku, moralny osąd reszty działań stał pod znakiem zapytania: nawet czynów artylerii, która, jak wiadomo, chowa się po krzakach i obrzuca pociskami. To głupie, ale nadal tak uważam. No i nienawidzę oficerów.

P.: Dlaczego?

V.: Bo wszyscy są gówniarzami. Każdy znany mi oficer to gówniarz.

Powiedziałem tak w West Point i bardzo ich rozbawiłem. Ale przez całe życie nienawidziłem oficerów, bo fatalnie odnoszą się do piechoty i zupełnie niepotrzebnie pomiatają podkomendnymi. Parę dni temu wpadł do mnie znajomy, kupił sobie płaszcz, z którego był bardzo dumny. Ale mnie się nie podobał, bo miał epolety - chyba je sobie odpruje.

P.: Sądząc po „Pianoli”, która jest mocnym oskarżeniem uczonych i naukowego spojrzenia na świat, za nimi Pan też nie przepada. Czy w ciągu dwudziestu jeden lat od publikacji tej książki Pańskie podejście do nich się zmieniło?

V.: Cóż, sami naukowcy się bardzo zmienili. Okazuje się, że ludzie postępują zgodnie ze stereotypowymi pojęciami, bo to wszystkim ułatwia życie. Kiedyś profesorowie rzeczywiście byli roztargnieni; tego się po nich spodziewano i patrzono na to przez palce. Dlatego pielęgnowali tę cechę, aż stała się przyzwyczajeniem - spóźnianie na spotkania, zapominanie o ważnych rocznicach - ale teraz już tego nie robią. Kiedyś naukowcy przypominali Irvinga Langmuira, laureata Nagrody Nobla, którego poznałem dzięki temu, że mój brat, dobry naukowiec, z nim pracował. W kontaktach międzyludzkich zachowywał się jak dziecko i twierdził, że zajmuje się tylko odkrywaniem prawdy, a prawda nie może skrzywdzić istot ludzkich, dlatego nie interesował się implikacjami swych odkryć. Wielu naukowców jest takich - a znałem ich od diabła starego, bo w General Electric pracowałem w dziale *public relations* i głównie zajmowałem się laboratorium badawczym. Tak więc poznałem ich wszystkich: facetów od niskich temperatur, krystalografów, speców od mikroskopów elektronowych. Przychodziłem co dzień, wtykałem nos tu i tam, rozmawiałem z nimi. A w tamtych czasach, około 1949 roku,

wszyscy byli niewinni, wszyscy po prostu zajmowali się prawdą i nie martwili się, gdzie mogą zaprowadzić ich odkrycia.

P.: Bomba atomowa nie wpłynęła na ich świadomość?

V.: Nie. Ale nagle wszyscy się ocknęli. Powiedzieli sobie: „Cholera, powinniśmy zacząć zwracać uwagę”. I tak się stało, a typ niewinnego naukowca w rodzaju Langmuira już nie istnieje. Kiedyś politykom i przemysłowcom przydawał się taki stereotyp naukowca, który się nie martwi o implikacje odkryć. Ale teraz się nauczyli, że wszystko, co wynajdą, zostanie użyte, jeśli się tylko da. To prawo życia: jeśli coś wynajdziesz i da się to zastosować w brutalny sposób, to tak się stanie. Byłem dumny z brata, bo prowadził badania na zupełnie niewinne tematy: powodowanie opadów dzięki suchemu lodowi i jodkowi srebrnemu. Odkrył, że w szczególnych warunkach jodek srebrny wywołuje deszcz lub śnieg. I jakiś rok temu patrzyłem na jego przerażenie, kiedy się okazało, że od lat ściągaliśmy piekło na Indochiny, a on nic o tym nie wiedział. Każdy to może zrobić. Na przykład obaj moglibyśmy się tym zająć w moim ogródku: potrzebujemy tylko drogiego urządzenia do wytwarzania zasłony dymnej, które pośle w górę obłok jodku srebrnego. Mój brat zawsze się starał sprawdzać, czy jego odkrycia mogą być użyte w brutalny sposób i bardzo go przygnębiła wiadomość, że je zastosowano w działaniach wojennych. Tak więc naukowcy rzeczywiście zaczęli się przejmować moralnym aspektem swych badań. Parę lat temu Norman Wiener, matematyk Instytutu Technologicznego Stanu Massachusetts, napisał w „Atlantic”, że nie będzie więcej przekazywał informacji przemysłowi czy rządowi, bo to nie są wrażliwi ludzie i korzystają z nich w sposób nieludzki.

P.: A co z naukowcami typu Wernhera von Brauna?

V.: On przecież jest inżynierem, a nie naukowcem. Co o nim myślę? Nie znam go, ale moim zdaniem cechuje go rodzaj niewinności wypranej z uczuć, taka niewinność pozwoliłaby człowiekowi skonstruować krzesło elektryczne jako wyraz ducha obywatelskiego. W przeszłości pracował nad sprzętem bojowym. Wynalazcy nowych rodzajów broni, a można do nich zaliczyć i Leonarda da Vinci, nie są przyjaciółmi zwykłego człowieka.

P.: Jak dotąd przynajmniej program kosmiczny jest wolny od przemocy w wykorzystywaniu nauki i techniki. Co Pan o nim sądzi?

V.: Niedawno po raz pierwszy oglądałem z bliska wystrzelenie rakiety kosmicznej. Jestem przeciwny programowi kosmicznemu z racji wysokich kosztów i strasznego pośpiechu, w jakim go robimy. Już od jakiegoś czasu mamy możliwości techniczne, by dostać się na Księżyc, ale moim zdaniem zupełnie nie ma się co śpieszyć i nie ma powodu wydawać na to aż tyle. W ciągu następnych pięciuset lat może zaplanujemy badania Księżyca. Przecież wiemy, że nie ma na nim bogactw mineralnych, które by się opłacało stamtąd przywozić, brak też atmosfery. Nawet gdyby cała powierzchnia była pokryta diamentami, też by to nam niewiele pomogło. Dlatego cała rzecz sprawia wrażenie gonitwy rodem z burleski. Wielu naukowców sądziło, że te pieniądze można by wydać na badania w innych dziedzinach. Pieniądze zostały wydane na rozwój techniki. Równie dobrze można było zbudować olbrzymi drapacz chmur, gigantyczny most lub coś podobnego. To głównie reklama i cyrk, a nie nauka. Największą odpowiedzialność ponosi za to John F. Kennedy. Miał ducha współzawodnictwa. Był twardym, radosnym sportowcem, który uwielbiał

wygrywać. W sumie niewiele się pomylił sądząc, że to może poprawić nastrój Amerykanom i trochę nas rozruszać. Niezupełnie mu się udało, ale Kennedy z całym entuzjazmem rzeczywiście chciał jak najlepiej dla Amerykanów. Sądził, że to nas niesamowicie pasjonuje.

P.: A tymczasem większość ludzi szybko się tym znudziła. Dlaczego się tak stało?

V.: Wydawało się dziecinne. Nawet dzieciom. Moich dzieci to wcale nie obchodziło. Na Księżycu nie było nic, na czym by im zależało. Dziewięciolatek wie, że tam nie ma atmosfery, nic do jedzenia czy picia, nikogo, z kim można by porozmawiać. Od początku o tym wiedzieli. Więcej ciekawych rzeczy jest na Saharze czy pokrywie lodowej biegunów.

P.: Wersja literacka tego wydarzenia była znacznie bardziej barwna niż to, co się rzeczywiście stało.

V.: Cóż, do tej podróży wybrali bezbarwnych ludzi, bo tylko tacy potrafili to wytrzymać. W książkach science fiction ludzie na statkach kosmicznych przez cały czas się kłóca. Takie osoby w żadnym razie nie powinny latać w kosmos.

P.: Jak było na ostatnim starcie rakiety?

V.: Było to piorunująco piękne przeżycie: zmysłowe, erotyczne, niebezpieczne i piekielnie drogie. Była tam Martha Raye. Don Rickles. I śmierć.

p.: Ktoś umarł?

V.: Pismo „Life”. Zjawili się z aparatami fotograficznymi, które wyglądały jak haubice pancerne. Trzymaliśmy się ich. Przyjechaliśmy na zlecenie „Harper’s”. Kiedy wrócili do domu ze zdjęciami, okazało się, że „Life” umarło. Cóż za symbol. Nasza planeta straciła „Life”, gdy nasi

astronauci wyruszyli na Księżyc. Pojechaliśmy tam, bo szwedzki dziennikarz na koktajl-party w Nowym Jorku stwierdził, że płacze przy każdym starcie. A poza tym brat mi powiedział: „Kiedy zobaczysz, jak idzie do góry, prawie się zgodzisz, że to się opłaca”.

P.: Powiedział Pan, że to było erotyczne.

V.: To jest olbrzymie, kosmiczne pieprzenie, i istnieje coś w rodzaju zмовy, by to ukryć. Dlatego tak mało się mówi o startach. Nikt nie wspomina, że przy oglądaniu startu coś się dzieje w środku człowieka. Ciekawe, jak by się czuli podatnicy, gdyby odkryli, że kupują orgazmy dla paru tysięcy czubków stojących milę od pasa startowego? I jest to wyjątkowo głęboki orgazm. Człowiek cały dygocze i rzeczywiście traci zmysły. Coś jest w tym dźwięku, który sunie ponad wodą. Podobno od fal dźwiękowych pewnej długości ludzie mimowolnie oddają kał. Tak więc fizycznie rzeczywiście wywraca cię na nice.

P.: Jak długo trwa?

v.: Około minuty. To był nocny lot, więc mogliśmy obserwować raketę dłużej, niż to jest możliwe w ciągu dnia. Dlatego wydawało się, że dźwięk trwa dłużej. Ale kto wie? To przypomina opisywanie wypadku samochodowego: nie można ufać swojej pamięci. Światło było niesłychanie silne i potem obrazy trwały na siatkówce; chyba nie powinniśmy na to patrzeć.

P.: Jak reagowali ludzie stojący obok?

v.: Zatkalo ich. Pieprzyli wszechświat. A potem byli zakłopotani i właściwie zadowoleni z siebie. W ich oczach można było odczytać, co myślą: nikt nie powie ludziom z zewnątrz, że NASA prowadzi najostrzejszy salon masażu erotycznego w historii. Kiedy wróciłem do

Nowego Jorku, w drodze z lotniska rozmawiałem z kierowcą taksówki. Powiedział to, co zawsze sam myślałem: należy wydawać pieniądze na program kosmiczny, gdy nas na to będzie stać. Chciał lepszych szpitali, lepszych szkół, chciał mieć dom. Był bardzo porządnym facetem, żaden tam głupek. Pracował dwadzieścia cztery godziny dziennie: na poczcie od drugiej nad ranem do trzeciej po południu, a później jeździł taksówką. I proszę mi wierzyć, wiedział, że na Księżycu nic nie ma. Gdyby NASA zafundowała mu wycieczkę na Przylądek Kennedy'ego i wejściówkę na miejsca dla wybranych gości lub prasy na następny start, toby się przekonał, gdzie znaleźć prawdziwe rozkosze.

P.: Wojna wietnamska kosztowała nas więcej niż program kosmiczny. Jak Pan sądzi, co nam przyniosła?

v.: Złamała nam serca. Przedłużyła to, co wyrządziliśmy sobie w Hiroszynie, była po prostu ciągiem dalszym procesu uświadamiania, jak jesteśmy bezwzględni. I odebrała złudzenie, że mamy jakąś władzę nad rządem. Moim zdaniem, straciliśmy kontrolę nad rządem. Wietnam uświadomił, że zwykły obywatel nie dotrze do rządu ani poprzez niespełnianie obowiązków obywatelskich, ani masowe demonstracje. Bez względu na postępowanie obywateli, rząd i tak nie zareaguje. To miążdżąca nauczka. Jakiś czas temu na sympozjum w ONZ spotkałem Hansa Morgenthaua i opowiadałem mu, że gdy uczyłem w Iowa i Harvardzie, moi studenci potrafili pięknie pisać, ale nie mieli o czym. Częściowo dlatego, że w ciągu ostatnich ośmiu lat nauczyliśmy się, że rząd nie zareaguje na to, co myślimy i mówimy, bo po prostu go to nie interesuje. Całkiem możliwe, że rządu nigdy to nie obchodziło, ale nigdy wcześniej nie pokazał tak dobitnie, że nasze zdanie nie ma znaczenia. A

Morgenthau odparł, że się przymierza do następnej książki, ale się zastanawia, czy to jest w ogóle warte zachodu. Jeśli nikt nie zwraca na to uwagi, to po co sobie zawracać głowę? Znacznie większą przyjemność daje pisanie książki, która w jakiś sposób wpływa na rzeczy, na myślenie ludzi. Ale prezydent jasno dał do zrozumienia, że jest odporny na takie wpływy.

P.: Co Pan sądzi o Nixonie?

V.: Nie uważam, że jest zły. Ale sądzę, że nie lubi Amerykanów i to nas przygnębia. Prezydent, częściowo dzięki telewizji, objął funkcję niezwykle wpływowego nauczyciela. Nie wiem dokładnie, ile władzy kierowniczej ma prezydent, a na ile rząd sam sobą kieruje, ale doskonale wiem, że może wpływać na nasze zachowanie pozytywnie lub negatywnie. Jeśli dziś wieczorem czegoś nas nauczy, to jutro będziemy się tak zachowywać. Wystarczy, żeby o tym powiedział w telewizji. Jeśli wspomni o sąsiadach, którzy wpadli w tarapaty, albo poprosi, byśmy ich jutro lepiej traktowali, to może wszyscy spróbujemy. Ale lekcje Nixona są podłe. Nauczył nas gardzić biednymi, bo nie rozwiążali swoich problemów. Nauczył nas lubić bogatych bardziej niż biednych. Jednym telewizyjnym wystąpieniem mógłby uczynić nas większymi humanistami i optymistami. Mógłby nauczyć nas religii Konfucjusza.

P.: Religii Konfucjusza?

V.: Jak uprzejmie traktować innych bez względu na własny gniew czy rozczarowanie. Jak szanować starszych.

P.: George McGovern próbował głosić humanizm i optymizm. Co

Pana zdaniem spowodowało jego sromotną porażkę?

V.: Przegrał jako aktor. Nie potrafił stworzyć przed kamerami postaci, którą byśmy pokochali lub znieawidzili, więc Ameryka zagłosowała, by jego program zdjąć z anteny. Amerykańska publiczność nie dba o prywatne życie aktora, nie chce oglądać jego programu, bo jest godny szacunku, prawdopodobny i dobro narodu leży mu na sercu. Ważne jest tylko jedno: czy na wizji potrafi nas rozruszać? Oczywiście, na tym polega narodowa tragedia, bo ze społeczeństwa zmieniliśmy się w widownię. A biedny McGovern zrobił to, co uczyniłby każdy aktor, którego program się sypie. Zrzucił winę na scenariusz, wywalił sporo dawnych tekstów, które właściwie były piękne, zażądał nowych tekstów, które właściwie były starymi tekstami, ale osoby korzystające z nich wcześniej odniosły sukces. Zapewne nie wygrałby, nawet wtedy, gdyby był Clarkiem Gablem. Jego przeciwnik miał zbyt mocne argumenty: strach, poczucie winy i nienawiść białych ludzi wobec potomków ofiar niewyobrażalnej zbrodni, którą popełniliśmy nie tak dawno: niewolnictwa. Jak by ta zbrodnia wyglądała opisana w książce science fiction? Było sobie nowoczesne państwo ze wspaniałą konstytucją, które porwało istoty ludzkie, by użyć je jako maszyny. Po jakimś czasie skończyło ten proceder, ale w całym kraju mieli miliony potomków tych porwanych osób. A co będzie, jeśli się okażą na tyle ludzie, by zapragnąć jakieś formy zemsty? McGovern uważał, że należy ich traktować tak jak wszystkich. Ale biali wyborcy uznali to za niebezpieczne.

P.: Gdyby Pan był kandydatem Demokratów, jak by Pan walczył przeciw Nixonowi?

V.: Poszczułbym biednych przeciw bogatym. Sprawiałbym, że biedni

przyznaliby się do ubóstwa. Archie Bunker nie uważa się za biednego, ale jest niewątpliwie przerażonym biedakiem. Przekonałbym Archie Bunkera, że jest biedny i dalej biednieje, a klasa rządząca go okrada i oszukuje. Zaproszono mnie, żebym przygotował pomysły do kampanii McGoverna. Zupełnie z nich nie skorzystano. Chciałem, żeby Sarge Shriver powiedział: „Nie jesteście szczęśliwi, co? W tym kraju szczęśliwi są tylko bogacze. Coś tu nie gra. Powiem wam, co. Jesteśmy samotni! Trzymamy się z daleka od sąsiadów. Dlaczego? Bo jeśli się nie będziemy trzymać razem, to bogaci dalej będą nas rabować. Będą dalej pozbawiać nas władzy. Chcą naszej samotności; chcą, żebyśmy się kulili w domu z żoną i dziećmi oglądając telewizję, bo wtedy mogą nami manipulować. Mogą nas skłonić, żebyśmy kupowali to, co zechcą i głosowali wedle ich woli. Jak Amerykanie pokonali wielki kryzys? Stanęli razem. W tamtych czasach członkowie związków zawodowych nazywali się »braćmi« i »siostrami« i rzeczywiście czuli się jak w rodzinie. Przywróćmy tego ducha. Bracia i siostry! Głosujemy na McGoverna i ustawimy ten kraj do pionu. Staniemy ramię w ramię z sąsiadami, żeby uporządkować najbliższą okolicę, wykurzyć oszustów ze związków zawodowych, obniżyć ceny mięsa”. Oto krzyk Ameryki: „Koniec samotności!” Pochwalam taki rodzaj demagogii.

P.: Czy w jakimś sensie uważa się Pan za radykała?

V.: Nie, ponieważ wszystkiego, w co wierzę, zostałem nauczony w czasie wielkiego kryzysu na lekcjach prawa obywatelskiego w szkole podstawowej - Szkoła nr 43 w Indianapolis - i za pełną aprobatą rady szkoły. Szkoła nr 43 nie była radykalna. W tym czasie Ameryka była idealistycznym, pacyfistycznym narodem. W szóstej klasie uczono mnie dumy z tego, że nasza armia liczy zaledwie nieco ponad sto tysięcy

żołnierzy, a generałowie nie mają nic do powiedzenia na temat tego, co dzieje się w Waszyngtonie. Nauczono mnie dumy z tego i współczucia dla Europy, gdzie pod bronią stoi ponad milion ludzi, a wszystkie pieniądze idą na samoloty i czołgi. Po prostu nigdy się tego nie oduczyłem. Nadal w to wierzę. Miałem bardzo dobry stopień z prawa obywatelskiego.

P.: Wielu młodych ludzi podziela Pańskie ideały. Czy dlatego Pańskie książki są wśród nich tak popularne?

V.: Może i tak, ale ja naprawdę nie wiem. Z pewnością nie zabiegałem o rynek młodzieżowy. Nie trzymałem ręki na pulsie, po prostu pisałem. Może dlatego, że zajmuję się pytaniami, które trapią studentów drugiego roku, a przez dorosłych są uważane za rozwiązane. Piszę o tym, jaki jest Bóg i czego mógłby chcieć? Czy istnieje niebo, a jeśli tak, to jakie by było? Tym pasjonują się studenci drugiego roku; nad tymi problemami dyskutują z przyjemnością. One nudzą bardziej dojrzałych ludzi, bo ich zdaniem są rozwiązane.

P.: Czy nie używa Pan słowa „dojrzały” ironicznie?

V.: Nie, jeśli definiuje je Pan jako sposób zachowania starszych ludzi, a „niedojrzały”, to sposób zachowania młodszych.

P.: Ale te pytania pozostają dla Pana ważne.

V.: Bawią mnie. Ale nie interesują mnie jakoś szczególnie. Nie chcę się dowiedzieć, czego pragnie Bóg, żebym mógł Mu lepiej służyć. Nie chcę się dowiedzieć, jakie jest niebo, żebym się mógł do niego przygotować. Gdy o tym myślę, przez chwilę się śmieję. Lubię się śmiać, więc o tym myślę i się śmieję. Właściwie nie wiem z czego.

P.: Kiedy się Pan z tego wszystkiego zaczął śmiać?

V.: Chyba gdy byłem małym dzieckiem. Zastanawiałem się, o co

chodzi w życiu, słyszałem, co na ten temat mówili dorośli i się śmiałem. Uważałem, że małym dzieciom powinno się dawać poradnik, gdzie byłoby napisane, na jakiej planecie żyją, dlaczego z niej nie spadają, ile czasu mają przed sobą, jak rozpoznać trujący bluszcz i temu podobne. Kiedyś próbowałem go napisać. Nazywał się „Witaj na Ziemi”. Ale utknąłem na wyjaśnieniu, dlaczego nie spadamy z planety. Grawitacja to tylko słowo. Niczego nie tłumaczy. Gdybym sobie poradził z grawitacją, odpowiedziałbym, jak się rozmnażamy, jak długo już tu jesteśmy i trochę o ewolucji. A najbardziej chciałbym im powiedzieć o relatywizmie kulturowym. Dopiero w college’u nauczyłem się o innych kulturach, a powinienem się o tym dowiedzieć w pierwszej klasie. Pierwszoklasista winien rozumieć, że jego kultura nie jest racjonalnym wynalazkiem; istnieją tysiące innych kultur, które świetnie sobie radzą; wszystkie kultury opierają się raczej na wierze niż na prawdzie; jest wiele alternatyw wobec naszego społeczeństwa. Dowiedziałem się tego dopiero w trakcie studiów na Uniwersytecie Chicago. Było to pasjonujące. Oczywiście, teraz relatywizm kulturowy stał się modny - i to się pewnie łączy z moją popularnością wśród młodzieży. Ale jest czymś więcej niż modą: ta teoria się broni i jest pociągająca. Jest także źródłem nadziei. Oznacza, że jeśli nie chcemy, nie musimy iść dalej tą drogą.

P.: Pozostawmy na chwilę powody Pańskiej popularności. W ciągu ostatnich paru lat stał się Pan rzeczywiście sławny. Czy Pańskie życie się zmieniło?

V.: Duży problem stanowi poczta. Dostaję chyba tyle samo listów, co Eddie Fisher - przeciętnie sześć dziennie. Przychodzi mnóstwo naprawdę przemyślanych, czarujących listów. Ciągle zamierzam na nie

odpowiedzieć, ale zdałem sobie sprawę, że nigdy mi się to nie uda. Tak więc góra rośnie i są w niej listy, z którymi chciałbym coś zrobić. Przez jakiś czas miałem sekretarkę; myślałem, że uporządkuje tę ogromną korespondencję. Ale okazało się, że co dzień pół dnia zajmowało mi dyktowanie listów. Równocześnie ile razy odpowiadałem na list, pojawiał się następny korespondencyjny znajomy. Tak więc moja poczta rosła w postępie geometrycznym.

P.: Czy popularność zmieniła Pańskie życie pod jakimś względem?

v.: Nie. Żałuję tylko, że nie przyszła wcześniej, bo przez wiele lat, gdy miałem dużo dzieci, byłem zupełnie bez grosza. Mógłbym im zafundować przyjemne wakacje, cudowne zabawki i temu podobne. Oczywiście moje dzieci miały buty i część kształciła się w prywatnych szkołach, żałuję tylko, że pieniądze nie płynęły bardziej równomiernie. Teraz, kiedy dorosły, pieniądze są właściwie jak kpina. To jeden z idiotycznych aspektów rynku książkowego. Pisarze za książkę dostają albo pięćdziesiąt dolarów, albo pięćset tysięcy, jakby pomiędzy nic nie było.

P.: Czy fala popularności w jakimś stopniu Pana krępuje?

v.: Nie, zupełnie, ponieważ to książki są popularne. A ja ani ich nie czytam, ani o nich nie myślę, poszły w świat i są zdane na siebie. Nie jestem nimi. Ani moją reputacją. Właściwie przestałem występować publicznie, bo tak bardzo różnię się od moich książek i reputacji. Mniej więcej trzy razy w tygodniu ktoś mnie zaczepia na nowojorskiej ulicy. To mi poprawia nastrój. Nie jestem szaleńczo znany, a skromna sława przyszła stopniowo. Wielce podziwiam Normana Mailera - zwłaszcza jego zdrowie psychiczne - ponieważ dotknął go największy szok, jakiego może doświadczyć umysł: stał się sławny w dwudziestym piątym roku życia.

Znakomicie zniósł ten cios.

Moja kariera zaś przebiegała dokładnie wedle typowego, schematu amerykańskiego. Jak wspomniałem, moja rodzina zawsze zajmowała się sztuką, więc sztuka dla mnie jest zawodem. Zacząłem od straganu, a teraz mam kilkanaście supermarketów w świetnych punktach miasta. Moja kariera rozrastała się tak, jak powinien rosnać dobrze prowadzony interes. Po dwudziestu latach ciężkiej harówki stwierdzam, że wszystkie moje książki są wznawiane i dobrze się sprzedają. Będą się dalej rozchodzić. Zajmują się tym komputery i maszyny drukarskie. Tak się właśnie dzieje w Ameryce: jeśli maszyny potrafią znaleźć sposób, by cię wykorzystać, odnosisz sukces. Teraz już mnie mało obchodzi, czy interes się rozrasta, czy też kuleje. Dzieci już dorosły. Nie potrzebuję pieniędzy na fanaberie. Nie symbolizują dla mnie miłości.

P.: A co dla Pana symbolizuje miłość?

V.: Krówka-ciągutka na przykład. Również zaproszenie do wiejskiej chaty nad wodą.

P.: Czy jest Pan teraz bogaty?

V.: Znam dziewczynę, która ciągle zadaje ludziom to pytanie. Za każdym razem, gdy to robi, opada mi szczeka. Moja matka powiedziała mi, że jest to praktycznie najbardziej niegrzeczne pytanie, jakie można postawić. Tak się składa, że ta dziewczyna zawsze otrzymuje odpowiedź. Ludzie mniej więcej dokładnie opisują jej, ile są warci. Potem pyta, skąd pochodzą te pieniądze i też jej to mówią. Dla mnie to brzmi tak, jakby rozmawiali o najbardziej rozpasanej pornografii. W każdym razie moje bogactwo głównie pozostaje w formie praw autorskich, które są bardzo cenne tak długo, jak komputery i maszyny drukarskie uważają mnie za

swojego człowieka. Gdy zaś chodzi o gotówkę, nieruchomości i papiery wartościowe, daleko mi do milionera. Nie wygląda na to, że kiedykolwiek nim zostanę. Można się nim stać tylko dzięki zyskom z kapitału. A u mnie nic się dużego nie kroi z tego tytułu. Jestem człowiekiem o skromnych dochodach. I co mi tam. Jak mówiłem, dzieci już dorosły i zawróciłyby się im w głowach, gdybym teraz zaczął się uwijać, żeby one mogły zostać milionerami.

P.: Przez tyle lat robił Pan coś, co zapewne uważał Pan za dobrą robotę i dopiero ostatnio to zauważono. Jak się Pan czuje?

V.: Nie czuję się oszukany. Zawsze miałem czytelników, nawet gdy nie zarabiałem dużych pieniędzy na pisaniu. Moje książki wydawano w miękkich okładkach i od początku otrzymywałem sympatyczne listy od ludzi, którzy trafili na nie w sklepach jednostek wojskowych, na pocztach, w drogeriach czy dworcach autobusowych. „Matka noc” i „Canary in a Cat-house” („Kanarek w kodami”) oraz „Syreny z Tytana” wyszły najpierw w miękkiej oprawie, a „Kocia kołyska” została napisana z myślą o takim czytelniku. Holt zdecydował się wydać ją w twardej oprawie po tym, jak zostały sprzedane prawa do wydania w miękkiej oprawie. Zdecydowałem się na to, bo mogłem dostać od ręki trzy tysiące dolarów za wydanie w miękkiej oprawie, a zawsze potrzebowałem gotówki, której mi nie dawał żaden wydawca książek w twardej oprawie.

Ale także zauważyłem, że moi rówieśnicy za swe książki otrzymywali wielkie pieniądze i gorące pochwały i myślałem: „Cholera, muszę solidniej studiować sztukę pisania, bo myślę, że to, co robię, też jest całkiem niezłe”. Nikt nie recenzował moich książek. W tamtym okresie „Esquire” opublikował listę członków amerykańskiego świata literackiego

zapewniając, że wymienili wszystkich autorów, a nawet tych najwyższego lotu. Nie znalazłem się na niej. Tę listę ułożył Rust Hills i kiedy go później poznałem, powiedziałem mu, że niemal się pochorowałem przez jego listę, bo się poczułem podczłowiekiem. Odparł, że nie należało brać jej poważnie. „To był żart”, stwierdził. A potem wyciągnęli z żoną wielką antologię uznanych pisarzy amerykańskich publikujących po drugiej wojnie światowej i też mnie w niej nie było.

Co mi tam. I tak dzięki obleśnym książkom w miękkiej oprawie budowałem bazę wypadową. To społeczeństwo opiera się na wyzysku i można mieć wszystko, co się chce, jeśli się stworzy bazę wypadową. Komputery moich wydawców zaczęły dostrzegać, że są zamawiane nowe transporty moich obleśnych książek i idą jak woda. Tak więc władze postanowiły zobaczyć, co w nich jest. Wydawcy książek w twardych oprawach zwęszyli okazję. A reszta jest historią: Nagroda Guggenheima, profesury, wstęp do „U Elaine”. W tym roku Allen Ginsberg i ja zostaliśmy wybrani do Narodowego Instytutu Sztuk i Literatury, i „Newsweek” spytał mnie, co sądzę o dwóch takich czubkach wchodzących do tak szacownej instytucji. Odpowiedziałem: „Jeśli my nie stanowimy elity, to nie wiem, kto nią jest”.

P.: Czy to „Rzeźnia numer pięć” była pierwszą Pańską książką w twardej oprawie, która się dobrze sprzedawała?

v.: Tak, była na drugiej liście książek „Literary Guild”. A „Śniadanie mistrzów” znalazło się wśród najlepszych książek wybieranych przez „Literary Guild”, „Saturday Review Book Club” i „Book Find Club”. I teraz przypominam Teda Williamsa: człapię na górę.

P.: Czy Pańskie pisarstwo znacznie się teraz zmieni?

V.: Cóż, po skończeniu „Rzeźni numer pięć” czułem, że wcale nie muszę już pisać, jeśli nie będę chciał. To był koniec pewnego rodzaju kariery. Właściwie nie wiedziałem dlaczego. Sądzę, że kwiaty, gdy kwitną, mają pewną świadomość celu, któremu służą. Kwiaty nie prosiły się o bycie kwiatami i ja nie prosiłem, by zostać mną. Pod koniec „Rzeźni numer pięć” czułem, że mój kwiat zakwitł, jakbym osiągnął kres, spełniłem powinność i to już wszystko. Na tym koniec. A potem mogę sobie sam wykombinować dla siebie misję.

P.: Skoro właśnie wydano „Śniadanie mistrzów”, to widać postanowił Pan jednak pisać po „Rzeźni numer pięć”.

V.: No cóż, „Rzeźnia” i „Śniadanie” były kiedyś jedną książką. Ale się całkiem rozdzieliły. Zupełnie jak koktajl złożony z warstw różnych alkoholi albo olej i woda: po prostu nie da się ich wymieszać. Dlatego mogłem wyciąć „Rzeźnię numer pięć” i zostało mi po tym „Śniadanie mistrzów”.

P.: Co Pan się stara powiedzieć w „Śniadaniu mistrzów”?

V.: Starzejąc się, staję się bardziej dydaktyczny. Mówię to, co naprawdę myślę. Nie chowam przekonań jak wielkanocnych jajek czekoladowych, żeby ludzie ich szukali. Teraz, jeśli dochodzę do pewnego przekonania, jeśli coś staje się dla mnie jasne, to nie osadzam go w powieści; po prostu piszę esej najklarowniej jak potrafię. We wstępie do „Śniadania mistrzów” oświadczyłem dydaktycznym tonem, że nie umiem już żyć bez kultury i zdałem sobie sprawę, że jej nie mam. To, co w mojej głowie funkcjonuje jako kultura, jest naprawdę kupą reklamówek; to nie do wytrzymania. Życie bez kultury może się okazać niemożliwe.

P.: Większość postaci w „Śniadaniu” sprawia wrażenie

rozzłoszczonych i zdesperowanych, utknęli w sytuacjach bez wyjścia i wielu z nich popełnia samobójstwo.

v.: Tak, samobójstwo jest sercem tej książki. To także kropka w ostatnim zdaniu, która kończy wiele karier artystycznych. Wziąłem tę kropkę, bawiłem się nią w książce i odłożyłem na półkę, ale pozostała na widoku. Moja fascynacja nią i fascynacja wielu ludzi może być dziedzictwem wielkiego kryzysu. Ten kryzys miał więcej wspólnego z amerykańskim charakterem niż jakakolwiek z wojen. Ludzie bardzo długo czuli się niepotrzebni. Maszyny wszystkich pozbawiły pracy; zupełnie jakby się nikt już nie interesował istotami ludzkimi. Tak więc gdy byłem dzieckiem i wypełniałem pustą głowę tym i owym, widziałem i słuchałem ludzi, którzy już nie mogli wykonywać swoich zawodów i nie potrafili nakarmić rodziny. Cholernie wielu nie chciało dalej tak ciągnąć. Chcieli umrzeć, bo dręczył ich okropny wstyd. Myślę, że młodzi ludzie wyczuwają tę niechęć do życia, której moje pokolenie uczyło się od rodziców w czasie wielkiego kryzysu. Przelatuje ich od tego dreszcz po plecach. Młodzi ludzie wyczuwają także naszą zawiść - kolejna rzecz, której nauczyliśmy się w latach trzydziestych: głód materialnego śmiecia, zazdrość wobec ludzi, którzy go mają. Wielki sekret naszego pokolenia kryje się w tym, że właściwie nie lubimy życia.

P.: Czy Pan sądzi, że młode pokolenie lubi je bardziej niż poprzednie generacje?

v.: Nie, zapewne młode pokolenie też go nie lubi. I część konfliktu pokoleń bierze się z poczucia winy i zawstydzienia rodziców, którzy przekazali niechęć dalej. Ale generalnie rzecz ujmując, Amerykanie doświadczają smutku, który, moim zdaniem, w części wywodzi się z życia

bez kultury. Każdy, kto przyplýwał tu na żaglowcu, czy jakoś inaczej, porzuczał swoją kulturę.

P.: Jak to wpłynęło na Pana osobiście?

V.: Wszystkie moje książki to próba odpowiedzi na to pytanie i polubienia życia bardziej, niż je lubię teraz. Próbuję wyrzucić z głowy ten cały śmietnik, który doróśli mi tam wsadzili, gdy byłem dzieckiem. Chcę tam umieścić kulturę. Ludzie uwierzą we wszystko, co oznacza, że i ja uwierzę we wszystko. Nauczyłem się tego dzięki antropologii. Chcę zacząć wierzyć w rzeczy, które są kształtne i harmonijne. Tak się składa, że „Śniadanie mistrzów” to nie groźba popełnienia samobójstwa. Naprawdę przeszedłem już ten etap. A to dla mnie dużo. Kiedyś uważałem je za zupełnie rozsądny sposób, by uniknąć publicznych wystąpień, dotrzymania terminu umowy, zapłacenia rachunku, pójsia na przyjęcie.

P.: Czyli książki stanowią dla Pana terapię. v.: Jasne. To znana sprawa. Pisarze zyskują przynajmniej pod jednym względem: co dzień mogą leczyć swoje choroby umysłowe. Przy odrobinie szczęścia moje książki okażą się czymś więcej. Chciałbym być pożytecznym obywatelem, wyspecjalizowaną komórką w politycznym ciele. Wydaje mi się, że „Śniadanie” będzie ostatnią z książek terapeutycznych, i wielka szkoda. Dzięki szaleństwu powstało przypadkowo wiele pięknych dzieł sztuki. Pod koniec „Śniadania” uwolniłem postacie, które ciągle wykorzystywałem. Powiedziałem, że już ich nie będę potrzebował. Mogą iść za głosem swego przeznaczenia. Już się nie muszę o nie troszczyć.

P.: Czy to miłe uczucie?

V.: Dziwne, takie inne. Zawsze się cieszę, gdy czuję coś nowego. Zmieniłem się. Ktoś mi kiedyś powiedział, że na tym polegał sekret

alchemików: oni naprawdę nie próbowali przemieniać metali. Udawali tylko, żeby zdobyć bogatych protektorów. Naprawdę mieli nadzieję, że zmieniają samych siebie.

P.: Co Pan teraz będzie pisał?

V.: Mogę się tylko domyślać. To nie zależy ode mnie. Każdego ranka siadam do pracy i patrzę, jakie słowa wyskakują spod klawiszy maszyny. Czuję się jak goniec, którego zadanie polega na rwaniu kawałków taśmy płynącej z teleksu i zanoszeniu jej do redaktora. Moje domysły na temat tego, co będę dalej pisał, opierają się na tym, co się dzieje z innymi istotami ludzkimi, gdy się starzeją. Moja intuicja, moje twórcze szaleństwo nieco przysiadzie; w moim pisaniu będzie mniej przypadków. Będę więcej wyjaśniał, a mniej pokazywał. Żeby mieć dość tematów, może wreszcie stanę się wykształconym człowiekiem. Moja kariera mnie zdumiewa. Jak można zejść tak daleko, mając tak mało informacji i tak pokraczną wiedzę o tym, co powiedzieli inni pisarze? Już dość napisałem. Nie przestanę pisać, ale nic by się nie stało, gdybym tak postąpił.

Pisanie „Śniadania mistrzów” dało mi jedno: ujawnił się mój gniew na rodziców, za to, że nie byli szczęśliwsi, o czym wspomniałem już wcześniej. Niech mnie szlag trafi, jeżeli przekażę ten bezużyteczny smutek moim dzieciom, jeśli to oczywiście ode mnie zależy. Chociaż od czternastego roku życia palę pali malle, myślę, że mam dość pary, by pobiec za szczęściem, choć nigdy tego nie próbowałem zrobić. Z upływem czasu coraz bardziej szanuję Trumana Capote’a, pewnie dlatego, że naprawdę robi się coraz mądrzejszy. Parę dni temu widziałem go w telewizji. Powiedział, że większość dobrych artystów to głupcy we wszystkim, co nie dotyczy ich dziedziny sztuki. Kiedyś Kevin McCarthy

powiedział mi niemal to samo, gdy gratulowałem mu, że się tak dobrze porusza na scenie. Powiedział: „Większość aktorów jest nieporadnych poza sceną”. Chcę przestać być głupi w prawdziwym życiu. Chcę przestać być nieporadny poza sceną.

Jestem pewny, że jedną z dróg dla ludzi w moim wieku jest wydobyć się wreszcie z pełnego zawiści, niechęci do życia klimatu wielkiego kryzysu. Richard M. Nixon, który również przejawia brak inteligencji i wyobraźni, gdy chodzi o szczęście, jest dzieckiem wielkiego kryzysu. Może w ciągu najbliższych czterech lat obu nam uda się z tego wydobyć. Wiem jedno: nie chcę, by po mojej śmierci dzieci powiedziały o mnie to, co myślę o moim ojcu: „Robił takie wspaniałe dowcipy, a był tak nieszczęśliwym człowiekiem”.